

Magiczne oczarowanie

Balogh Mary



calibre 0.9.43

MAGICZNE OCZAROWANIE

ROZDZIAŁ 1

Hm...

Peter Edgeworth, wicehrabia Whitleaf, z niezadowoleniem spojrział na list i położył go obok talerza.

John Raycroft siedział naprzeciw niego. Opuścił gazetę, którą wcześniej zasłonił twarz, i uniósł brwi.

- Złe wieści? - Muszę pomyśleć o powrocie. - Peter westchnął głośno. - Doskonale się z wami bawiłem przez parę ostatnich tygodni i wyjeżdżam z prawdziwą przykrością.

Wszyscy sąsiedzi okazali mi tyle gościnności. Co prawda i tak musiałbym w końcu wrócić do domu, ale na nieszczęście zdradziłem wcześniej zamiary matce, a ona natychmiast postanowiła urządzić mi uroczyste powitanie. Zaprosiła mnóstwo gości, a wśród nich pannę

Rose Larchwell. Nigdy o niej nie słyszałem, może ty ją znasz?... Nie masz się z czego śmiać!

Protest okazał się spóźniony. John zdążył już odłożyć gazetę i parsknąć śmiechem, patrząc uważnie na przyjaciela. Siedzieli w jadalni sami, bo reszta rodziny dawno już skończyła śniadanie.

- Najwyraźniej matka chce cię wyswatać. Trudno się jej dziwić, jesteś przecież jedynym synem i masz prawie trzydzieści lat.

- Dopiero dwadzieścia sześć - zaprotestował zirytowany Peter.

- To pięć lat więcej niż wtedy, gdy usiłowała znaleźć ci żonę po raz ostatni przypomniał Raycroft z szerokim uśmiechem. - Bez wątplenia uważa, że najwyższy czas na kolejną próbę. Przecież możesz powiedzieć „nie” jak tamtym razem.

- Hm... - Peter nie podzielał wesołości towarzysza. Nie uważał tego za zabawne.

Towarzystwo uznało ze zgorszeniem, że posunął się za daleko, zrywając zaręczyny z Berthą

Grantham, mimo że nie ogłoszono ich jeszcze oficjalnie. Tylko kompani z klubu byli rozbawieni tym, że zdołał wycofać się w ostatnim momencie.

Do licha, nie widział w tym nic śmiesznego! Miał dwadzieścia jeden lat, był naiwny jak dziecko i podporządkował się woli matki oraz opiekunów. Nawet zakochał się posłusznie w Bercie z samego obowiązku, skoro tego się po nim spodziewano. Nigdy nie przypuszczał, że po przeżytych szoku okaże

taką siłę charakteru i zdoła położyć kres niemal pewnemu narzeczeństwu choć zrobił to w piekielnie niezręczny sposób i zbyt jawnie. A wkrótce potem okazał tę siłę po raz drugi, oznajmiając wujom i zarazem opiekunom prawnym, że skoro osiągnął pełnoletność, to ich nie potrzebuje i dziękuje za dotychczasowe starania. Chociaż

bynajmniej nie uważał, żeby było za co dziękować.

- Cała rzecz w tym, że dziewczyna i jej matka robią już sobie pewnie nadzieje. Nie mówiąc o ojcu, siostrach, braciach, dziadkach i kuzynach. O Boże!

- Może ci się spodoba i okaże się tak urocza, jak wskazywałoby na to jej imię? - Może i tak - Peter się skrzywił - bo w końcu wcale nie jestem wrogiem kobiet. Ale nie o to chodzi.

Nie zamierzam się żenić ani z nią, ani z żadną inną. Nawet gdyby była śliczna jak cały różany klomb. Sam wybiorę sobie żonę. A tymczasem będę musiał nadskakiwać jakiejś pannie, starając się jednocześnie robić wrażenie, że się do niej nie zalecam. To jest wprost nieznośne.

Każdy na tym przeklętym przyjęciu powitalnym zorientuje się, po co ją zaproszono. Moja matka da to do zrozumienia wszystkim. Przestań się śmiać, Raycroft, bo mnie popamiętasz!

John Raycroft roześmiał się jeszcze głośniejsze i rzucił serwetkę na gazetę.

- Składam ci wyrazy współczucia. To doprawdy kłopot. Jesteś bogatym, utytułowanym kawalerem, w dodatku znanym pozeraczem serc, co ci, rzecz jasna, tylko dodaje wdzięku... przynajmniej w oczach płci pięknej. Wcześniej czy później będziesz się

musiał ożenić, to twój obowiązek. Dlaczego zatem nie zrobić tego wcześniej?

- A dlaczego nie później? - odparował Peter, pochłaniając z apetytem resztki jajek na bekonie. - Nie potrafię jak ty ujrzeć w jakiejś dziewczynie na balu miłości swego życia. Nie umiem starać się o nią z poświęceniem przez okrągły rok, a potem spokojnie czekać, gdy ona po uroczystych oświadczeniach przez cały kolejny rok przemierza wzdłuż i wszerz Europę!

- Konkretnie Wiedeń - sprostował Raycroft. - Wraz z rodzicami, którzy zaplanowali tę

podróż bardzo dawno temu. No i nie przez cały rok, bo wrócą na wiosnę. Pobierzemy się, nim minie lato. Kiedyś zrozumiesz, dlaczego potrafię czekać trzy razy dłużej od ciebie. Problem w tym, że jesteś za mało wybredny. Wystarczy ci spojrzeć na kobietę, żeby się w niej zakochać.

No i zakochujesz się w każdej, a tym samym w żadnej.

- Im więcej, tym lepiej. - Peter uśmiechnął się blado. - Ale widzisz, mój drogi, ja się w nich nie zakochuję, ja je tylko lubię.

Może tak właśnie jest najlepiej? Bo akurat przed miłością i każdym innym głębszym uczuciem Peter się wzdragał. Lubił kobiety - jak zresztą i wszystkich innych - i to chroniło go przed przeobrażeniem się w cynika. Nigdy więcej nie chciał się poczuć tak jak tamtego okropnego dnia.

Raycroft pokiwał głową.

- Więc co zrobisz? - spytał, wskazując na list. - Wrócisz i padniesz w ramiona matce, której spieszno cię wyswatać, czy zostaniesz w Hareford House? Dlaczego nie zabawisz u nas jeszcze przez miesiąc? Napisz matce, że poczułem się boleśnie rozczarowany faktem, że masz zamiar skrócić wizytę. Że złamałbyś serce mojej matce! Że powinieneś poczekać na wiejski bal w przyszłym tygodniu! Żaden z tych argumentów nie będzie kłamstwem. Sąsiadów na pewno urazi twoja nieobecność na balu. Mogliby ją uznać za lekceważenie. Co za szczęście, że zaręczyłem się z Alice i jestem pewien jej uczuć. Przystawanie z tobą każdemu kawalerowi może zepsuć humor. Panny nie odrywają od ciebie oczu!

Peter się roześmiał, choć wcale nie było mu wesoło. Cała rzecz w tym, że po pięciu latach próżniaczej egzystencji podjął stanowczą decyzję co do własnej przyszłości.

Już czas, żeby wrócił na stałe do Sidley Park. Przez pięć lat wpadał tam tylko na krótko, a potem wyjeżdżał do Londynu, do Brighton lub innego modnego kąpieliska. Musi wziąć w swoje ręce życie, majątek i obowiązki, jakie się z tym wiążą.

Innymi słowy, powinien dorosnąć. Stać się mężczyzną, na jakiego go wychowano.

Mężczyzną, jakim zamierzał być, chociaż odkładał to już dość długo. Kochał Sidley od małego i już jako trzylatek - gdy zmarł jego ojciec - miał świadomość, że ta ziemia należy do niego.

Podczas ostatniego londyńskiego sezonu uznał, że tamtejsze rozrywki nie są dla niego.

Wyszumiał się należycie, tracąc na to całe pięć lat. No, może nie całkiem. W końcu nauczył

się stać na własnych nogach, choć jeszcze nie tak pewnie, jak to sobie wymarzył. Uodpornił

się na pouczenia kochającej matki, sióstr i całego tabunu surowych opiekunów. Sam wiedział, które z nich należy przyjąć, a które odrzucić.

Opiekunowie, nie mówiąc już o matce, ciosali mu kołki na głowie. Dobrze wiedział, że zawdzięcza im należyte wykształcenie. Nadszedł jednak czas, żeby stać się kimś, kto nie da sobie w kaszę dmuchać. Osobą, jaką zawsze chciał być. Nikt już nim nie będzie komenderował. Co za satysfakcja!

Przyrzekł spędzić w Hareford House cały miesiąc zaraz po zakończeniu sezonu.

Pragnął dotrzymać obietnicy, a do domu wrócić dopiero potem. Lecz serdeczność, którą sobie i sąsiadom okazywała rodzina Raycroftów, jedynie wzmogła tęsknotę. Chciał już teraz wziąć

los we własne ręce. Dlatego zamierzał wrócić do Sidley Park po dwóch tygodniach, skracając wizytę. Sierpień się kończył. Niedługo będzie po żniwach, a zamierzał dopilnować ich osobiście. U siebie w domu.

Niespodziewany list od matki zniweczył te marzenia. Najwyraźniej to, co się stało pięć lat temu, nie dotknęło jej zbyt. A może chciała naprawić stosunki między nimi w jedyny znany jej sposób.

Pragnęła widzieć żonę u jego boku. A w pokoju dzieciennym kilkoro maluchów. Tak wyglądały jej marzenia. Nie zdołał odpowiedzieć przyjacielowi. Przerwano im. Do jadalni weszła Rosamonda Raycroft, młodsza siostra Johna - zaróżowiona, z błyszczącymi oczami i wyjątkowo urocza po całej godzinie spędzonej na zrywaniu kwiatów w ogrodzie. Peter z sympatią patrzył, jak całuje w policzek brata, a potem zerka ku niemu, udając nadąsaną. Podsunął jej krzesło.

- Och, jakże, mi przykro! - odezwała się, siadając. - Mógłby pan zostać u nas trochę dłużej.

- No cóż, nie powiem, że mi przykro. Wygląda pani tak olśniewająco, że pani widok odebrałby mi apetyt - gdyby nie to, że już jadłem. Poproszę jednak, aby zarezerwowała pani dla mnie pierwszy taniec.

Nadąsana mina znikła natychmiast.

- Ach, więc pan zostaje?!

- Jakże mógłbym się oprzeć - Peter położył prawą dłoń na sercu - skoro nawet pobyt na świeżym powietrzu nie jest w stanie udoskonalić pani wspaniałej cery? Mogłaby pani zjawić się na balu w najskromniejszej sukience. Nawet wtedy uznałbym, że jest pani obdarzona nieodpartym urokiem.

- Widzę, że naprawdę pan zostaje! A ja rzeczywiście mam na sobie najskromniejszą z moich sukien! Och, pan się tylko droczy, mówiąc, że musi jutro wyjechać. Oczywiście, zatańczę z panem. Nie ma pan pojęcia, jak niewielu będzie na balu młodych dżentelmenów.

Większość z nich woli grać w karty, a reszta tylko patrzeć, zupełnie jakby taniec im szkodził!

- Może naprawdę tak jest - stwierdził brat Rosamondy. - Tańce są takim uciążliwym zajęciem.

- Siostry Calvert umrą z zazdrości, gdy się dowiedzą, że mam partnera do pierwszego tańca. I to pana, wicehrabio! - Ros aż złożyła ręce z przejęcia. - Zaraz im o tym powiem!

Obiecałam wybrać się z nimi na spacer. Powinieneś poprosić Gertrudę o pierwszy taniec, Johnie! Przecież wiesz, że mama i pani Calvert spodziewają się tego, mimo że jesteś

zareczony z Alice Hickmore. Gertruda będzie ci za to wdzięczna, dzięki temu uniknie tańca z panem Finnem, okropnym niezgrabiaszem!

Peter uśmiechnął się szeroko.

- Pójdę z tobą i poproszę ją o taniec - zgodził się brat. - Finn jest świetnym gospodarzem, Ros. No i trafia strzyżyka między oczy na sto kroków. Trudno się spodziewać, żeby jeszcze do tego był dobrym tancerzem.

- Trafia strzyżyka?! - Ros zamarła bez ruchu z wrażenia. Dłoń, którą wyciągała po grzanekę, zawisała w powietrzu. - Co za okropność! Mam nadzieję, że Finn nie poprosi do tańca mnie!

- To była tylko przenośnia - wyjaśnił John. - Przecież strzyżyków nikt nie jada.

- No i nikt nie powinien do nich strzelać pod żadnym pozorem - zapewnił ją Peter. -

Biedne, śliczne ptaszki! Czy mogę pani towarzyszyć na przechadzce, panno Raycroft?

Pogoda, jak na razie, wydaje się sprzyjająca, ale dotrzywałbym pani towarzystwa nawet w najgorszą burzę...

Uśmiechnęła się, słysząc komplement, i oczy jej rozblęły. Miała siedemnaście lat, więc nie bywała jeszcze w towarzystwie i nie rozumiała, że Peter nie mówi na serio. Nie flirtowałby z nią, gdyby istniał choć cień prawdopodobieństwa, że może to zostać odebrane niewłaściwie. John był przecież jego najbliższym przyjacielem, a on sam - gościem w ich domu.

- Tylko się przebiorę - odparła, wstając. - Wrócę za piętnaście minut.

- Lepiej za dziesięć, Ros - westchnął John. - Moim zdaniem wyglądasz całkiem korzystnie.

Ros zrobiła zboliałą minę. Peter mrugnął do niej.

- Proszę iść się upiększyć, nawet gdyby miało to pani zająć całe dwadzieścia minut.

Zdecydował. Nie wróci do domu. Przynajmniej nie teraz.

Godzinę później żałował, że ma tylko dwoje, ramion, a nie troje czy czworo. Prawą

rękę podał Ros, a lewą najstarszej z sióstr Calvert, Gertrudzie, więc dwie młodsze, Jane i Mary, mogły tylko szczebiotać u jego boku niczym wdzięczne, barwne ptaszki. John Raycroft kroczył obok, wystawiając twarz na słońce. A gdy rozejrzał się naokoło, stwierdził, że zbiory z pewnością będą w tym roku znakomite. Peter miał nadzieję, że żniwa w Sidley Park udadzą

się równie dobrze. Ledwie o nich pomyślał, zapragnął znaleźć się właśnie tam. Krążyć po polach w starych spodniach i wysokich butach razem ze żniwiarzami, pracując do upadłego, z zakasanyimi rękawami. Robić wszystko to, czego zabraniano mu jako chłopcu, z wyjątkiem jednego, wspaniałego roku, gdy miał już dwadzieścia lat i niecierpliwie wyczekiwał

pełnoletności.

Do licha, po cóż zawiadamiał matkę o powrocie? Dlaczego nie miałby przyjechać bez uprzedzenia? Westchnął. Lecz gdy spojrział na swoje towarzyszki, niemal natychmiast poprawił mu się nastrój.

Panna Gertruda Calvert była ładną młodą damą, mimo że nie miała tak uroczych dołeczków jak jej młodsza siostra Jane ani błękitnych oczu jak najmłodsza z nich, Mary.

Wszystkie trzy słynęły w okolicy z urody. Mogłyby bez trudu zawrócić w głowach nawet londyńskim dandysom i korzystnie wyjść za mąż, nawet gdyby nie miały posagów.

- Musi pan tu zostać dwa tygodnie dłużej, lordzie Whitleaf - Panna Mary Calvert przyspieszyła kroku, żeby się z nim zrównać. - Bardzo chciałybyśmy ujrzeć pana na balu.

Błękitne wstążki kapelusza zawiązane pod brodą i te, które zdobiły jej dekolt - dobrane do koloru oczu - powiewały na wietrze. Jasne loki wymykały się spod ronda. Falujący skraj bawełnianej sukni pozwalał ujrzeć zgrabne kostki. Była naprawdę ładna.

- Czy rzeczywiście muszę? - spytał z przesadnym westchnieniem. Uśmiechnął się do wszystkich dam po kolei, myśląc, że spędził właśnie miły ranek w sympatycznym towarzystwie. Nawet jeśli wołałby teraz jechać do domu. - Choć czuję, trzeba przyznać, nieodpartą pokusę...

Rosamonda Raycroft nie pozwoliła jednak, by ktoś ją pozbawił przyjemności oznajmienia wielkiej nowiny.

- Wicehrabia Whitleaf postanowił dziś rano pozostać u nas! - zawołała. - I zarezerwował sobie u mnie pierwszy taniec!

- Bez żadnego przymusu - zapewnił wszystkich. Mary i Jane Calvert aż klasnęły w dłonie. Ręka najstarszej z sióstr zacisnęła się mocniej wokół jego ramienia. - Jakże mógłbym wyjechać, skoro czeka mnie przyjemność tańczenia z czterema pięknymi paniami... Jeśli tylko one, rzecz jasna, zechcą zatańczyć ze mną! Był to tylko flirt - o czym wszyscy wiedzieli - ale Peter mówił prawdę. Podczas ostatnich dwóch tygodni poznał sąsiadów Raycroftów i szczerze ich polubił, zwłaszcza młode panienki.

Ostatnie z jego słów zagłuszył chóralny śmiech.

- Może panna Gertruda zechce zarezerwować dla mnie drugi taniec, panna Jane trzeci, a panna Mary czwarty? Chyba że się spóźniłem i miejscowi dżentelmeni zdążyli poprosić o to przede mną. Wcale by mnie ten fakt nie zdziwił. Po kolejnym wybuchu śmiechu Peter usłyszał zapewnienia wszystkich trzech sióstr, że nic podobnego nie nastąpiło.

- Zupełnie jakby to w ogóle było możliwe! - dorzuciła Mary ze zgorszeniem.

- Lepiej zatańcz pierwszy taniec ze mną, Gertrudo - dorzucił John Raycroft, niezbyt taktownie. - Pojmuję, że alternatywą jest Finn, a Ros twierdzi, że wołałaby umrzeć, niż mieć

go za partnera.

Wszystkie znowu wybuchnęły śmiechem.

- Miło, że mi to proponujesz - uznała Gertruda. - Pan Finn jest uprzejmy i życzliwy, lubię go niezmiernie, ale tancerz z niego żaden. Peter zrozumiał, że Finn ma wyraźny zamiar oświadczyć się jej w najbliższej przyszłości. - Zapewniano mnie, że pan Finn to dobry gospodarz. - Uśmiechnął się do Gertrudy. - Rozmawiałem z nim o zbiorach, inwentarzu i melioracji gruntów i uznałem, że ma dużą wiedzę.

Uszczęśliwiona dziewczyna spojrzała na niego z wdzięcznością. Nim wyczerpano temat balu, doszli

do rozstajów, gdzie John wskazał laską na dróżkę po prawej, wyjaśniając, że mogą nią dojść do wsi, druga zaś wiedzie do Barclay Court, posiadłości hrabiostwa Edgecombe, którzy wciąż jeszcze bawili w Londynie. Nim zdążył skończyć, siostry Calvert krzyknęły z radości na widok dwóch kobiet, zmierzających ku nim od tamtej strony.

- Ależ właśnie idzie ku nam hrabina! - zawołała Gertruda. - A zatem wrócili, Johnie!

Jak to dobrze!

Peter znał obydwój z widzenia. Zawsze podziwiał hrabinę, wysoką, smukłą, uderzająco piękną brunetkę. Miała najwspanialszy sopran, jaki kiedykolwiek słyszał. Cieszyła się dużą sławą i podróżowała z koncertami po całej Europie.

- Rzeczywiście! - przyznał Raycroft.

Peter zatrzymał wzrok na towarzysze hrabiny, drobnej i zgrabnej dziewczynie. Mógł

dojrzeć pod zielonym kapeluszem, o ton ciemniejszym od sukni, włosy o ciekawym, kasztanowym odcieniu. Miała miłą, uśmiechniętą twarz. Była nietuzinkową piękną, co stwierdził z uznaniem. Ni stąd, ni zowąd w jego myślach skryształizowały się słowa: „To właśnie ona”.

Co to właściwie miało oznaczać? W końcu zawsze podziwiał ładne kobiety i chętnie nawiązywał z nimi znajomości. Zawsze też świadczył im grzeczności, był miły i chętnie flirtował. Ale przez ostatnie pięć lat miał się na baczności przed wszelkim głębszym zaangażowaniem. A tymczasem teraz odruchowo pomyślał:

„To właśnie ona”.

Zupełnie jakby mu czegoś brakowało do szczęścia.

Zaniepokoiła go ta reakcja. Powinien poczuć się głupio. A tymczasem nic podobnego się nie działo.

Wszyscy przywitali się serdecznie. Usłyszał przy tym, że młoda dama to panna Osbourne. Cekał, aż ktoś mu ją przedstawi. Stał blisko i dostrzegł jej oczy szarozielone jak morska woda. Strój również miała dobrany pod względem barw.

Była prawdziwą piękną. Jak mógł jej wcześniej nie poznać? Kim, u diabła, była?

- Lordzie Whitleaf - odezwała się hrabina - niech pan pozwoli sobie przedstawić moją

przyjaciółkę, pannę Osbourne, nauczycielkę ze szkoły panny Martin w Bath, gdzie uczyłam również i ja, zanim wyszłam za Luciusa. Susanno, to wicehrabia Whitleaf Susanna Osbourne.

Imię i nazwisko pasowały do niej. Oczy, wielkie i o długich rzęsach, były przepiękne. Ale i reszcie niczego się nie dało zarzucić.

Dygnęła przed nim. Uwolniony od Rosamondy Raycroft i panien Calvert, które witały się z nowo

przybyłymi, złożył nieznajomej elegancki ukłon i zdobył się na możliwie najcieplejszy uśmiech.

- Panno Osbourne, piękny letni dzień stał się nagle jeszcze piękniejszy.

Wszystkie panny się roześmiały, słysząc ten komplement. Ona jedna nie, a życzliwe dotąd spojrzenie spoczęło na nim z niechęcią. Wzgarda czy uprzedzenie? Jedno albo drugie.

- Witam, milordzie - szepnęła w odpowiedzi. O wiele serdeczniej powitała wszystkich innych.

- Jakże miło spotkać kilkoro przyjaciół tuż po wyjściu z Barclay Court powiedziała hrabina. - Lucius i ja wróciliśmy wczoraj, przywożąc ze sobą Susannę, żeby spędziła tu dwa tygodnie przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego. Miałyśmy właśnie iść do Hareford House, żeby was do siebie zaprosić. Lucius, co prawda, zamknął się dziś na całe rano z rządcą. Tym bardziej powinien pan pójść z nami, lordzie Whitleaf. Mój mąż będzie uradowany.

- Lord Whitleaf zostanie z nami aż do wiejskiego balu - oznajmiła triumfalnie Mary Calvert. - I zatańczy z każdą z nas!

- Czy pani, hrabia i panna Osbourne także przyjdziecie na bal? - spytała Mary.

- Na bal? Po raz pierwszy o nim słyszę, ale z pewnością go nie opuścimy zapewniła ją

hrabina.

John podał jej ramię, drugie - pannie Osbourne, która powitała to serdecznie. Peter postępował za nimi otoczony czterema pozostałymi damami, jeszcze bardziej niż przedtem ożywionymi. A więc panna Susanna Osbourne była nauczycielką? I to z Bath? Nic dziwnego, że wcześniej jej nie poznał.

Smutny los. Zmarnuje się tam. Taka młoda i ładna. Pewnie też inteligentna. No i może mól książkowy?

Męski urok i pochlebstwa nie robiły na niej wrażenia. Powinien inaczej się zachować, kiedy hrabina ich sobie przedstawiała. Unikać komplementów, a zamiast nich wymieniść na przykład nazwy kwiatów. Łacińskie, rzecz jasna. Może to by ją bardziej zainteresowało.

Tylko że, oczywiście, on ich wcale nie znał. Ani jednej.

Szkoła panny Martin, skrzywił się w myśli. Jednocześnie roześmiał się głośno w odpowiedzi na jakiś żarcik Jane Calvert. I ona tak muczy! Coś niesłychanego. Musi być

całkiem wyzuta z poczucia humoru.

Nie, to nie było fair! Cóż on jej takiego powiedział? Coś o letnim dniu? Czy nic lepszego nie potrafił wymyślić? Czyżby sądził, że zacznie się do niego wdzięczyc w odpowiedzi na tani komplement? Czasami zaskakiwała go własna głupota.

Skupił uwagę na obu pannach, które prowadził pod ramię, i na pozostałych dwóch -

żartując z nimi jowialnie przez resztę przechadzki.

Raycroft i obydwie panie z Barclay Court prowadzili - jak mógł sądzić po oderwanych słowach - jakąś całkiem rozumną konwersację.

Poczuł zazdrość. Prawie nigdy nie zdarzało mu się rozmawiać w ten sposób z kobietami. Flirtował z nimi jedynie, i to tak ochoczo, że flirtowanie weszło mu w nałóg. A przecież nie zawsze tak było. Pamiętał, że bardzo długo i z przejęciem gawędził z Berthą. O

wszystkim, co go ciekawiło na uniwersytecie, o religii, o polityce i filozofii. Dopóki nie spojrzał jej kiedyś w oczy i nie zrozumiał, że przeraźliwie ją to nudzi.

ROZDZIAŁ 2

Susanna Osbourne sądziła, że nie uda się jej tego roku wyjechać do Barclay Court.

Czekało ją miłe rozczarowanie, nawet jeśli próbowała sobie wmówić, że jest ono bez znaczenia.

Całe lato spędziła w Bath wraz z Claudią Martin, czuwając nad uczennicami, opłacanymi z pieniędzy dobroczyńców, które nie miały gdzie się podziać podczas wakacji.

Anne Jewell, inna z nauczycielek - rezydentek, pojechała ze swoim synkiem Davidem do Walii na zaproszenie markiza Hallmere.

Podczas nieobecności Anne, w Bath zatrzymała się jednak Frances Marshall, hrabina Edgcombe, dawniej również nauczycielka w szkole panny Martin. Hrabina wracała do swojej posiadłości, Barclay Court w Somerset, razem z mężem. Spędzili kilka miesięcy na podróżach po Austrii i innych europejskich krajach, gdzie Frances występowała jako śpiewaczka. Postanowili zaprosić Claudię, Anne lub Susannę do siebie na dwa tygodnie.

Wszystkie były niegdyś najbliższymi przyjaciółkami Frances.

Claudia namówiła Susannę, by przyjęła zaproszenie. Stwierdziła, że znakomicie poradzi sobie sama z dziewczętami, a w razie czego wynajmie do pomocy jakąś inną

nauczycielkę. Poza tym Anne lada chwila miała wrócić. Susanna protestowała gorąco. Pięć lat wcześniej została zatrudniona przez Claudię, mimo że poprzednio była tylko jedną z uczennic, opłacanych przez dobroczyńców. Dlatego wciąż czuła wdzięczność wobec swojej chlebodawczyni i wolała przełożyć obowiązek nad przyjemności. Odmówiła Frances, a ta -

rzecz jasna - nie chciała się z nią spierać. Ale w dniu odjazdu śpiewaczki powróciła Anne i obecność Susanny w szkole przestała być konieczna.

Tym sposobem u schyłku wyjątkowo ciepłego, słonecznego lata znalazła się w hrabstwie Somerset. Nie po raz pierwszy zresztą. Owe wizyty zawsze sprawiały jej radość. W

Barclay Court niezmiennie przyjmowano ją z życzliwością, hrabia był niezwykle uprzejmy, a sąsiedzi

sympatyczni. Wiedziała, że Frances zrobi wszystko, żeby tylko ugościć ją iście po królewsku, chociaż Susannie wystarczały do szczęścia same wakacje, zwłaszcza w tak wspaniałym otoczeniu.

Razem z Frances poszły z wizytą do Raycroftów, których Susanna od razu polubiła.

Wolały wyruszyć pieszo, niż jechać, bo pogoda była piękna, a one cały poprzedni dzień

spędziły w powozie. Ledwie zdołały przejść kilkaset metrów, gdy natknęły się na młodych Raycroftów i siostry Calvert. Susanna poczuła się wprost cudownie. Życie było takie piękne!

Ale jej doskonały nastrój szybko się zmienił.

Frances rozmawiała z Johnem Raycroftem o Wiedniu, gdzie ostatnio bawiła, a dokąd narzeczona Raycrofta, panna Hickmore, pojechała niedawno na jesień i zimę.

John Raycroft - wysoki, mocno zbudowany rudawy blondyn o twarzy raczej sympatycznej niż przystojnej - zawsze był dla Susanny wyjątkowo miły. Frances powiedziała raz żartem, że Susanna mogłaby go złapać na męża. Nie okazywał jednak zainteresowania jej osobą, podobnie jak ona nim. Nie poczuła też żadnego żalu na wieść o jego zaręczynach, uznała tylko, że panna Hickmore w pełni zasługuje na takiego męża.

Raycroft był na tyle dobrze wychowany, by wciągnąć ją do rozmowy, utrzymując, że nic mu nie wiadomo o Wiedniu i że nigdy nie wychylił nosa poza Wyspy Brytyjskie.

- To musi być piękne miasto - mówił z uprzejmym uśmiechem - ale moim zdaniem nie może się równać z Londynem. Zna pani stolicę, panno Osbourne?

Susanna z wysiłkiem zdołała się skoncentrować na tym, co mówiono. Kręciło jej się w głowie. - Niezbyt dobrze. Spędziłam tam trochę czasu jako dziewczynka, lecz potem wcale nie bywałam w Londynie. Zazdroszczę Frances, która poznała Wiedeń, Paryż i Rzym.

- Lady Edgecombe - spytała któraś z młodych panienek - jak pani sądzi, czy na balu będą grać walca? Wprost umieram z ochoty, żeby go zatańczyć, ale mama nam tego zabrania!

Czy to naprawdę taki oszałamiająco szybki taniec?

- Ależ nie, skądże - odparła Frances, a Susanna odwróciła głowę, żeby zobaczyć, do kogo mówi. - Zresztą nic nie wiedziałam o balu, aż do dzisiaj. Mimo to mam nadzieję, że zagrają walca. To piękny, romantyczny taniec. Bynajmniej nie oszałamiający, w każdym razie nigdy mi się takim nie wydawał.

A on szedł pomiędzy dziewczętami i - co dostrzegła ze ściśniętym sercem dwie z nich trzymał pod rękę, jak wtedy, gdy go przed chwilą po raz pierwszy ujrzała. Otaczające go panny wdzięczyły się do niego tak, jakby był jedynym mężczyzną na świecie. Najwyraźniej zgadzał się z tą opinią.

Postanowiła, że nie poświęci mu ani jednej miłej myśli, choć musiała przyznać, że nie można go winić za noszony przez niego tytuł.

Wicehrabia Whitleaf.

Zmroziło ją samo brzmienie tych słów, gdy Frances ich sobie przedstawiła.

Bez wątpienia był najprzystojniejszym młodym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Przyszło jej to na myśl, nim jeszcze znalazła się na tyle blisko niego, by dostrzec jego niezwykle fiołkowe oczy. Miał na sobie granatowy surdut, pantalony o płowym odcieniu

- świetnie utrzymane przez lokaja - i kosztowne buty z miękkiej skóry, pokryte już jednak warstewką pyłu. Śnieżnobiałą koszulę uszyto z najcieńszego płótna. Cylinder tkwił na ciemnych włosach pod takim kątem, by nadawać mu wygląd nieco swobodny, lecz nie był

przekrzywiony na bakier. Miał wspaniałą sylwetkę - wysoki i smukły, choć barki były należycie szerokie, a łydki bynajmniej nie cienkie. Nie znalazła w jego wyglądzie najmniejszej skazy.

Gdy go zobaczyła wśród Raycroftów i panien Calvert, widok przepelnił ją podziwem.

Ale właśnie wtedy Frances wymieniła jego nazwisko. Skłonił się z wyszukaną elegancją, całkiem niezwykłą na wiejskiej dróżce, posłał jej wystudiowany uśmiech i powiedział jakiś

gładki, zabawny komplement, zagładając jej głęboko w oczy.

Jedna z młodych panienek parsknęła wesołym śmiechem, lecz Susanna nie umiała mu odpowiedzieć. Miała wręcz sparaliżowany umysł i jedynie przez przypadek zachowała kontrolę nad ciałem.

Trudno, nie mógł nic poradzić na to, że nosił wicehrabiowski tytuł. Znienawidziła go jednak od razu. Stanowczo mężczyzna nie powinien sprawiać, żeby kobieta traciła na jego widok głowę! Choć mało wiedziała o mężczyznach, umiała rozpoznać zadowolonego z siebie pyszałka, który się spodziewa, że każda poznana przezeń dama musi paść mu do stóp.

A wicehrabia Whitleaf był właśnie taki. Pasował do swojego tytułu.

Z wdzięcznością przyjęła zaofiarowane jej przez Raycrofta ramię. Mimo to wyczuwała całym ciałem obecność wicehrabiego za swoimi plecami, choć gardziła sobą z tego powodu.

Nazwisko Osbourne nic mu chyba nie mówiło. Za to również nie mogła go winić. Był

wtedy małym chłopcem. A jednak powinien pamiętać jej nazwisko, tak jak ona jego.

Co za szkoda, że Anne wróciła do Bath. Gdyby spóźniła się choćby o dzień, Susanna nie znalazłaby się w Barclay Court. Nagle zatęskniła za szkołą. Życie było tam nudne i jednostajne, ale dawało poczucie bezpieczeństwa.

Dlaczego pozwala, by wakacje zepsuł jej jakiś zarozumialec, który sądzi, że każda kobieta - gdy tylko na nią spojrzy tymi fiołkowymi oczami - musi się w nim po uszy zakochać?

Instynktownie się wyprostowała, uniosła podbródek i zapytała Johna Raycrofta, dokąd najchętniej by

wyjechał. Czy do Grecji, jak ona?

- Grecja z pewnością warta jest poznania, lecz słyszałem, że podróż tam bywa uciążliwa, a ja lubię wygodę.

- Nie ganię pana za to - stwierdziła Frances. - I zapewniam, że żaden kraj nie może się równać z Anglią pod względem piękności. Jak dobrze znaleźć się znowu w domu!

Wkrótce doszli do wioski i zaczęli gawędzić z panią Calvert, która powitała ich w drzwiach. Mimo jej zaproszeń nie zatrzymali się tam długo. Dalej poszli już bez trzech sióstr.

Wicehrabia prowadził pod rękę pannę Raycroft. Przez cały czas wesoło rozmawiali, najwyraźniej dobrze się czując w swoim towarzystwie.

Razem z Frances wypłyły u Raycroftów herbatę i gawędziły z nimi uprzejmie przez pół godziny, nim hrabina zaczęła się żegnać.

- Nie sądzę, by chciał nas pan odprowadzać - zwróciła się do Johna - skoro był pan już na przechadzce. Może jutro spotkamy się w Barclay Court?

- Mam nadzieję, że zaproszenie dotyczy również i mnie, madame. A choć i ja byłem już dzisiaj na spacerze, chętnie złożę wyrazy uszanowania hrabiemu. A może ty, Raycroft, udasz się z nami? Chyba że satysfakcja odprowadzenia obydwu dam do Barclay Court ma przypaść w udziale wyłącznie mnie?

Susanna wpatrywała się w twarz Johna wręcz desperacko. Ucieszyła się, gdy odparł, że gotów jest do ponownej wędrowki. Ulga trwała jednak krótko. Chciała się znaleźć w jednej parze z Frances lub Raycroftem, lecz ten zwrócił się akurat do hrabiny z jakimś pytaniem, tak więc siłą rzeczy zaoferował ramię właśnie jej. Susanna nie miała wyboru. Musiała towarzyszyć wicehrabiemu.

Czy mogło jej się przydarzyć coś gorszego? Spojrzała na mężczyznę ze szczerą niechęcią i założyła ręce do tyłu, nim zdołał jej podać ramię.

O czymże mieli ze sobą rozmawiać?

Ze wstrętem czuła jego obecność przy swoim boku, chociaż dzielił ich spory odstęp.

Żołądek skurczył się jej boleśnie, a język odmówił posłuszeństwa.

Pogardzała sobą za to, że nie czuje się z nim tak swobodnie jak wcześniej panna Raycroft czy siostry Calvert. W końcu był tylko zadufanym w sobie mężczyzną. Nie miała zamiaru robić na nim wrażenia. Wystarczy, że będzie uprzejma.

Ale nie mogła znaleźć żadnego tematu do uprzejmej rozmowy. Coś podobnego!

Zachowuje się jak dziewczynka, która dopiero co opuściła szkołę! Chociaż, prawdę mówiąc, ona w gruncie rzeczy jej nie opuściła. Ma już dwadzieścia trzy lata, a żaden mężczyzna się o nią nie starał i nigdy się nie całowała. Równie dobrze mogłaby spędzić ostatnie jedenaście lat w klasztorze!

Gdy już byli w połowie drogi do Barclay Court, on zdołał wypowiedzieć cztery słowa.

Ona - jedno.

- Mamy dzisiaj piękny dzień! - zaczął, uśmiechając się do niej życzliwie, a raczej do rąk jej kapelusika, które znajdowało się dokładnie na wysokości jego ramion.

- Tak.

Szła sztywno wyprostowana, z rękami wciąż założonymi za plecy, co wyraźnie wskazywało, że nie chce przyjąć jego ramienia. Zastanawiał się, czy w ogóle zamierza z nim rozmawiać. A może nadal jest na niego obrażona za porównanie jej do letniego dnia. Przecież

miał nie najgorszego poprzednika. Wcześniej tego zwrotu użył sam Szekspir! Uznał, że czuje się urażona i właśnie dlatego milczy. W końcu dopiero co rozmawiała żywo z panią Raycroft, choć ani razu nie spojrzała ku niemu. Za to on na nią patrzył niemal bez przerwy.

Znów go nawiedziła ta sama dziwna myśl: „To właśnie ona”.

Kim była, na litość boską?

Nigdy jeszcze żadna dama nie dała mu tak wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie jego towarzystwa. Oczywiście, nie znał dotąd żadnej nauczycielki, a był to najwyraźniej całkiem inny rodzaj kobiet niż te, z którymi zwykle przestawał. Możliwe, że bardziej srogie od pozostałych.

- Ma pani zupełną rację - odparł w końcu, tylko po to, by się przekonać, co ona na to odpowie. - Ten letni dzień nie jest piękniejszy ani pogodniejszy dzięki pani obecności. To było niemądre stwierdzenie.

Spojrzała na niego i nim rondo kapelusza ponownie skryło jej twarz, znowu go uderzył kontrast barw między jej włosami i oczami. Ujrzał też, że śmietankowa, nieskazitelna cera zdrowo poróżowiała od wiatru.

- Owszem - zgodziła się, wypowiadając drugie słowo od czasu opuszczenia Hareford House.

Nie mógł się oprzeć chęci dalszej konwersacji. - To w moim sercu - rzekł, kładąc na nim prawą dłoń - zrobiło się cieplej i pogodniej.

Tym razem nie podniosła na niego wzroku. Z rozbawieniem dostrzegł, że rondo kapelusika jakby zeszywniało.

- Serce - odparła - jest jedynie organem w klatce piersiowej. Ach, zrozumiała go dosłownie. Uśmiechnął się.

- Istotnie, ale cóż to za nieromantyczny pogląd! Lekceważy pani sobie całe pokolenia poetów, nie mówiąc już o zakochanych.

- Nie jestem romantyczką.

- Doprawdy? A zatem, pani zdaniem, nie ma niczego takiego jak uczucia? Czy nic w naszym ciele lub w duszy nie czuje wrażliwości na piękno?

Sądził już, że nie doczeka się odpowiedzi. Doszli właśnie do rozstajów, gdzie zobaczył ją po raz pierwszy.

- Stroi pan sobie żarty z uczuć - odparła tak cicho, że nachylił się, chcąc usłyszeć następne słowa.

Jednak nic więcej nie powiedziała.

- Sądzi pani, że jestem do nich niezdolny? - Niczego podobnego nie stwierdziłam. -

Ależ tak. Zrobiła to pani. Ta osobliwa, śmiertelnie poważna i wyniosła osóbką o wyglądzie anioła zaczęła go nieoczekiwanie bawić.

- Przepraszam. Nie powinnam była tak mówić.

- Ma pani rację. Zostałem zraniony w samo serce, ów organ w klatce piersiowej.

Ogromnie się różnimy w odczuciach, panno Osbourne. Pani, po usłyszeniu mego płytkiego i niemądrego komplementu, doszła do wniosku, że nic mi nie wiadomo o głębszych ludzkich uczuciach. Ja zaś, patrząc na panią, tak poważną i nieprzychylnie do mnie usposobioną, doznałem czegoś, co nazwałbym po prostu zauroczeniem.

- A teraz z kolei stroi pan sobie ze mnie żarty.

Miała niski głos, mile brzmiący nawet wtedy, gdy ją coś zgorszyło. Była niewysoka i szczupła, chociaż we właściwych miejscach zaokrąglona. Jak udaje jej się podporządkować

sobie klasę dziewcząt, które bez wątplenia wołałyby się znajdować całkiem gdzie indziej niż

w szkole? Czy dają się jej we znaki? A może jest twarda jak stal? Założyłby się, że tak. Stal, a nie serdeczność. Biedne dziewczęta!

- Obawiam się, że tych parę niemądrych słów pogrzyżyło mnie w pani oczach. Może zmienimy temat? Jak zazwyczaj spędza pani wakacje?

- Właściwie wcale ich nie mam. Za połowę uczennic płacą dobroczyńcy. Te dziewczęta przebywają w szkole przez cały rok, któraś z nas musi więc czuwać nad nimi i wynajdywać dla nich rozrywkę. - Któraś z nas?

- W szkole uczą trzy nauczycielki. Było nas cztery, póki Frances nie wyszła za mąż dwa lata temu. Teraz pozostały tylko panna Martin i panna Jewell. No i ja.

- I wszystkie panie poświęcają wakacje na rzecz dziewcząt bez rodzin?

Dojrzał w jej wzroku wyrzut.

- Sama byłam jedną z nich od dwunastego roku życia. Kiedy skończyłam osiemnaście lat, panna Martin pozwoliła mi nauczać.

Ach tak? Niesłychane. A więc rozmawiał z sierotą, która przedzierzgnęła się w nauczycielkę. Nic dziwnego, że nie mogli się porozumieć. Pochodzili z dwóch różnych swatów i tylko dzięki przypadkowi znaleźli się razem na tej ścieżce.

- Wcale się nie poświęcamy. Szkoła jest naszym domem, a dziewczęta rodziną.

Oczywiście, miewamy chwile wytchnienia. Anne, to znaczy panna Jewell, wróciła właśnie po miesiącu spędzonym z synkiem w Walii. Ja pozostanę tu przez całe dwa tygodnie. Od czasu do czasu nawet Claudia Martin spędza kilka dni poza szkołą. Zresztą na ogół szczęście daje nam praca. Próżniacze życie mi nie odpowiada.

Co za duma. Nie chciała słyszeć o pogodzie, dała mu od razu po nosie, gdy wspomniał

o uczuciach, ale o szkole, nauczycielkach i uczennicach, za które płacą dobroczyńcy, mogła rozmawiać bez przerwy. Boże, co za kobieta!

Była jednak ładniejsza niż wszystkie, które wcześniej widział. Zawsze uważał, że los lubi płatać mu figle i teraz był o tym głęboko przeświadczony, lecz jaskrawy kontrast między jej aparycją a charakterem fascynował go coraz bardziej. - Zapewne chciała pani przez to powiedzieć, że mnie odpowiada takie życie? Zaśmiał się.

- Ton łagodny, ale słowa ostre jak brzytwa! Na pewno uczennice się pani boją.

Niezupełnie się myliła. Rzeczywiście był próżniakiem, przynajmniej przez ostatnie pięć lat.

Owszem, chciał się zmienić, ale jak dotąd bez skutku. Trafiła w sedno. Nie miał nic na swoją obronę.

- Myślałam jedynie o sobie, milordzie. Nie o panu. Dostrzegł, że ma nieduże, zgrabne stopy. Podczas herbatki w Hareford House zauważył też, że jej dłonie są małe i delikatne.

Zamyślił się. Panna Susanna Osbourne gardziła nim i zapewne go nie lubiła. Co właściwie mogła czuć jako opłacana przez dobroczyńców uczennica w szkole, gdzie teraz sama uczyła?

- Lubi pani nauczać?

- Bardzo. Nie chciałabym robić nic innego, nawet gdybym mogła wybierać.

- Naprawdę? - Zastanawiał się, czy mówi prawdę, czy też tylko tak jej się wydaje. -

Wolałaby pani posadę nauczycielki od małżeństwa czy macierzyństwa?

Milczała dłuższą chwilę. Tak długą, że pożałował swego pytania. Było w gruncie rzeczy nietaktowne, a może nawet bolesne. Nie mógł go jednak cofnąć.

- Chciałam powiedzieć, że zostałabym nauczycielką, nawet gdybym mogła wybierać

spośród innych rzeczy możliwych do urzeczywistnienia.

- A małżeństwo nie jest czymś takim?

Dopiero gdy zobaczył jej odkrytą szyję, zrozumiał, jak nisko spuściła głowę. Mogła teraz patrzeć tylko na własne stopy. Niech to licho, postawił ją w kłopotliwej sytuacji, a przecież zazwyczaj się tak nie zachowywał.

- Nie - odparła w końcu.

Oczywiście, sam doszedłby do tego wniosku, gdyby tylko trochę pomyślał. Czy często się słyszy o tym, by guwernantki wychodziły za mąż? Nauczycielka ma pewnie jeszcze mniej szans, żeby poznać odpowiedniego mężczyznę. Jakże hrabinie udało się wyjść za Edgecombe'a? Aż do dzisiejszego dnia nie wiedział, że przedtem uczyła w szkole. Musiały to być doprawdy osobliwe zaloty!

Kobiety z jego sfery myślały tylko o małżeństwie. Jego siostry uznałyby swoje życie za nieudane, gdyby - jedna za drugą - nie stanęły we względnie młodym wieku przed ołtarzem wraz z odpowiednimi kandydatami do ożenku. Każda była za to szczerze wdzięczna mężowi, a jeszcze bardziej własnej matce.

- Ano cóż, nie wiadomo, co przyszłość przyniesie. Musi mi pani kiedyś wyjaśnić, dlaczego nauczanie daje pani tyle zadowolenia. Tylko nie dzisiaj, bo już się zbliżamy do Barclay Court. Porozmawiamy o tym, kiedy się znowu spotkamy w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

Spojrzała na niego uważnie. Roześmiał się.

- Czuję, że zaczyna się pani zastanawiać, w jaki sposób uniknąć spotkania.

Zapewniam, że to niemożliwe. Na prowincji sąsiedzi nie zostawią nikogo w spokoju. Inaczej umarliby z nudów. Zabawię w Hareford House jeszcze przez dwa tygodnie, podobnie jak pani w Barclay Court. Cieszę się teraz, że postanowiłem odłożyć swój powrót do domu.

Z zaskoczeniem odkrył, że mówi prawdę. Tylko dlaczego miałby utrzymywać

znajomość z kobietą, która go nie lubi i potępia jego sposób życia? Z powodu urody? A może dlatego, że pragnie, żeby się wreszcie uśmiechnęła lub powiedziała mu coś życzliwego?

Może to rzeczywiście dobry pomysł, żeby z nią porozmawiać o nauczaniu. Od dawna rozmowy - i życie, jakie wiódł - były mocno nieciekawe.

- Sądziłam, że będzie pan przestawał raczej z panną Raycroft lub z siostrami Calvert. -

Ależ oczywiście! - Roześmiał się. - Przecież to urocze młode damy. Któż mógłby się oprzeć ich urokowi?

- Nie wierzę, aby się pan spodziewał po mnie czegoś podobnego.

- To pytanie było tylko retoryczne, panno Osbourne. Nie poświęcę tym paniom całego czasu. Ktoś mógłby niewłaściwie zrozumieć moje zainteresowanie. A poza tym nie czuję

zauroczenia, przebywając w ich towarzystwie.

- Chciałabym prosić - odparła lodowato, gdy wchodzili już na taras przed Barclay House - żeby nie rozmawiał pan ze mną w tak żartobliwy sposób. Nie umiem się wtedy zdobyć na odpowiedź. Nie życzę też sobie, żeby mnie pan wyróżniał spośród innych.

Do licha, czyżby obraził ją jeszcze bardziej, niż sądził?

- Czy mam zatem przez dwa tygodnie udawać, że pani nie widzę? Obawiam się, że Edgecombe i jego żona uznają mnie wtedy za człowieka fatalnie wychowanego. Będę się

więc pani kłaniał przy każdym spotkaniu, zamiast mówić o pogodzie i robić do niej aluzje.

Czy to pani odpowiada?

Zawahała się.

- Tak - odpowiedziała wreszcie, kończąc rozmowę tą samą monosylabą, co na początku.

Edgecombe musiał ich widzieć, gdy się zbliżali, bo wyszedł ku gościom i przywitał się z nimi z uśmiechem.

- A zatem namówiłaś ich, żeby przyszli? - spytał, obejmując żonę w pół. Miło mi pana widzieć, Raycroft. A, jest z wami Whitleaf? Doskonale! Wejdźcie do środka.

Uśmiechnął się uprzejmie do Susanny, podając jej ramię, które przyjęła bez wahania.

- Może przyjmiesz gości w bibliotece, Luciusie? - zapytała hrabina. - Nie będziemy wam

przeszkadzać. - Dziękuję - odparł, ponownie obejmując ją w pół. - Pastor wspomniał o balu. Chyba już o tym wiesz? Przyrzekł, że się na nim pojawi. Pożegnali się serdecznie i hrabina pospieszyła ku schodom, w ślad za Susanną.

- Znakomicie. - Hrabia zatarł ręce i zwrócił się do gości.

- Napijemy się czegoś w bibliotece? Niech panowie opowiedzą mi o wszystkim, co straciłem, nie będąc tu w sezonie. Słyszałem, że się pan w końcu zaręczył z panną Hickmore, Raycroft? Moje gratulacje! Uważam, że dokonał pan świetnego wyboru.

ROZDZIAŁ 3

Nie znoszę go! - rzuciła gwałtownie Susanna, gdy Frances zapytała ją, co sądzi o wicehrabim.

- Naprawdę? - zdumiała się przyjaciółka. - Przecież jest przystojny i bardzo miły, a przynajmniej zawsze tak uważałam.

Susanna zbyła milczeniem uwagę o aparycji Whitleafa, chociaż jej zdaniem zasługiwał pod tym względem na znacznie większe uznanie.

- Cały jego wdzięk jest sztuczny - odparła, zdejmując kapelusz i potrząsając lokami przed lustrem, podczas gdy Frances stała wciąż w drzwiach, kręcąc w palcach wstążki od własnego nakrycia głowy. - Wszystko, co mówi, brzmi nieszczerze, a jego myśli też pewnie są takie.

- Och, moja droga, a więc nie spodobał ci się? - spytała Frances z rozbawieniem. - A ja sądziłam, że z tobą flirtuje.

- Przecież słyszałaś, co mi powiedział na powitanie. - Susanna odwróciła się od lustra i wskazała Frances krzesło przy gotowalni. Hrabina weszła do pokoju, ale nie skorzystała z zaproszenia.

- Owszem, coś zabawnego - przyznała. - Nie chciał cię obrazić. Wielu damom na pewno podobają się komplementy tego typu.

- Bezmyślny zarozumialec! Frances przyglądała się jej z troską.

- Czy nie osądzasz go nazbyt pochopnie? Nigdy nie słyszałam o nim złego słowa. Nikt go nie nazywa hulaką, karciarzem czy nicponiem, a takie słowa często padają pod adresem londyńskich złotych młodzieńców. Lucius go lubi, a ja, muszę przyznać, również, choć nigdy nie prawil mi słodkich słówek.

- Nie rozumiem, co te dziewczęta w nim widzą.

- Rosamonda Raycroft i siostry Calvert? Och, w gruncie rzeczy nic takiego.

On jest Whitleafem, dobrze urodzonym, bogatym młodzieńcem, kimś poza ich zasięgiem. Doskonale zdają sobie z tego sprawę, ale cieszą je okazywane względy. Któż

może to potępiac? Życie na prowincji jest takie nudne, zwłaszcza jeśli ktoś nigdy nie oddalił się od domu na więcej niż pięć mil! A on zręcznie z nimi flirtuje, nie wyróżniając żadnej, co mogłoby potem prowadzić do rozczarowań. Założę się, że dobrze to rozumieją i poszukują sobie mężów gdzie indziej. W towarzystwie często właśnie tak się dzieje.

- W takim razie cieszę się, że do niego nie należę. Jakież to wszystko sztuczne!

Susanna dostrzegła spojrzenie Frances i nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem.

- No, no - odparła, gdy zdołała zaczerpnąć tchu - pewnie myślisz, że mówię jak zasuszona stara panna!

- Na którą wcale nie wyglądasz. - Frances również się roześmiała. Flirtował z tobą

całą drogę, a ty mu odpowiadałaś śmiertelnie poważnym tonem. Biedaczysko! Pewnie czuł się zakłopotany. Szkoda, że was nie mogłam słyszeć.

I znów się obydwie zaśmiały, a Susanna uznała, że chyba trochę przesadziła. Może nie osądzałyby go tak surowo, gdyby nazywał się Jones albo Smith, a nie Whitleaf?

- Skądinąd zawsze chciałam wyjść za księcia. Książę albo nikt! A zatem wicehrabia się nie liczy!

Obie rozśmieszył ten absurdalny żarcik. Wicehrabia się nie liczy! A to dopiero!

- Chodź ze mną do bawialni - zachęciła ją Frances. - Poślemy po herbatę i pogadamy sobie, siedząc wygodnie, póki goście nie pójdą. To była długa przechadzka jak na tak ciepły dzień. Chce mi się pić. No, ale przynajmniej rozprostowałyśmy nogi. Mam po uszy siedzenia w powozie przez ostatnie kilka miesięcy. Wystarczy mi tego do przyszłego roku! Susanna poszła za nią i usiadła w obitym brokatem fotelu. Frances pociągnęła za sznur od dzwonka.

Nie przestała jednak rozprawiać o wicehrabim.

- Rzecz jasna, miej się przed nim na baczności. Ma opinię pożeracza serc. Ale ty jesteś

za mądra, żeby mógł cię złapać na czułe słówka. Mimo to w okolicy musi się znaleźć ktoś w sam raz dla ciebie. Bardzo bym chciała, żebyś się dobrze urządziła w życiu. Pan Birney, nasz pastor, objął tę parafię niedługo przed moim wyjazdem, nie znam go więc dobrze. Prezentuje się wszakże nie najgorzej, ma wytworne maniery. No i nie jest żonaty. A przynajmniej nie był

pół roku temu. Ma ledwie trzydzieści lat. Poza nim są tutaj jeszcze Finn i dzierżawca Luciusa, człowiek dobrze urodzony, prawy, gospodarny i całkiem przystojny. Chyba go poznałaś

podczas zeszłego pobytu?

- Poznałam, ale czy on czasami nie stara się o najstarszą z sióstr Calvert?

- Być może, ale nie jestem pewna, czy ona sama patrzy na to przychylnie. Ale jeśli są po słowie, to musimy go spisać na straty. Za to możesz też wziąć pod uwagę pana Dannena.

Ma własną posiadłość i chyba również pewną fortunę. W każdym razie wydaje się majątny.

Nie poznałaś go poprzednim razem, bo bawił, zdaje się, w Szkocji. Co prawda jest trochę przysadzisty, ale ty też nie jesteś wysoka. Skądinąd niebrzydki. Oczywiście, on...

- Frances, nie swataj mnie tak zawzięcie.

- A właśnie, że będę to robić! - Frances, po wydaniu poleceń gospodyni, siadła na sofie i spojrzała Susannie prosto w twarz.

- Ty, Claudia i Anne wciąż pozostajecie moimi najlepszymi przyjaciółkami. Tak pragnę, żebyście wszystkie były szczęśliwe jak ja. W okolicy musi się znaleźć trzech przyzwoitych kawalerów dla was...

Susanna się roześmiała z jeszcze większym rozbawieniem niż poprzednio, a Frances zawtórowała jej po chwili.

- A w każdym razie przynajmniej dla jednej z was. Nie mogę sobie wyobrazić Claudii jako żony. Z kolei Anne jest tak przywiązana do Davida, że nie zechce mu chyba zafundować

ojczyzna. Mógłby go źle traktować. David Jewell był nieślubnym dzieckiem Anne. Ich przyjaciółka nigdy nie miała męża.

- A zatem pozostają tylko ja?

- Jako jedyna. - Frances ujęła ją mocno za rękę. - Jesteś taka śliczna i taka łagodna, Susanno! To niesprawiedliwe, że los rzucił cię akurat do szkoły dla dziewcząt, gdzie żaden odpowiedni mężczyzna nie może się o ciebie starać.

- Wcale nie - odparła stanowczo, wyzwalając dłonie z uścisku Frances. - Mnóstwo dziewcząt miało o wiele mniej szczęścia ode mnie. Wiesz przecież, jak kocham szkołę, wszystkie uczennice, Claudię, Anne, nawet pana Keeble'a i obydwóch nauczycieli.

Pan Keeble był starym szkolnym odźwiernym.

- Wiem - westchnęła Frances. - Ja też kochałam szkołę, póki Lucius mi nie uświadomił, że o wiele bardziej kocham śpiew. No i jego samego. Właśnie niosą herbatę.

Obydwie umilkły. Frances napełniła filiżanki i podała jedną przyjaciółce.

- Niedługo odbędzie się wiejski bal. Przyjechaliśmy w samą porę.

- Zapewne okaże się wspaniały, ale trochę się boję. Nigdy jeszcze nie byłam na żadnym.

- Och! - Frances spojrzała na nią tak, jakby dopiero teraz to sobie uświadomiła. -

Jasne, że nie. Ale przecież zawsze pokazywałaś kroki taneczne dziewczętom. Teraz będziesz przynajmniej mogła wypróbować w praktyce te umiejętności. Nic się nie martw, nikt tu nie zauważy błędu. To tylko wiejski bal i ludzie będą się na nim wesoło bawić, a nie obmawiać

bliźnich. A jeżeli się lękasz, że wicehrabia Whitleaf też się na nim znajdzie, to już lepiej byłoby, żeby wcześniej wyjechał do Sidley Park. Nie wolno ci się go bać!

Sidley Park! Serce Susanny załomotało gwałtownie. Ach, dlaczego wicehrabia Whitleaf musiał być przyjacielem Raycrofta i akurat teraz przyjechać do Hareford House w odwiedziny! Przez jedenaście lat nic jej nie przypominało dzieciństwa ani jego nagłego, strasznego kresu. Zdołała nawet przekonać samą siebie, że o wszystkim zapomniała. - Lucius

- ciągnęła Frances - niemalże zmusił pastora, żeby na balu przynajmniej raz zagrano walca.

Czy ci opowiadałam, jak go po raz pierwszy tańczyłam w zakurzonej sali nad opustoszałą

oberżą, bez gości, bez ogrzewania, chociaż podczas mrozu, no i bez żadnej muzyki?

- Bez muzyki?!

- Nuciałam sobie melodię pod nosem - przyznała Frances - ale to był najwspanialszy z walców, Susanno, wierz mi.

Znów obydwie zamilkły. Frances jeszcze raz przeżywała wszystko w wyobraźni, o czym świadczył żywy rumieniec na policzkach, a Susanna rozmyślała nad tym, czy ktokolwiek poprosi ją do tańca na wiejskim balu. Bardzo tego pragnęła. Choćby to wcale nie był walc, tylko pierwszy lepszy inny taniec. Jeden jedyny.

Wiedziała, jak się tańczy walca, bo pan Huckerby, nauczyciel tańca, zawsze uczył

jego kroków dziewczęta, chociaż nigdy nie pozwolił sobie zademonstrować tego tańca z żadną uczennicą. Jeśli już to tylko z którąś z nauczycielek, a i to jedynie dlatego, że uważał to za swój obowiązek. Zazwyczaj jego partnerką bywała Frances, później Susanna lub Anne, a czasem mademoiselle Etienne, która uczyła francuskiego.

Susanna wolała walca od wszystkich innych tańców. Prawda, że taniec z panem Huckerbym nie miał w sobie nic romantycznego. Zwłaszcza w otoczeniu uczennic, z trudem tłumiących chichot. Ale zawsze marzyła, że kiedyś zatańczy walca we wspaniałej, jarzącej się

od świateł sali, w objęciach wysokiego, przystojnego młodzieńca, który spojrzy jej w oczy tak, jakby tylko oni dwoje istnieli na świecie.

Powiedziała Whitleafowi, że nie jest romantyczką. Co za łągarstwo! Lubiła pracowite życie nauczycielki - tutaj wcale nie minęła się z prawdą - lecz jej marzenia pełne były romantycznych obrazów.

Sięgnęła po sucharek imbirowy, chcąc się otrząsnąć z myśli. Cóż on takiego powiedział? Że ugodziła go w samo serce? O mało nie parsknęła śmiechem. Musi uważać, bo wyjdzie wobec Frances na idiotkę.

A potem znów zaczęła rozmyślać o Sidley Park. Aż do dwunastego roku życia mieszkała zaledwie parę mil od niego, mimo że w samym pałacu nigdy nie była. Wiedziała, że to dom wicehrabiny Whitleaf, choć żyli w nim również mały wicehrabia i jego pięć

siostrzyczek, a wszyscy oni nazywali się Edgeworth. Przypomniała sobie, jaki niepokój ją

ogarnął, kiedy Frances po raz pierwszy wymieniła nazwisko „Edgecombe”. Zastanawiała się

wtedy, czy nie chodzi o tę samą rodzinę. Dopiero po chwili dotarło do niej, że nie są to identyczne nazwiska.

Z całych sił starała się wystrzegać roztrząsania bolesnych wspomnień. Słyszała, że niektórzy ludzie potrafią zapomnieć o przykrych przeżyciach. Czasami pragnęła także mieć

taką umiejętność.

A teraz jedno z tych niechcianych wspomnień niespodziewanie ją nawiedziło. Miała wtedy pięć lub sześć lat i bawiła się nad jeziorem z Edith Markham, gdy przyłączył się do nich kilka lat starszy chłopiec. Zapytał, wesoło i z wielkim zaciekawieniem, co tam robią, a potem przykucnął na pochyłym brzegu, żeby zobaczyć, czy Susanna złowiła coś na wędkę, którą sama sobie zrobiła z patyka.

- Och, nie masz szczęścia! - zawołał. - Założę się, że dzisiaj ryby nie biorą, bo czasami wcale nie chcą. Przynajmniej tak słyszałem. Mama nie pozwala mi łowić. Boi się, żebym nie złapał kataru zamiast ryby. Cha, Cha! Zdarzyło ci się kiedyś coś takiego? Czy twoja mama też

cię wiecznie beszta? O, jakie masz zielone oczy, nigdy podobnych nie widziałem! Pasują do tych rudych włosów. Słowo daję, będziesz bardzo ładna, kiedy urośniesz. Ale i teraz wcale nie jesteś brzydka. O, przepraszam, zapomniałem o dobrych manierach! Dżentelmen nigdy nie daje damie do zrozumienia, że może być nieładna! Czy pozwolisz mi potrzymać wędkę?

Może mi się bardziej poszczęści, ale ty masz pewnie więcej wprawy!

Ale ledwie przy niej usiadł i ujął wędkę - uszczęśliwiony i przyjazny pojawiła się

jakaś strasznie zgorszona, starsza od niego dziewczynka i szepnęła, że nie powinien się z nią, Susanną, bawić. A potem druga, jeszcze starsza, odciągnęła go za rękę, wołając, że absolutnie nie wolno mu się zbliżać do wody. Bo mógłby do niej wpaść, utopić się i co by wtedy wszystkie poczęły?!

Edith odbiegła razem z nimi. Susanna dowiedziała się później, że wicehrabina Whitleaf przyszła wówczas do nich z wizytą, wraz z młodym wicehrabią, swoim synkiem, i córkami. Susanna przez całe lata nie pamiętała o tym wydarzeniu. Dziwiła się, że w ogóle zdołała je sobie przypomnieć. Czy ów towarzyski, gadatliwy i otoczony nadmierną opieką

chłopczyk oraz wicehrabia, którego spotkała dzisiejszego popołudnia, byli jedną i tą samą

osobą? Widocznie tak. Wtedy chciała się z nim zaprzyjaźnić. Łudziła się, że znowu przyjdzie z wizytą, ale już go więcej nie ujrziała.

Nawet przed laty należeli do dwóch odrębnych światów.

- Jesteśmy zaproszeni na jutrzejszy wieczór przez pana Dannena i jego matkę -

powiedziała Frances. - Będiesz mu się mogła przyjrzeć i uznać, czy ci się spodobał.

Uśmiechnęła się, widząc minę Susanny, a potem obie parsknęły zgodnym śmiechem.

Peter nie mylił się w swojej opinii o wiejskich sąsiadach, którzy bez przerwy widywali się na zaimprovizowanych przechadzkach, konnych przejażdżkach lub wpadali do siebie z wizytami, a także spotykali się przy bardziej oficjalnych okazjach, jak obiady, wycieczki powozem czy przyjęcia w ogrodach.

Dzień po tym, jak poznał Susannę Osbourne, odbyło się jedno z takich przyjęć. Matka Dannena przyjechała właśnie ze Szkocji, żeby spędzić kilka tygodni z synem. Dannen zaprosił sąsiadów na wieczorek z kartami i muzyką, po którym miał nastąpić obiad.

Raycroftowie zjawili się tam jako jedni z pierwszych. Potem nadeszli hrabiostwo Edgecombe z panną Osbourne. Panna Krebs siadła przy Peterze na sofie. Jane i Mary Calvert poszły jej śladem. Pierwsza usadowiła się na krzeselku, druga na otomanie, panna Raycroft wsparła się o sofę, nie przyjmując propozycji Petera, że ustąpi jej miejsca.

Wszystkie damy, oczywiście, rozprawiały o balu. Panna Krebs spytała, czy nie jest czymś krępującym tańczyć walca twarzą w twarz z partnerką i w dodatku obejmować ją przez cały czas.

Niektóre dziewczęta, słysząc to, zachichotały, a potem wszystkie zamilkły, pragnąc usłyszeć odpowiedź.

- Krępującym? - odparł, spoglądając na nie z udanym zdziwieniem. Patrząc na śliczną

buzię damy, którą w dodatku obejmuję w pół i trzymam za rączkę, to chyba najmiłszy sposób spędzania czasu, nie sądzi pani?'

- Och! - Mary Calvert westchnęła głęboko. - Mama uważa, że to dla nas taniec zbyt gwałtowny. A ja nie mam na myśli jedynie tempa!

- Ależ cały urok walca tkwi właśnie w tym, że tańczy się go publicznie i każda z matek może czuć

nad swoją córką. No i nad jej partnerem! Żaden rozsądny mężczyzna nie odważy się w tych okolicznościach na niestosowność, choćby najmniejszą.

Wszyscy wybuchnęli wesołym, chociaż może nieco wymuszonym śmiechem. Wtedy Peter ujrzał Susannę Osbourne w głębi salonu.

Ach! No, dobrze. Gdyby ktoś powiedział, że piorun przeszył dach domu i przebiegł przez jego ciało aż do samych stóp, musiałby się z tym zgodzić.

Najgorsze było jednak to, że zaraz odwróciła wzrok. W jej oczach bynajmniej nie dostrzegł zachwyty, raczej coś innego. Zdał sobie nagle sprawę, jakie musi robić wrażenie, siedząc w otoczeniu młodych ślicznotek i zaśmiewając się razem z nimi do rozpuku.

Wyglądał jak próżny, płytki bawidamek.

Nie spojrzała na niego więcej. Przez kilka godzin gawędził z gośćmi, rozegrał parę partyjek, a potem przewracał karty nut, kiedy kilka młodych dam popisywało się grą na pianoforte lub radośnie paplało o muzyce. Inni mężczyźni, jak zauważył, starali się ze wszystkich sił unikać tego nużącego zajęcia, mimo że uprzejmie klaskali po każdym utworze.

Nie było to z ich strony całkiem fair. Chociaż woleliby pewnie ciekawszą konwersację o uprawie roli, polowaniu, koniach i tym podobnych rzeczach całkiem w typie rozmowy, którą wczoraj sam prowadził z Edgecombe'em i Raycroftem w bibliotece Barclay Court.

Mimo to podczas przyjęcia należałoby okazywać więcej uprzejmości paniom.

Panna Osbourne, jak zaraz spostrzegł, wcale nie siedziała w kącie z surową miną, potępiając frywolne i niestosowne rozrywki - przy stolikach grano o pieniądze, choć stawki były bardzo niskie. Wraz z hrabiną Edgecombe gawędziła z innymi damami, póki Dannen nie wciągnął ich obu do rozmowy. Mówił najwięcej ze wszystkich. Peter już wcześniej zauważył, że ogromnie lubi być słuchany przez liczne grono. Nauczycielka wyglądała jeszcze ładniej niż

poprzedniego dnia, jeśli to w ogóle było możliwe. Nie miała na głowie kapelusza, zobaczył

więc, że jest krótko ostrzyżona. Miękkie, lśniące loki, które okalały jej głowę, nie były ani jaskraworude, ani złotawe, raczej w jakimś pośrednim odcieniu. Ubrała się w kremową

suknię, co w pełni podkreśliło piękno jasnych pukli.

Świadomie trzymał się od niej z dala - wyraźnie sobie przecież tego życzyła. Pewnie by z nią nawet nie zamienił słowa, gdyby nie to, że po obiedzie Usiadł koło panny Honeydew, widząc, że jest osamotniona. Była to podstarzała siostra poprzedniego, nieżyjącego pastora.

Nigdy chyba nie grzeszyła pięknnością. Zęby wystawały jej nieco poza górną wargę, nos był

długi, a pociągała twarz miała dziwnie końskie rysy. Kosmyki siwych włosów wciąż się

niedbale wymykały spod imponującego czepca, silne szkła osuwały się w lewo, gdy nieustannie kiwała głową, czy to z nawyku, czy to wskutek jakiejś choroby, a cała postać

tchnęła poczciwą łagodnością i nieśmiałością.

Sąsiedzi, jak zauważył, traktowali ją uprzejmie. Gawędziła też swobodnie z paniami, lecz domyślał się, że musi być bardzo samotna bez dzieci, wnuków czy choćby siostrzeńców albo bratanków. Przysiadł się więc do niej i nawiązał z nią rozmowę.

Właśnie pytała, czy wie o balu, gdy panna Osbourne zbliżyła się do nich. Panna Honeydew uściskała ją nader serdecznie.

- Jak to miło, że znów pani jest w Barclay Court i że mam szczęście dziś z panią pogawędzić.

Panna Osbourne uśmiechnęła się do niej miło, nie patrząc wcale na Petera.

- Jakże się pani miewa? Miło panią widzieć raz jeszcze.

- Ta młoda dama - zwróciła się do Petera panna Honeydew, wciąż ściskając swoją

rozmówczynię za przegub ~ była dla mnie wyjątkowo dobra podczas swojej poprzedniej wizyty. Odwiedziła mnie pewnego dnia, kiedy nie mogłam chodzić z powodu bólu nogi, i czytała mi na głos ponad godzinę. Trudno mi już robić to samej, chociaż mam okulary. Teraz drukują książki taką drobną czcionką, nie uważa pan? Siądź przy mnie, moje dziecko, i porozmawiajmy sobie. Zna pani może wicehrabiego Whitleafa?

Susanna nie miała wyboru, musiała na niego spojrzeć, choćby przelotnie, gdy zajmowała miejsce przy fotelu panny Honeydew.

- Owszem, madame.

- Piękny mieliśmy dzisiaj dzień, panno Osbourne - zaczął. - Nie dostrzegłem najmniejszej chmurki na niebie, a wieczór okazał się równie uroczy.

Popatrzyła na niego ponownie. Z zielonych oczu wyzierała powaga. Uśmiechnął się

do niej. W końcu obiecał, że w obecności innych będzie z nią prowadził tylko grzeczną

konwersację o pogodzie. Dostrzegł nagły błysk zrozumienia w jej spojrzeniu. O mało się nie uśmiechnęła.

- Chyba dojrzałam jeden puszysty obłoczek w południe, milordzie, kiedy razem z Frances wracałam z konnej przejażdżki, ale był doprawdy malusieńki i zaraz gdzieś zniknął.

Co za uroczą odpowiedź! A zatem miała w końcu poczucie humoru i nawet sporo polotu. Zarumieniła się i zwróciła do panny Honeydew:

- Przyjdę któregoś dnia i znowu pani poczytam, jeśli tylko pani na to pozwoli. Będzie to dla mnie wielka przyjemność.

- A co dopiero dla mnie! - zawołała rozanieloną panna Honeydew, kiwając głową

jeszcze energiczniej niż zwykle. - Ale chyba nie przybędzie pani pieszo? Przecież mieszkam dobre trzy mile od Barclay Court.

- A więc muszę poprosić... - zaczęła panna Osbourne.

Peter całkiem poniechał rezerwy. Bliskość Susanny wyzwoliła w nim nagle inicjatywę.

- Więc niech panie pozwolą, żebym miał przyjemność zawieźć tam pannę Osbourne moją kariolką.

Całkiem jakby naprawdę potrzebował pozwolenia starszej damy!

- Och... - Panna Osbourne nieco się zgorszyła, lecz panna Honeydew już przycisnęła powykręcaną artretyzmem dłoń do piersi.

- Jakież pan uprzejmy dla mnie, starej, milordzie!

- Starej? - Peter rozejrzał się po salonie, udając zaskoczenie. - Czy jest tu jakaś stara dama? Proszę mi ją wskazać, madame. Pannę Honeydew rozbawił ten niewyszukany żart.

Peter odgadł, że nieczęsto miewała okazję, by się zaśmiać z całego serca.

- Ależ zuchwalec z pana, milordzie! To bardzo miłe, że chce pan przywieźć do mnie pannę Osbourne. Zostaniecie u mnie na herbacie, prawda? Każę mojej gospodyni upiec ciastka. Słynie z nich w całej okolicy.

- Pani towarzystwo i filiżanka herbaty wystarczą w zupełności. No i towarzystwo panny Osbourne również.

Panna Honeydew spojrzała na niego uszczęśliwiona.

- A więc zgodziła się pani? - upewnił się Peter. - Którego dnia chciałaby pani odwiedzić pannę Honeydew? - zwrócił się do panny Osbourne.

Zaczerwieniła się i choć skierowała na niego wzrok, nie spojrzała mu prosto w oczy.

Może ją trochę onieśmiela? A może to jego tytuł. Czyżby poczuła się wczoraj nieswojo, gdy ich sobie przedstawiano? Czy nie przywykła do sposobu, w jaki ją pozdrowił? Gorzej, może ją nawet upokorzył. Co ona mu takiego powiedziała przy pożegnaniu? Zęby nie mówił z nią

tak żartobliwie, bo nie umie się wtedy zdobyć na odpowiedź. Zaniepokoił się, że nie zachował się wobec niej z należytą dżentelmenerią.

- Czy pozwoli mi pani podwieźć się do panny Honeydew? Byłoby to dla mnie przyjemnością.

- Będę panu szczerze wdzięczna. - Może jutro? - spytała żywo panna Honeydew.

Panna Osbourne złagodniała, a nawet zdobyła się na uśmiech. - Jeśli to odpowiada lordowi Whitleafowi, madame. - Jak najbardziej. Och, widzę, że panna Moss znalazła nuty, których wcześniej szukała. Prosiła mnie wcześniej o pomoc w przewracaniu kart. Zechcą mi panie wybaczyć...

Panna Honeydew pozwoliła mu odejść. Panna Osbourne nie powiedziała nic.

- Wyglądał pan, jakby trzeba było panu pospieszyć z pomocą - zachichotała panna Moss wraz z innymi panienkami, kiedy podszedł do pianoforte. - Ależ skąd. Gawędziłem sobie miło z panną Honeydew. Któż jednak mógłby się oprzeć chęci rozmowy z paniami?

- Przecież pannie Honeydew dotrzymuje towarzystwa panna Osbourne wtrąciła się miss Krebbs. - Pan już nie musiał, milordzie!

Peter flirtował z nimi dobrodusznie przez resztę wieczoru, zastanawiając się, czy panna Osbourne wymyśli jutro jakiś wykręt, żeby nie pojechać z nim kariolka.

Nagle dotarło do niego, że przez cały czas czuł jej obecność, nawet gdy znajdowała się

w innym pomieszczeniu. Nawet gdy usiłował się skupić na przewracaniu stron partytury w odpowiednim momencie.

Żadna kobieta nie działała jeszcze na niego w taki sposób.

Do diabła, jeden dzień z czternastu już przeminął. Czy będzie się musiał zadowolić

tym, że pozostałe trzynaście spędzi, starając się przełamać jej niechęć i zaprzyjaźnić się z nią?

Przyjaźń? Nie uważał, żeby kobieta mogła być przyjaciółką. Jedno wzajemnie wykluczało drugie. Jakiż więc był prawdziwy motyw jego zainteresowania? Zresztą, czy w ogóle musiał o to pytać? Była wyjątkowo piękną kobietą, a on mężczyzną z krwi i kości. I nigdy nie czuł nieśmiałości w kontaktach z kobietami. Z drugiej jednak strony, nigdy nie znał

żadnej nauczycielki, i to w dodatku z Bath. Z wyjątkiem - co sobie nieoczekiwanie uświadomił - hrabiny Edgecombe.

Niech się dzieje, co chce. W każdym razie jutro znajdzie się z nią sam na sam, gdy będą jechać do domu panny Honeydew i z powrotem. Rzecz jasna, jeśli panna Osbourne nie znajdzie jakiejś wymówki, żeby się od tej przejażdżki uchylić.

No i jeśli nie będzie padało.

ROZDZIAŁ 4

Następnego popołudnia Susanna uznała, że matrymonialne zabiegi Frances są z góry skazane na niepowodzenie. Zawiązywała pod brodą wstążki słomkowego kapelusza. Były zielone, pasowały do jej ulubionej sukni. Nie miała zresztą tych sukien za wiele.

Wielebny Birney o świeżej, chłopięcej twarzy był dla niej wczoraj bardzo uprzejmy.

Rozmawiał z nią podczas obiadu, okazując zaciekawienie szkołą, w której połowę uczennic utrzymywali dobroczyńcy. Ale nic w jego zachowaniu nie wskazywało na chęć zawarcia bliższej znajomości.

Pan Dannen - istotnie niskiego wzrostu, o czym wspominała już Frances miał wyraźną

łysinkę na czubku głowy, choć bynajmniej nie okazał się brzydalem. Gawędził z nią blisko godzinę przed obiadem, mimo że jako gospodarz powinien był opiekować się także innymi gośćmi. Susanna zagadnęła go o Szkocję, rodzinny kraj jego matki. On zaś okazał się

człowiekiem aż nadto skorym do rozwodzenia się na ulubiony temat. Mówił interesująco i Susanna wysłuchiwała jego wywodów całkiem chętnie, lecz nie wzbudził w niej ani odrobiny romantycznego zainteresowania. On także nie wydawał się nią zauroczony.

Panna Calvert mocno się natomiast interesowała panem Finnem. I to z wzajemnością.

- Ach, jesteś już gotowa? - Frances stanęła w drzwiach pokoju. Wicehrabia Whitleaf właśnie przybył, rozmawia na dole z Luciušem. Susanna się skrzywiła i sięgnęła po rękawiczki. Poczowała nagły skurcz żołądka, a kolana jakby się lekko zaczęły pod nią uginać.

- Szkoda, że nie zdecydowałam się pójść do panny Honeydew na piechotę.

- Przecież wiesz, że zawieźlibyśmy cię tam powozem, ale wicehrabia wcześniej wystąpił ze swoją propozycją.

- Po prostu usłyszał, że obiecałam jej poczytać, i poczuł się zobowiązany do pomocy.

Byłam taka zakłopotana.

Frances się roześmiała, przepuszczając Susannę przed sobą.

- Nie sądzę, żeby miał zamiar cię skonfundować. Po prostu jest rycerski wobec dam.

To bardzo miło, że całe popołudnie poświęcisz pannie Honeydew. Niekiedy z nią gawędzę, jeśli akurat jesteśmy w Barclay Court, ale nigdy mi nie przyszło na myśl, żeby jej zaproponować głośne czytanie, chociaż pamiętam, że ty tak zrobiłaś zeszłym razem.

Zeszły na dół. Przez otwarte drzwi frontowe Susanna widziała hrabiego i Whitleafa, który na jej widok uchylił kapelusza.

- Mamy doprawdy wspaniałą pogodę. Wprawdzie doliczyłem się po drodze dwunastu obłoczków, lecz były tak malutkie, białe i całkiem niegroźne, że jedynie podkreślały piękno nieba.

Susanna mogłaby się na te słowa zaśmiać lub przynajmniej uśmiechnąć, gdyby nie to, że właśnie ujrzała pojazd, którym miała jechać. Wicehrabia co prawda wspominał o nim wczoraj, lecz ją bardziej zaprzętała myśl o wspólnej jeździe niż fakt, że pierwszy raz w życiu znajdzie się w kariolce. A nie była to bynajmniej zwykła kariolka, lecz - jak się domyśliła -

wyścigowa, lekka i zwrotna, z ogromnymi kołami i małym, niezwykle wysoko umieszczonym siedzeniem.

- Przydałoby się trochę cienia - zauważyła Frances. - Bardzo dziś ciepło.

- Panna Honeydew po lekturze koniecznie chce nas poczęstować herbatą i ciastkami.

Może się tam trochę zasiedzimy, lecz obiecuję, że przywiozę pannę Osbourne całą i zdrową.

- Whitleaf świetnie powozi - zapewnił ją z uśmiechem hrabia. - Nie ma się czego bać.

- Och, nie boję się, tylko nigdy jeszcze nie jechałam kariolka. Siedzenie wydało się jej z bliska jeszcze wyższe, powozik jeszcze lżejszy i zachwycająco elegancki, a konie, które właśnie prowadził jeden ze stajennych, niepokojąco żwawe. Bardziej przerażało ją jednak co innego. Jakże ma się wdrapać tam na górę?

Na szczęście okazało się to łatwiejsze, niż sądziła. Zdołała usadowić się, gdzie trzeba, bez uszczerbku dla własnej godności, choć musiała się przy tym wesprzeć o jego rękę. Ale...

Ale gdy siedzieli już razem i wicehrabia ujął lejce, stwierdziła, że dotykają się

biodrami. Nic na to nie mogła poradzić! A przecież dwa dni temu uznała jego bliskość na przechadzce za najgorszy dyskomfort, jakiego doznała w życiu. Najwyraźniej nie wiedziała wtedy, czym może być prawdziwy dyskomfort!

Kariolka ruszyła tak żwawo, że Susanna musiała kurczowo chwycić poręcz. Przez chwilę nie mogła myśleć o niczym innym niż o własnym bezpieczeństwie.

- Nie pozwolilibym pani spać - odezwał się, kiedy wyjechali już na drogę. - Nie będę

też popędzać koni, chyba że pani zechce.

Parsknęła śmiechem na samą myśl o czymś podobnym, a potem zwróciła ku niemu głowę. On zrobił tak samo. Ze zgrozą stwierdziła, że dzieli ją od niego zaledwie kilka centymetrów.

- Śmieje się pani? - spytał zaskoczony. - Nie ma pani chęci na szybszą jazdę?

Zacisnęła dłoń na poręczy tak kurczowo, że każdy mięsień był w niej napięty do ostateczności. Polne żywopłoty migały gdzieś pod nimi, chmury sunęły nad głowami, a konie pędziły przed siebie. Ich kasztanowata sierść lśniła w słońcu. Siedzenie kołysało się lekko nad kołami.

Znowu się roześmiała.

- Jak cudownie!

Oczywiście, zaraz poczuła się głupio. Co za niezręczność! Zachowuje się niczym dziecko obdarowane niezwykłą zabawką. Tylko że siedząc tak blisko wicehrabiego, wcale nie czuła się jak dziecko.

Zaśmiali się obydwójce jednocześnie.

Przypomniała sobie, że prawie całą noc spędziła z jego powodu bezsenność. Bała się i tego popołudnia, i przebywania z nim sam na sam. Co ludzie powiedzą? Wcale nie miała ochoty rozmawiać akurat z nim. Próżność i frywolność zniechęciła ją przeciw do niego już na samym początku. A jednak wciąż pamiętała, że dotrzymał towarzystwa panie Honeydew, podczas gdy większość młodych ludzi, obecnych na przyjęciu, unikała tego jak ognia. I że rozbawił ją niemądrym może, ale z pewnością podyktowanym życzliwością żarcikiem o starej damie. I że z własnej woli odwozi ją w tak piękne, ciepłe popołudnie do domku panny Honeydew. W końcu nie musiał tego robić.

- Zapewne doskonale się pan bawił z dziewczętami zeszłego wieczoru zaczęła. -

Wydawały się wręcz wniebowzięte, zupełnie jakby tam nie było żadnych innych mężczyzn.

- Rzeczywiście - odparł, skręcając zręcznie na trakt, wiodący do wioski. Lubię słuchać

ich paplaniny i przewracać strony nut, skoro sprawia im to tyle radości. Pani uwaga dotknęła mnie jednak do żywego. Czy naprawdę tylko moja obecność je tak uszczęśliwiała? Wątpię. W

każdym razie panna Gertruda Calvert, jak pani chyba zauważyła, spędziła nieco czasu w towarzystwie Finna. Pannę Krebbs ucieszyło nad wyraz, gdy Moss poprosił ją o zarezerwowanie dla niego tańca na balu. I to tak, że pozwoliła mu nawet nakładać sobie jedzenie na talerz, a także usiąść przy niej. Z kolei panna Jane Calvert nie bawiłaby się tak dobrze, gdyby przez większą część czasu nie mogła się przyglądać wielebnemu Birneyowi.

Pani zaś przesiedziała całą godzinę z Damienem...

- Ależ on był gospodarzem przyjęcia - zaprotestowała. - A poza tym wcale nie miałam na myśli siebie!

- Powiem jeszcze w swojej obronie, że każdy inny dżentelmen mógł przewracać

damom karty nut przy pianoforte.

Tego argumentu nie potrafiła odeprzeć.

- Czy to wyścigowa kariolka? - spytała.

- Owszem. Żaden szanujący się mężczyzna przed trzydziestką nie kupi sobie innej.

- Pan się w niej ściga?

- Sądzi pani, że wyścigowe kariolki istnieją tylko po to, żeby wlec się po wiejskich drogach, jak w tej chwili? - A więc pańskim zdaniem jedziemy zbyt wolno?! - Moje biedne kasztanki nigdy mi nie wybaczą tej przejażdżki. Ona im uwłacza.

Zaśmiała się. Whitleaf odwrócił głowę i odwzajemnił jej uśmiech.

- Nie chciałem wysłuchiwać reprimendy, że pędzę na złamanie karku. Zresztą

uczciwie muszę przyznać, że ostatni wyścig, z Londynu do Brighton, przegrałem o włos. -

Niewiele mnie obchodzi, że nie chce pan pędzić na złamanie karku. - To już nieuprzejmość z pani strony.

- Myślałam - odparła ze smutkiem - że to najwspanialsze uczucie na świecie, jechać

tak lekko, jakby się fruwało. Albo po prostu fruwać. Niejeden raz się jej śniło, że jest ptakiem i swobodnie buja po niebie. - Coś mi się zdaje, że początkowo miałem o pani błędne mniemanie, panno Osbourne. Zupełnie nagle Susanna zdała sobie sprawę, że swobodnie gawędzi z wicehrabią i całkiem nieźle się przy tym bawi. Przejężdżali akurat przez wioskę i byli w połowie drogi do domu panny Honeydew.

- To milczenie panią oskarża - stwierdził, pozdrawiając pana Calverta, który szedł

właśnie ku swojej siedzibie. Susanna też uniosła rękę. - Pani zaś uważa zapewne, że od początku oceniła mnie zupełnie właściwie.

Czy rzeczywiście tak było? Lubił flirtować z młodymi damami, miał wyścigową

kariolkę i szalał na niej na drodze z Londynu do Brighton. I nic nie świadczyło o tym, by miał

choć trochę charakteru, nawet jeśli wczoraj dotrzymywał towarzystwa pannie Honeydew i był

dla niej wyjątkowo miły.

- Wciąż mnie pani nie lubi - westchnął, choć, jak się jej wydawało, raczej z rozbawieniem niż ze smutkiem.

- Ależ ja nie... - zaczęła.

- Z pewnością tak. Proszę to przyznać. Przecież uczy pani swoje pupilki, że nie należy kłamać. Czy to się może wiąże z moją aparycją?

- Doskonale pan wie - odparła ostrym tonem - że nie. Jest wręcz perfekcyjna.

Pożałowała tych słów. O Boże, zachowała się jak niemądra pensjonarka!

- Doprawdy? Czy nie sądzi pani, że kolor moich oczu byłby stosowniejszy dla kobiety?

- Raczej nie.

Dlaczego ta rozmowa przybiera tak kłopotliwy obrót? Czemu dotyka tematów osobistych?

- Mam kuzynkę o fiołkowych oczach. Zawsze uważałem, że u niej są one bardziej na miejscu.

- Nie odpowiem panu, przecież jej nie znam.

- A zatem powodem nie jest mój wygląd, chyba że czuje pani niechęć do perfekcji. W

takim razie musi chodzić o mój charakter.

- Ależ nie żywię do pana żadnej urazy - zaprotestowała. - Pańskiemu charakterowi nie sposób czegoś zarzucić, prócz tego, że niczego pan nie bierze serio.

- Bardzo mi to przypomina niemiłe powiedzonka, którymi ludzie poprzedzają przykre uwagi: „Nie chciałbym być krytyczny, mój drogi, ale...” Ileż potępienia kryje się w tym „ale”.

No i w „prócz tego”. Ma mnie pani zatem za człowieka płytkiego.

Chociaż nie było to pytanie, czekał na odpowiedź. Nie mogła mu zaprzeczać.

- Tak, milordzie - odparła, rozglądając się za domkiem panny Honeydew.

- Pewnie pani mi nie uwierzy, jeśli powiem, że od czasu do czasu zdarza mi się jednak pomyśleć o czymś całkiem poważnie. W takim razie chyba nie jestem aż tak płytki.

Zawahała się.

- Byłabym arogantką, nazywając pana kłamcą.

- Dlaczego? - Whitleaf nachylił się ku niej tak bardzo, że przez chwilę, nim znów całą

uwagę skupił na powożeniu, czuła jego oddech na policzku.

- Bo pana dobrze nie znam.

- Ach, panno Osbourne, a co by pani powiedziała, gdybym wyznał, że mimo słów wypowiedzianych przeze mnie przed chwilą, wciąż panią uważam za niewiarygodnie piękną, ale zbyt bezwzględną w

sądach, a prócz tego nieczułą, niezdolną do głębszych uczuć lub do miłości?

- Powiedziałabym - parsknęła gniewnie - że nic pan nie wie ani o mnie, ani o moim życiu. - Daremnie próbowała odsunąć się od niego. - No właśnie. - W jego głosie zabrzmiała satysfakcja. - Nic o sobie nie wiemy, dlaczego więc uważa pani, że jestem nic niewart? I skąd mam wiedzieć, ile pani jest warta?

- Z pewnością - Susanna jeszcze mocniej zacisnęła dłoń na poręczy - wcale nie mamy ochoty poznać się wzajemnie. I dlatego odpowiedź na pańskie pytanie nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma. Chcę wiedzieć, kim jest panna Susanna Osbourne. I to bardzo.

Zwłaszcza po zaskakującym odkryciu, że chciałaby pani wziąć udział w wyścigu do Brighton kariolka. Tego bym się nigdy po pani nie spodziewał.

- Przecież ja nie... - zaczęła.

- Za późno. Już to pani ujawniła na wiele sposobów. Podejrzewam, że chciałaby pani wiedzieć jakich. Ja z kolei czuję potrzebę usprawiedliwienia mojej egzystencji przed kimś, kto uważa mnie za bezwartościowego hulakę.

- Nie powiedziałam czegoś takiego! - krzyknęła. - O nikim bym się tak nie wyraziła.

Poza tym czy odczuwa pan taką potrzebę wobec wszystkich znanych panu dam? Czy chciałby pan spowiadać się ze swego życia siostrom Calvert, pannie Krebbs lub Rosamondzie Raycroft?

- Ach, skądże!

- Dlaczego więc próbuje się pan usprawiedliwiać przede mną? - spytała z wyrzutem. -

Tylko dlatego, że w odróżnieniu od innych kobiet obojętne mi są pańskie komplementy?

- Być może - przyznał. - Ale jest też coś jeszcze. Ta śmiertelna powaga, która nie pozwala pani lękać się jazdy kariolka ani też cieszyć się nią jak należy. Podejrzewam, o zgrozo, że to oznaka wybitnej inteligencji. Czy jest pani inteligentna, panno Osbourne?

- Jakże mam na to odpowiedzieć? - spytała zdesperowana. - To właśnie jedna z tych rzeczy, które są dla mnie tajemnicą. Hrabina Edgecombe zaprosiła panią z przyjaźni, a nie z obowiązku. Przynajmniej tak mi się wydaje. Ona zaś jest osobą inteligentną. Sądzę zatem, że jej przyjaciółka również. Oczywiście, jako nauczycielka musi pani wiele wiedzieć. Ja jednak czuję potrzebę odkrycia na własną rękę, czy mam rację.

Nie wiedziała, co ma odrzec. Rzeczywistość prześcignęła nagle jej niespokojne rojenia z zeszłej nocy. Oto rozmawia sobie z wicehrabią Whitleafem! I nieźle się przy tym bawi.

- Czy nie sądzi pani, panno Osbourne, że moglibyśmy się zaprzyjaźnić, gdybyśmy tylko bardzo tego chcieli? Może więc powinniśmy spróbować?

Spojrzała na jego twarz, widoczną z profilu. Nie, on wcale nie żartował.

- To zupełnie niemożliwe, nawet jeżeli mówi pan serio. Pochodzimy z dwóch różnych światów. Zresztą mężczyźni i kobiety nie zawierają przyjaźni, nawet gdy należą do tej samej sfery.

- Lepiej niech pani o tym nie wspomina Edgecombe'owi ani hrabinie.

Zresztą, aż do wczoraj, zgadzałem się z pani zdaniem. Nie mam w zwyczaju przyjaźnić się z kobietami. Odmawia pani jednak flirtowania ze mną, sięgam więc po inny sposób. Muszę się z panią zaprzyjaźnić!

- Albo mnie ignorować.

- To nie do przyjęcia.

- Co za absurd!

- Zatem niech mi pani pozwoli zaprzyjaźnić się ze sobą, nawet jeśli pani tego w istocie nie chce. Nie sądzę, żebym mógł rozmawiać wyłącznie o pogodzie przez dwanaście dni z rzędu.

Nieoczekiwanie rozbawiły ją jego słowa. W tym samym momencie kariolka zwolniła i Susanna z zaskoczeniem stwierdziła, że dojeżdżają do domku panny Honeydew.

- Ach, tak już lepiej. - Whitleaf odwrócił głowę i spojrzał na nią uważnie. - Znów się

pani uśmiecha. Chciałbym jeszcze raz zapytać, co takiego jest w nauczaniu, że je pani kocha.

Ale dotarliśmy do celu, co popsło mi szyki. Jednak bardzo proszę, by odpowiedziała mi pani w drodze powrotnej.

- Lordzie Whitleaf - rzekła Susanna, gdy zeskoczył na ziemię i przywiązał lejce do pomalowanego na biało parkanu - nie ma pan żadnego powodu, żeby się interesować moją

pracą.

Uniósł ramiona i błyskawicznie zdjął ją z siedzenia. Nie zdołała nawet poszukać

oparcia dla nóg. Wydawało się, że w ogóle nie zauważył jej ciężaru, jakby ważyła tyle, co piórko. Czowała się, jakby dostała lekkiej gorączki.

- Pani, panno. Osbourne, nie ma pojęcia, co mnie może interesować. Prawda?

Czekał na odpowiedź.

- Prawda - przyznała.

Odwrócili się, żeby powitać rozpromienioną pannę Honeydew, która kiwała ku nim ręką od drzwi,

ubrana w coś, co najwyraźniej było jej najlepszym niedzielnym strojem.

Nagle Susanna poczuła strach. Czyżby Frances się myliła? Wicehrabia Whitleaf mógł się okazać człowiekiem bardzo niebezpiecznym.

ROZDZIAŁ 5

Wreszcie skończyły się powitalne serdeczności, które wedle oceny Petera trwały dobry kwadrans. Wszedł, żeby zająć się kariolka i końmi. A gdy spostrzegł obluźowane deski w płocie i brak jakiegokolwiek chłopaka służebnego, który mógłby się tym zająć, wybrał się na poszukiwanie młotka oraz gwoździ. Znalazł je w stajni, bardziej podobnej do ogrodowej graciarni niż do miejsca, gdzie się trzyma konie. Zdjął surdut i naprawił płot, mimo że gospodyni, która wyszła zobaczyć, kto tak hałasuje, spojrziała na niego, jakby był

wybrykiem natury.

Później zaś - ponieważ mały, źle utrzymany terierek obszczekiwał go zawzięcie, a nawet próbował dobierać mu się do łydek - postanowił dać mu nieco więcej swobody, niż na to pozwalało pilnowanie ogrodu. Otrzeptał z pajęczyn starą skórzaną smycz, założył ją psu i zabrał go na krótką przechadzkę wzdłuż wiejskiej drogi, po czym puścił go wolno, co ten powitał radosnym jazgotem.

W stajni, która normalnie wystarczyłaby trzem wierzchowcom i powozowi, zmieściły się tylko jego konie. Kariolka została na zewnątrz. Peter uznał, że powinno tam być

przestronniej, i zabrał się do porządków. A ponieważ nowo uzyskana przestrzeń wyglądała tak, jakby od dawna nie widziała miotły, posłużył się nią, po czym posypał podłogę świeżą, pachnącą słomą ze sterty za domem.

Wrócił do domku panny Honeydew kuchennymi schodami, zabrudzony, spocony, ale zadowolony. Umył ręce do łokci w wodzie, której naląła mu zmieszana gospodyni, opuścił

rękawy i włożył z powrotem surdut - niełatwe przedsięwzięcie bez pomocy lokaja. Wszedł do bawialni. Panna Osbourne czytała wprawdzie na głos, lecz starała się to robić jak najciszej, bo panna Honeydew, z głową na poduszkach oparcia, drzemała w fotelu, pochrapując z cicha.

Spojrzeli sobie w oczy.

Peter wycofał się na korytarz, chrząknął, szurnął energicznie butami po drewnianej posadzce i jeszcze głośno podziękował gospodyni za wodę, a potem stanął w drzwiach.

Susanna zamykała właśnie książkę, a panna Honeydew siedziała całkowicie przytomna, wyprostowana i absolutnie uszczęśliwiona.

- Jakiż pani ma świetny głos, panno Osbourne! Mogłabym go słuchać cały dzień. I jak cudownie, że mogę przyjąć u siebie herbatą dwie młode osoby! Mam nadzieję, że nie nudził

się pan, milordzie? A może jednak? Wprost nie umiem wysłować, ile dla mnie znaczy wasza życzliwość. Ale czas już na herbatę!

- Wcale się nie nudziłem, madame - odparł Peter, siadając do stołu. Właśnie przed chwilą doszedłem do wniosku, że było to moje najprzyjemniejsze popołudnie w Somerset.

- Och, co z pana za żartowniś! - Panna Honeydew klasnęła w dłonie ze śmiechem.

Susanna Osbourne spojrzała na niego z wyrzutem.

- Będzie się pan w piekle smażył za to kłamstwo - syknęła godzinę później, kiedy po wylewnych pożegnaniach z panną Honeydew wracali do Barclay Court. - Najprzyjemniejsze popołudnie! Też coś! Słyszałam, jak pan walił młotkiem w parkan. Gospodyni powiedziała mi też, że czyści pan stajnię, a ona wprost nie wie, gdzie się podział! - Wypuściłem również

psa na swobodę. - Zaśmiał się. - Uznałem, że może pani zbzikować od jego ujadania. - Po co pan to wszystko robił?

- Pewnie i tak mi pani nie uwierzy. Powiedzmy, że chciałem zrobić na pani wrażenie.

- I prawil pan komplementy pannie Honeydew przez całą godzinę. Była nimi zresztą

zachwycona, jeśli nawet nie wierzyła ani jednemu słowu. Bez wątpienia będzie je rozpamiętywać całymi dniami albo nawet tygodniami.

- Co w tym złego? Przecież to samotna osoba.

- Nic - przyznała, chociaż nadal z pewną niechęcią. - Pan jest uprzejmy i miły. Bardzo uprzejmy.

Czy dlatego się dąsała, że jej opinia przynajmniej częściowo okazała się niesłuszna?

- Ale też frywolny i rozprózniaozony - odparł, zdając sobie nagle sprawę, że delikatny, ulotny zapach, który podczas całej jazdy usilnie starał się rozpoznać, nie jest wonią perfum, lecz po prostu mydła. Mimo to było w nim coś pociągającego, podobnie jak w ciepłym dotyku jej biodra i ramienia.

Tym razem niczego nie powiedziała. Zaśmiał się.

- Nie usłyszę żadnej przekornej odpowiedzi? Doprawdy? Może w drodze do domu uznamy, że moglibyśmy się zaprzyjaźnić?

- Wykluczone.

- Widocznie należy pani do tej części ludzkości, która każe widzieć szklankę na wpół prózną. Ja natomiast, panno Osbourne, widzę ją na wpół pełną.

- W takim razie nie pasujemy do siebie.

- Niekoniecznie. Pewna różnica zdań może nam dostarczyć tematów do żywej dyskusji. Nie ma nic nudniejszego niż dwoje ludzi, którzy zgadzają się absolutnie we wszystkim. O czymże wtedy można rozmawiać?

Nie miał pojęcia, dlaczego wbił sobie do głowy, że powinien się zaprzyjaźnić z panną

Osbourne. Może dlatego, że nie mógł z nią flirtować? Nie pozwoliłaby na to. On zresztą także wolał flirtować z osobą równą mu stanem, która zna reguły gry, a nie z ubogą nauczycielką, którą można niechcący urazić. Mimo to przyjaźń z młodą kobietą, która w dodatku niezbyt go lubi i twierdzi, że pochodzą z dwóch różnych światów, była nowością i wyzwaniem.

No cóż, wyzwania chronią od rutyny codzienności. Chociaż czasami szczerze za nią

tęsknił. Wyrósł przecież na wsi, gdzie wszystko toczyło się według gospodarskich planów, i tego samego spodziewał się w przyszłości. Raczej sobie narzucał taki styl życia, niż był do niego zmuszany, i to od dzieciństwa. Nie oczekiwał zbyt wiele. Wystarczyłby mu spokojny dom. Wielu przyjaciół skrzywiłoby się na te słowa. Nawet Raycroft, najbliższy mu ze wszystkich, byłby nimi zaskoczony.

- A więc dlaczego tak bardzo lubi pani uczyć? Raczej wyczuł, niż dostrzegł jej uśmiech.

- Bo lubię robić coś pożytecznego i wartościowego. I idzie mi to coraz lepiej.

- Czy warto w ogóle uczyć dziewczęta? - spytał tylko po to, żeby sprowokować ją do odpowiedzi.

- Dziewczęta mają tak samo chłonne umysły, jak chłopcy - odparła stanowczo. - I równie chętnie zdobywają wiedzę. Prawda, że większość z nich prowadzi potem życie, które nie wymaga od nich popisywania się wiadomościami zdobytymi w szkole, ale, jak sądzę, z większością mężczyzn bywa podobnie.

- Takich jak ja?

- Zna pan może powiedzenie - rzuciła cierpko, że jeśli but pasuje na nogę, to należy go nosić.

- Wielu mężczyzn uważa, że kształcenie dziewcząt w najgorszym wypadku mąci im w głowach, a w najlepszym odbiera powab. Może zresztą jedno i drugie naraz.

- Poszłabym o zakład, że ci mężczyźni nie są pewni swojej rzekomej wyższości i boją

się, że kobiety mogłyby ich prześcignąć. Za nic nie spytaliby którejs z nich^ ile, na przykład, wynosi pierwiastek kwadratowy z osiemdziesięciu jeden.

Niesłychane! Zawsze z niej wylezie nauczycielka. Pierwiastek kwadratowy, też coś!

- Och! - Skrzywił się. - A po cóż mieliby zadawać takie pytania? Nie potrafię sobie wyobrazić. Pierwiastek kwadratowy z osiemdziesięciu jeden? Ile to będzie?

- Dziewięć! - powiedzieli jednocześnie. Peter roześmiał się, a Susanna, po chwili, także. Czy ona wie, jak jej do twarzy z uśmiechem? Czy często się uśmiecha? Pewnie częściej niż przypuszczał jeszcze dwa dni temu. Może wnosi choć trochę pogody i radości do szkoły w Bath?

- Chyba nie zamierza pani zadawać mi więcej takich pytań? Moja duma mogłaby na tym ucierpieć.

- Wątpię - odparła stanowczo. - W każdym razie nie widzę u pani żadnych oznak zamącenia umysłu ani braku powabu. Wręcz przeciwnie. - Wolałabym - powiedziała po chwili - żeby pan nie próbował mi schlebiać ani flirtować ze mną. Jeśli mamy zostać

przyjaciółmi, proszę się wyrażać rozsądnie. - A zatem dopuszcza pani przyjaźń między nami?

Doskonale. Powiem teraz prawdę. Nie odznacza się pani powabem. W niewysokim wzroście, szczupłej figurze, kasztanowatych lokach, zielonych oczach i regularnych rysach nie ma nic pociągającego. Na pewno dobrze pani o tym wie!

Kiedy odwrócił się ku niej, zobaczył, że uśmiecha się szeroko.

- Przyjaciele powinni być świadomi wzajemnej atrakcyjności. No i proszę mi opowiedzieć, co pani robi poza godzinami nauki.

- Pewnie mało pan wie o życiu ludzi, którzy muszą zarabiać na utrzymanie. Niewiele mają czasu na cokolwiek poza pracą. Kiedy nie uczę, nadzoruję dziewczęta przy zabawach na wolnym powietrzu, organizuję przedstawienia, pilnuję odrabiania lekcji, liniuję papier, przepytuję... W szkole zawsze jest coś do roboty. A kiedy wreszcie jestem wolna, zazwyczaj późnym wieczorem, spędzam ten czas z przyjaciółkami, innymi nauczycielkami. Zwykle zbieramy się w gabinecie Claudii Martin. A jeśli trafi mi się wolna godzina za dnia, idę na spacer. Bath to piękne miasto i wiele tam można obejrzyć.

Rzeczywiście żyli w dwóch różnych światach.

- Teraz pańska kolej.

- Naprawdę chce pani dowiedzieć się czegoś o moim próżniaczym, bezmyślnym życiu? - spytał z iskierką wesołości w oczach.

- To pan uważa, że możemy się zaprzyjaźnić - przypomniła mu. - Nie ma mowy o przyjaźni tam, gdzie tylko jedna z osób zadaje pytania. Niech mi pan opowie o swoim dzieciństwie.

- Hm... - Namyślał się przez chwilę. - Było pełne kobiet. Ojciec odumarł mnie, kiedy miałem trzy lata. Niestety, wcale go nie pamiętam. Uważam, że postąpił nie fair. Powinien był poczekać przynajmniej dwa lub trzy lata. Zostałem z matką i pięcioma starszymi siostrami. Zapewne rodzice bardzo pragnęli spłodzić dziedzica i radowali się, kiedy przyszedłem na świat. Moje siostry prawdopodobnie rosły w przekonaniu, że rodzinę bez dziedzica czeka nieuchronna klęska. Pojawiłem się na czas, żeby temu zapobiec, i zostałem, rzecz jasna, oczkiem w głowie każdej z tych dam. Wydawałem się im kimś bez skazy.

Uwielbiały mnie i rozpieszczały do obrzydliwości. Nie było chłopca szczęśliwszego ode mnie.

Spojrzała na niego uważnie.

- Czy rósł pan zupełnie bez towarzystwa mężczyzn?

- Och nie, miałem kilku opiekunów, oficjalnych i samozwańczych. Troszczyli się o moją posiadłość, majątek, wykształcenie i załatwiali za mnie wszystko, łącznie z korespondencją. Oczywiście dla mojego dobra.

- Ale ojca nie zastąpili.

- Robili to, co do nich należało. I tyle. Przydałoby się może choć trochę miłości.

Czy wyraziłby się tak nieopatrzenie, gdyby nie musiał akurat skręcić na rozstajach?

Poczuł zażenowanie.

- Brakowało panu ojca. - Jej głos zabrzmiał łagodniej niż przedtem.

- Nie może człowiekowi brakować tego, czego nie znał, panno Osbourne. Mówiłem, że go nie pamiętam.

- A mnie brakowało matki, mimo że umarła, gdy wydawała mnie na świat.

Ach, więc to tak.

- Dziwne, że można tęsknić za kimś, kogo się wcale nie znało, prawda? spytał. -

Matka i siostry wręcz mnie dusiły swoim uczuciem. Czy ojciec panią kochał?

- Owszem, ale ja boleśnie tęskniłam za matką. Nieraz mi się śniła. Wyciągała do mnie ręce, słyszałam jej głos, czułam zapach, ale nigdy nie widziałam twarzy. Dziwne, prawda?

Wyobrażenia i pragnienia czasem biorą nad nami górę. Jakie to niemądre.

Spojrzała gdzieś w bok i zamilkła, a jemu się wydało, że jest teraz równie zażenowana dziecięcymi wspomnieniami, jak on przed chwilą.

Nie odzywali się już więcej. Zbliżali się do Barclay Court, a hrabia Edgecombe z żoną

wyszli ich przywitać.

Coś się jednak między nimi zmieniło.

Nie będą się więcej przekomarzać, jak przedtem. Coraz bliżsi są przyjaźni, czego zresztą pragnął. A jednak żarty byłyby czymś bezpieczniejszym. Flirt również.

- Jak pani myśli, czy możemy zostać przyjaciółmi? - spytał, zatrzymując kariolkę, nim tamci do nich podeszli.

- Przecież będziemy tutaj jeszcze tylko przez dwanaście dni...

- Przywiózł pan pannę Osbourne w całości! - Edgecombe pomógł Susannie zsiąść. -

Moje gratulacje! Inaczej Frances nigdy by panu nie darowała.

- Widzę, że oswoiłaś się z kariolką, Susanno - uznała Frances. - Jak ci się podobała jazda? A wizyta?

Peter odmówił wejścia do środka, mimo gorących zaproszeń. W Hareford House, jak wyjaśnił, czekano na niego. Pożegnał się i odjechał. Tym razem, jak zauważył, Susanna Osbourne nie weszła od razu do domu, lecz wraz z hrabiostwem odprowadziła go wzrokiem.

A także nie zaprzeczyła temu, że mogą się zaprzyjaźnić.

Ani też tego nie potwierdziła.

A może byłoby lepiej, gdyby nadal się upierała, że niemożliwe jest jakiegokolwiek porozumienie między nimi? Wcale nie był pewien, czy przyjaźń z nią będzie bezpieczna.

Susanna z pewnym zaskoczeniem stwierdziła, że popołudnie upłynęło całkiem miło.

Nie tylko czas spędzony u panny Honeydew, ale też droga powrotna.

Jeszcze bardziej zdziwiło ją odkrycie, że w gruncie rzeczy polubiła Whitleafa. Może i był człowiekiem płytkim, może lubił flirtować z każdą napotkaną kobietą, ale miał poczucie humoru. Co więcej, okazał się uprzejmy. I bynajmniej nie bezduszny. Naprawił pannie Honeydew parkan, oczyścił stajnię, wyprowadził nieznośnego pieska na spacer i okazał takt, kiedy stara dama zasnęła w połowie lektury. A potem zjadł aż trzy ciastka, choć już po pierwszym kęsie musiał zauważyć, że były niedopieczone i zakalcowate.

Nie potrafiła się oprzeć pytaniom o jego dzieciństwo, zupełnie jakby nic o nim nie wiedziała. A przecież miała świadomość, że matka, siostry i opiekunowie musieli go odgradzać od świata. I w żaden sposób nie mogła go winić za to, co się stało z jej ojcem. Ani za tytuł wicehrabiego Whitleafa.

Mimo to nie sądziła, żeby się mogli ze sobą zaprzyjaźnić. Nic ich ze sobą nie łączyło.

A jednak pociągał ją ten pomysł. Nigdy nie przyjaźniła się z mężczyzną. Panowie Huckerby i Upton byli jedynie kolegami, chociaż szanowali się wzajemnie. A pan Keeble, czujny odzwierny - tylko sympatyczną znajomością.

Jeszcze kilka razy przekonała się o uprzejmości wicehrabiego. Partnerował na przykład przy grze pani Moss, mimo że nikt inny się do tego nie kwapił. Dama ta była przygłucha i roztargniona, wciąż się myliła i zagrywała złą kartą, jeśli już musiała podjąć

jakąś decyzję. A kiedy obydwoje zostali doszczętnie ograni, udało mu się ją przekonać, że nastąpiło to wyłącznie z jego winy.

Kiedy po nabożeństwie niedzielnym usłyszała, jak pastor dziękuje pannie Honeydew za przybycie do kościoła, mimo że wcześniej padało, okazało się, że wicehrabia przyjechał po nią krytym powozem, tak by nie zmokła i zdążyła na czas.

Edgecombe zdradził Frances i Susannie, że gdy razem z Raycroftem i Whitleafem objeżdżali farmy, wicehrabia poszedł pogawędzić z żonami farmerów, które akurat rozwieszały pranie. Pół godziny później zastali go, jak bez surduta i z gołą głową stał na drabinie, poprawiając sznur do bielizny, wiszący zbyt nisko nad ziemią. Kobiety i dzieci z sąsiedztwa tłoczyły się wokoło.

- No i wszystkie patrzyły w niego jak w obrazek - dodał hrabia ze śmiechem.

Widywała go codziennie, chociaż krótko. Oboje przykładali do tego dużą wagę. Susanna nie chciała wywoływać plotek i robić Frances kłopotu. Zawsze jednak zamieniali ze sobą kilka słów. Zaczęła wyczekiwać tych chwil, jakby były najważniejsze z całego dnia.

Spytał ją na przykład, po partii kart z panią Moss, czy może nalać jej herbaty. A gdy się zgodziła, poprosił Dannena, który siedział przy niej, aby ustąpił mu miejsca tak, by mógł

dodać do herbaty odpowiednią ilość mleka i cukru. Rozmawiała wtedy z Dannenem prawie od godziny, słuchając jego opowieści o Szkocji, w większości już jej dobrze znanych.

- Widziałem, że umiera pani z nudów - szepnął.

- Ależ skąd! - zaprotestowała ze zgorzaniem. - Nie jestem osobą źle wychowaną.

- Nie powiedziała pani jednak: „Wcale się nie nudziłam”? Tak czy inaczej wybawiłem panią z opresji. Od czegoż są przyjaciele?

Zaśmiała się i gawędzili jeszcze chwilę, dopóki pan Crossley i panna Krebbs do nich nie dołączyli.

Któregoś popołudnia zajechał przed Barclay Court z rodzeństwem Raycroftów i wszyscy troje zostali na herbacie. Kiedy Raycroft chciał się już żegnać, Rosamonda zaprotestowała, pragnąc obejrzyć akwarele przywiezione przez Frances z Wiednia. Raycroft przedłużył więc pogawędkę z hrabią, Frances zabrała Rosamondę do siebie, a Whitleaf zaprosił Susannę na spacer po tarasie. Opowiedział jej wtedy o swoich studiach nad autorami klasycznymi w Oksfordzie i widać było, że studiował ich naprawdę, a nie tylko tracił czas na błahe rozrywki.

Zaczęła o nim coraz lepiej myśleć.

Następny dzień był zimny i wietrzny, ale Susanna i Frances postanowiły pójść do wsi, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Frances niosła koszyk zjedzeniem dla swojej byłej gospodyni, która miesiąc wcześniej skończyła osiemdziesiąt lat. Susanna chciała kupić

wstążki, żeby odświeżyć suknię, w której postanowiła iść na bal.

Wyjaśniła to Whitleafowi, którego spotkały na głównej ulicy. Wicehrabia zaproponował, żeby Frances poszła dalej sama. On zaś towarzyszył Susannie do wiejskiego sklepiku, zaprosił ją do

miejscowej oberży na lemoniadę i ciasto, a później odprowadził ją i Frances do Barclay Court, twierdząc - mimo protestów hrabiny - że nie potrafi oprzeć się

przyjemności trzymania dwóch dam pod ramię i prosi, by go jej nie pozbawiać.

- Nie będę aż tak okrutna - odparła ze śmiechem Frances, przyjmując ofiarowane jej ramię. Susanna przyjęła drugie.

Whitleaf rozmawiał z nimi o muzyce. Najwyraźniej miał talent do konwersacji i potrafił się nim posłużyć. Nie brakowało mu też wiedzy.

Susannę rozczarował tylko fakt, że nie poprosił, by zarezerwowała dla niego taniec na balu. No, ale co najmniej cztery tańce miał zarezerwowane dla młodych dam z sąsiedztwa.

Przecież słyszała o tym już pierwszego dnia.

A może przyjaciele niekoniecznie muszą ze sobą tańczyć? Tylko że nie poprosił ją o to żaden inny mężczyzna. Co prawda była pewna, że zatańczy z nią Edgcombe i może Raycroft. Jednak cudownie byłoby tańczyć właśnie z Whitleafem! A gdyby to w dodatku był

walc...

Nie rozpaczała nadmiernie z tego powodu. Nie powinna się nad sobą użalać. A jeśli Whitleaf poprosi ją o taniec w dniu balu? Albo znajdzie - mimo wypełnionego karnetu -

chwilę czasu na pogawędkę, żeby nie czuła, że sieje pietruszkę?

Nieważne. W końcu zaprzyjaźniła się z mężczyzną! Będzie miała o czym opowiadać

Claudii i Anne po powrocie do Bath.

A poza tym wakacje wcale się jeszcze nie skończyły.

ROZDZIAŁ 6

Wszystkich sąsiadów zaproszono do Barclay Court na piknik. Ładna pogoda powróciła na szczęście po kilku wietrznych i zimnych dniach.

Peter bawił się doskonale, mimo pełnego wymówek listu od matki. Gdyby teraz był w Sidley Park, zapewne robiłby to samo, co tutaj, tyle że miałby po uszy Rose Larchwell, wytypowanej przez rodzicielkę na potencjalną żonę. Irytowałyby go też pewnie obecność

matki, śledzącej go czule, acz nieustannie. Czułby tam cały ciężar bycia kochanym przez kogoś, komu wprawdzie wybaczył błąd, ale do tej pory nie zapomniał.

A może lepiej byłoby nie wybaczać wcale? Albo wybaczyć, ale pod pewnym warunkiem? Jasno stwierdzić, że nie zniesie ciągłego wtrącania się w swoje życie, a zwłaszcza swatania. Wyraźnie dać

do zrozumienia, że Sidley Park nie jest już jej domem.

Tyle że wtedy złamałby matce serce. Nie mógł tego uczynić. Miał wówczas tylko dwadzieścia jeden lat. Prócz tego kochał ją i nadal kocha, w końcu to jego matka.

Najwyraźniej uważała, że musi odpokutować za swój postępek i znaleźć mu inną kandydatkę na żonę zamiast tej utraconej. Miała to być jej misja życiowa.

Odpędził od siebie myśli o Sidley Park. W Barclay Court mógł się odprężyć i bawić z ludźmi, których sam sobie wybrał. Albo z kimś, kto wybrał jego.

Piknik urządzono na rozległym, trawiastym zboczu tuż przy węższym krańcu dużego jeziora, w pewnej odległości od pałacu. Malowniczy, wsparty na trzech arkadach mostek łączył brzegi w miejscu, gdzie do jeziora wpadała rzeka. Na środku mostka Peter przystanął

przez chwilę z pannami Raycroft, Calvert i Krebbs. Dostrzegł, że nurt rzeki rwie tam tak ostro, bo dalej, pomiędzy drzewami, skrywa się wodospad.

Na drugim brzegu jeziora stał ładny, ośmiokątny pawilon z drewna. Nieco później wybrał się tam razem z Finnem, siostrami Calvert, panną Moss oraz jej bratem. Spędzili w środku trochę czasu, podziwiając wśród pogwarek i śmiechu piękny widok. Rozmowy dotyczyły balu, którego wszyscy oczekiwali z niecierpliwością, bo był pierwszą miejscową

zabawą od czasu Bożego Narodzenia.

Niebo, bez żadnej chmurki, zachwycało błękitem, słońce przygrzewało, ale nie prażyło. Wiał lekki, miły wietrzyk. Dzień był po prostu wymarzony. Zaczęto więc pływać

łodziąmi, przeznaczonymi w gruncie rzeczy tylko dla dwóch osób. Peter znalazł się nagle naprzeciwko dwóch dam, ściśniętych na jednej ławeczce i patrzących mu prosto w twarz przy każdym ruchu wiosła. Nie skarżył się jednak. Po cóż miałby to robić, skoro mógł podziwiać

aż dwie panny naraz, zamiast jednej? W uroczych lekkich sukniach i kapelusikach wyglądały prześlicznie. Wręcz chciało się je schrupać. Wszystkie były zachwycone, że chociaż raz takiego pięknego dnia można się bawić we wspólnym towarzystwie.

- Kiedy ostatnio Zaproszono nas na piknik - żaliła się Mary Calvert, zanurzając dłoń w wodzie - lało przez cały dzień jak z cebra. Pamiętasz, Rosamondo? Musiałyśmy wtedy wszystkie iść na plebanię, bo żegnano właśnie starego pastora. I udawać, że bardzo nas to cieszy.

Peter nie rozmawiał jeszcze tego dnia z Susanną. Od czasu wizyty u panny Honeydew starał się spędzać z nią codziennie trochę czasu, lecz nie chciał wciągać jej w krąg młodych dam, które naprzykrzały mu się bez przerwy. Na pewno uznałaby taką zbiorową konwersację

za coś frywolnego. Podobała mu się nowo zawarta przyjaźń i wolał jej nie narażać. Był zatem ostrożny i nawet jeśli się z Susanną widywał, to nie dłużej niż pół godziny.

Właśnie uklonił się jej na tarasie, tuż po przybyciu, i świadomie zrobił banalną uwagę

o pogodzie tylko po to, żeby dostrzec rozbawienie w jej oczach. A potem zajął się czym innym. I bawił się wesoło. Ona również. Wielebny Birney, nowy pastor, jasnowłosy i młody, zabrał ją nad jezioro i cały czas z nią gawędził, co Peter dobrze widział. Dannen, urodzony nudziarz, także się z nią przechadzał, wraz z Raycroftem i hrabią, a potem Peter dostrzegł ją

stojącą samotnie nad wodą przez dobry kwadrans.

Crossley, wdowiec pod czterdziestkę, przyniósł jej szklanekę lemoniady, gdy wróciła znad brzegu. Wymachiwał rękami, wskazując jej różne widoki. Peter zauważył to, bo cały czas na nią patrzył.

Pomyślał nagle, że jej przewidywania co do nikłych szans matrymonialnych były zbyt pesymistyczne. Choć niezamożna i bez posagu, przyciągała uwagę każdego nieżonatego mężczyzny. Była jednak zbyt rozumna, żeby wyjść za Dannena, i miała zanadto żywe usposobienie, by w grę wchodził mariaż z Birneyem. Z kolei Crossley mógłby być jej ojcem.

Z niezrozumiałego powodu te myśli go zirytowały. Pewnie dla nauczycielki byle jakie małżeństwo byłoby lepsze od staropanieństwa. A przynajmniej tak by uważała każda z jego sióstr.

Gdy nad tym rozmyślał, zaniehbując rozszczebiotane panny, ktoś rzucił pomysł, żeby zabawić się w coś przed herbatą. Natychmiast rozległ się chór entuzjastycznych propozycji, od krykieta do chowanego. Po wyposażeniu do krykieta trzeba byłoby jednak iść do domu, a prócz tego panna Moss, poparta przez większość pań, uznała go za grę odpowiednią w gruncie rzeczy dla mężczyzn. W chowanego nie bardzo było gdzie się bawić z braku większych drzew. Jeden po drugim projekty upadały i zdawało się już, że nic z zabaw nie wyjdzie, gdy nagle odezwała się panna Osbourne:

- A wyścigi wiosłarskie?

Poparto ją powszechnie mimo nieuniknionych głosów protestu.

- Za mało będzie wiosłarzy - uznała Jane Calvert. - Większość z nas musiałaby stać i patrzeć.

Inne damy spojrzały na nią tak, jakby każda z nich widziała się już wśród wykluczonych.

- A któż mówi - spytała panna Osbourne - że tylko mężczyźni mogą wiosłować?

Myślałam o wyścigach, w których braliby udział wszyscy po kolei.

- Och, a to dopiero! - zaśmiała się panna Moss. - Najlepszy pomysł, jaki zgłoszono! -

poparła ją Frances.

- Ależ ja nigdy nie wiosłowałam! - protestowała Rosamonda Raycroft.

- Ani ja! - zawodziła panna Krebs.

- W takim razie musimy wymyślić coś innego - uznała Mary Calvert.

A wtedy panna Osbourne podniosła głos.

- Co takiego? - spytała, patrząc na zebranych i Peter nagle stwierdził z rozbawieniem, że weszła odruchowo w rolę nauczycielki zachęcającej odporne uczennice. - Mamy stracić

możliwość zmierzenia się z mężczyznami?

- Och, a to dopiero! - powtórzyła panna Moss. Peter roześmiał się, Edgecombe również.

- Mamy zmierzyć się z mężczyznami?! - Panna Krebbs była bliska omdlenia.

Kilka młodych dam zachichotało, lecz wyglądały na wyraźnie zaciekawione.

- Mamy tylko cztery łodzie - tłumaczyła panna Osbourne - więc najpierw trzeba dokonać próbnych eliminacji. Jedna runda, do pawilonu i z powrotem. To wystarczy. Panie i panowie najpierw będą rywalizować ze sobą, a na końcu odbędzie się wyścig najlepszej z kobiet i tego, który zwycięży pośród mężczyzn!

Zaróżowiona, pełna energii i entuzjazmu - urodzona nauczycielka! Peter patrzył na nią

zaintrygowany i nieco oszołomiony. Do licha, umiała dopiąć swego! Wszystkie panny nabrały teraz śmiałości. Czy nie mówiła mu, że organizowała uczennicom rozrywki? Chyba tak, nie zwrócił na to wtedy większej uwagi. Czyżby w szkole dla dziewcząt uczono rywalizacji w grach sportowych?

Następna godzina upłynęła wśród zamieszania, śmiechów i docinków. Panna Calvert ledwo co wygrała z hrabiną, a panny Moss i Mary Calvert przegrały głównie dlatego, że nie potrafiły płynąć prosto i bez przerwy chichotały. Raycroft pokonał Dannena, Finn i Moss kolejno odpadli. Wreszcie zwycięzcami okazali się panna Osbourne i Peter. Osbourne wygrała z Gertrudą Calvert, a on z hrabią, o pół długości łodzi. W ten sposób doszło do finałowego wyścigu i wszyscy bez wyjątku zgromadzili się na brzegu mimo narzekań

Frances, że pewnie umierają z głodu. Uznano, że herbatę wypije się dopiero, gdy poznają

zwycięzcę.

- Mam nadzieję, że nie będzie to panna Osbourne - zauważył Raycroft z beznadziejnym brakiem taktu i galanterii.

Rosamonda szturchnęła brata w ramię, a reszta pań zgodnie zareagowała zgorszeniem. Peter i Susanna, obydwójce roześmiani, gotowi byli do zawodów.

Wyglądała absurdalnie krucho, nieduża i drobna. A także nieodparcie pociągająca. Z

zaskoczeniem stwierdził, że kobieta sportsmenka może być atrakcyjna.

Młode damy, nie bardzo wiedząc, kogo mają dopingować, rozwiązały problem, klaszcząc w ręce, skacząc i zagrzewając do walki obydwój rywali.

Większość starszych wiekiem uczestniczek pikniku pouczała pannę Osbourne.

Mężczyźni jasno dali do zrozumienia, że to właśnie Peter powinien zwyciężyć.

- Lepiej wygraj, Whitleaf, przegrana byłaby haniebnym upokorzeniem! zawołał ojciec panny Moss.

- Gały honor naszej płci spoczywa na twoich barkach! - zgodzi! się z nim Crossley.

- Nie powinien pan wygrać - uznał wielebny Birney - dżentelmeneria przede wszystkim!

Wywołało to jednak tylko wybuch śmiechu wśród mężczyzn i chór zgorszonych protestów ze strony pań.

Susanna Osbourne chwyciła wiosła.

Wszyscy się cofnęli i zaczęli gorączkowo szeptać. Oni tymczasem wystartowali.

Peter uśmiechnął się do niej, kiedy odbili od brzegu, lecz Susanna skoncentrowała się

na wiosłowaniu. Wiedziała już, że nie należy zanurzać wiosła zbyt głęboko, bo to raczej hamowało tempo, i mknęła po wodzie szybko, prawie bez wysiłku. Zadziwiło go, ile siły jest w jej drobnych ramionach. Rondo kapelusika powiewało na wietrze.

Nie powiedział nikomu - a Raycroft też nie zdradził jego sekretu - że był członkiem drużyny wiosłarskiej w Oksfordzie. Nawet w dzisiejszych eliminacjach wśród mężczyzn nie pokazał wszystkich swoich możliwości. Teraz wyprzedził ją w drodze do pawilonu, słysząc rosnący gwar podniecenia na przeciwległym brzegu.

- Jeśli ośmieli się pan dać mi fory, nigdy panu tego nie wybaczę! - zawołała do niego.

- Mam pani pozwolić wygrać? Jakże bym zdołał żyć z taką hańbą?

Wciąż płynął pierwszy, gwar na brzegu rósł coraz bardziej. Peter odwrócił głowę, żeby jeszcze raz posłać jej uśmiech, lecz zrobił to w fatalnym momencie. Nagły poryw wiatru wtłoczył mu rondo kapelusza prosto w oko. Pospiesznie uniósł dłoń, żeby uchronić nakrycie głowy, które niemal wpadło do wody, i wtedy stracił wiosło.

Nie odplynęło co prawda, ale utknęło sztywno w dulce - tak że nie mógł już nim swobodnie manewrować. W rezultacie łódź zboczyła z kursu. Susanna Osbourne przyspieszyła i w ten sposób nie starczyło mu czasu na finisz.

Wygrała z nieznaczną przewagą.

Obydwój zaśmiewali się do rozpuku, a ona była w chwili triumfu tak pełna życia, że oddałby za to

tysiąc zwycięstw, gdyby tylko chciała. Była to zresztą uczciwa wygrana, choć

nie doszłoby do niej, gdyby nie marnował czasu na uśmiechy.

Panie, jak się przekonał, zaczęły wiwatować na cześć swojej czempionki i radośnie odprowadziły ją do koców, gdzie czekały koszyki z prowiantem.

- Czy mam umrzeć z żalu? - spytał wesoło Edgecombe'a, który przytrzymał łódź, żeby Peter mógł z niej wysiąść. - Czy też mogę najpierw coś zjeść?

- Lepiej byś już umarł, Whitleaf! - jęknął Raycroft. - Co za porażka! Nie dziwiłbym się, gdyby pisano o niej w londyńskich gazetach!

- Ale za to jaką radość sprawiłeś damom! - Edgecombe poklepał go po ramieniu. - A przecież każdy mężczyzna niczego innego nie powinien sobie życzyć! Lepiej coś zjedz, bo Frances obrazi się na ciebie śmiertelnie.

- Muszę przyznać - stwierdził Crossley - że nasza mała dama nieźle radzi sobie z wiosłami! Młode panny pocieszały Petera podczas herbaty. Wszystkie bez wyjątku zapewniły, że z pewnością by wygrał, gdyby nie feralny podmuch wiatru. Ale sama wzmianka o tym spowodowała nowy wybuch wesołości i zaczęły jedna przez drugą

opowiadać, jak wtedy wyglądał. Peter zaśmiewał się razem z nimi.

Susanna Osbourne siedziała na innym kocu i nie słyszał, co mówiła, ale cały czas na nią patrzył. Był zniecierpliwiony. Wyścigi się nie liczyły, nie spędzili przecież wspólnie tego czasu. A po herbacie goście zaczęły się żegnać. Złościło go, że przez cały dzień nie zamienił z nią słowa na osobności.

Wstał i uśmiechnął się miło do wszystkich panien, nim któraś z nich zdążyła zerwać się na nogi.

- Lepiej pójdę i ukorzę się przed panną Osbourne. Zobaczyła, że zmierza ku niej i przywitała go uśmiechem.

- Panno Osbourne, czy wybierze się pani ze mną na spacer i pozwoli, żebym ja również pogratulował pani zwycięstwa. W końcu pobiła mnie pani na głowę.

- Dziękuję - odparła, przyjmując jego ramię.

Nagle urocze skądinąd popołudnie okazało się jeszcze piękniejsze. Niebo wydało się

bardziej błękitne, słońce jaśniejsze, powietrze cieplejsze. Co za szkoda, że ich przyjaźń

zdawała się dobiegać kresu. Przecież nie będą ze sobą korespondować. To byłoby niestosowne. A zostało im tylko pięć dni. Wątpliwe, czy się potem kiedykolwiek zobaczą.

Do licha, przykro mu będzie ją pożegnać. Ale pięć dni to zawsze pięć dni, a nie cztery.

Przecież jej mówił, że zawsze widzi szklankę do połowy pełną? No i pozostawała jeszcze reszta tego popołudnia.

Tak, pozwoli sobie na te pół godzinki.

Odszedł z nią w stronę mostka.

ROZDZIAŁ 7

Susanna wspaniale się bawiła na pikniku, zwłaszcza podczas wyścigów. Zdawała sobie oczywiście sprawę, że wicehrabia Whitleaf zapewne wygrałby finisz, lecz wiedziała również, że nie miał zamiaru pozwolić jej na zwycięstwo. Czuła wielką satysfakcję z odniesionego sukcesu. Musiała też przyznać, idąc z nim w stronę mostka ręką w rękę, że właśnie teraz, podczas tej krótkiej wspólnej przechadzki, jest całkowicie szczęśliwa.

Polubiła go. Zawsze miał pogodny nastrój, a kiedy byli razem, czuła coś więcej niż tylko zadowolenie. Zaczynała go lepiej poznawać i okazało się, że nie jest taki próżny ani zajęty wyłącznie sobą, jak wcześniej uważała. Czuła również, że on też interesuje się nią bardziej niż pierwszą lepszą damą.

Tak, ich przyjaźń okazała się nieoczekiwanie zauroczeniem.

- Myślę, że wiosłował pan już nieraz, a nie tylko dzisiejszego popołudnia, prawda?

- Istotnie.

- Nie sądzę, żeby pozwalano panu na to jako chłopcu.

- Skąd pani wie? W każdym razie nie w domu. W szkole i na uniwersytecie robiłem wszystko, czego mi przedtem zabraniano. Matka i siostry nie wiedziały o tym, nie mogły się więc martwić.

Przypomniała sobie, jak jedna z sióstr odciągnęła go znad wody, przerażona, że mógłby się utopić. Żywemu, ruchliwemu chłopcu nie wolno było nawet usiąść na brzegu z wędką!

- Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni przegrałem w zawodach wioślarskich. Moje gratulacje! - Ktoś musiał nauczyć pana pokory - odparła z rozbawieniem.

- Ach, nieładnie! Przecież mówiłem już, że przegrałem w wyścigu kariolek, nie pamięta pani?

- O włos. Ciekawe, jakiej był długości.

- Czasami ma pani język ostry jak brzytwa. Zaśmiała się.

- A czy pani kiedykolwiek wiosłowała? Proszę powiedzieć: „Tak”! W przeciwnym razie moje upokorzenie będzie absolutne.

- Kiedyś, bardzo dawno temu, jako dziecko. Później już nie.

- A gdzie to było?

- Och! Tam, gdzie się wychowałam.

Zamilkli obydwój na środku mostka, jakby się umówili. Słońce świeciło na bezchmurnym niebie, lekki wietrzyk chłodził twarze, słyszeli plusk wody pod arkadami.

Nagle Susanna stwierdziła, że robi się jej gorąco, a wszystkie jej zmysły się wyostają.

Poczuła woń jego wody kolońskiej.

- Z wizyty w pawilonie zapamiętałem, że pałac odbija się w wodzie w bardzo malowniczym miejscu. Projektant parku z pewnością trafnie je wybrał. Musiał być

prawdziwym mistrzem w swoim fachu.

- A czy należy naginać w ten sposób naturę do naszych zamierzeń?

- Na pewno. Przecież nawet kwiaty i jarzyny sadi się według jakiegoś planu. Stale manipulujemy przyrodą, chociaż łudzimy się tylko, że jesteśmy jej panami. Wystarczy byle burza, żeby się o tym przekonać. Czy zauważyła pani, jak szybko natura potrafi nas pokonać?

Chwasty błyskawicznie porastają ruiny potężnych zamków, trawa wschodzi tam, gdzie niegdyś królowie ucztowali z elitą imperium.

- Raczej mnie to uspokaja, niż przeraża. Wiem, jak bardzo zeszpeciły kraj kopalnie i fabryki, a nie sądzę, żeby prędko przestały powstawać nowe. Lecz gdy potem natura weźmie odwet, zmiecie stworzoną przez człowieka szpetotę i na nowo stworzy piękno.

- Jeśli nadal będziemy tu stali, ktoś gotów do nas dołączyć. Nie mam na to wielkiej ochoty. A pani?

- Ja też nie.

- W pawilonie byłoby tak samo. Ale widzę, że wzdłuż jeziora ścieżka wiedzie ku wodospadowi.

- Rzeczywiście, to część parku celowo pozostawiona w dzikim stanie. Spacerowałam tam kiedyś razem z Frances, ale nie doszłyśmy do wodospadu, bo ścieżka jest dosyć

wyboista, a poza tym padało i hrabia uznał, że spacer mógłby się fatalnie skończyć.

Spojrzał na jej pantofelki z cienką podszewką.

- Zbyt wyboista dla kogoś, kto trzy razy z rzędu wygrał wyścigi. Zwłaszcza, ku mojej hańbie, ten ostatni?

- Zawsze myślałam, że jest równie wyboista, jak piękna!

- W takim razie przejdziemy się po niej. Mam nadzieję, że nikt nie zechce się nam naprzykrzać.

Przyjęła raz jeszcze jego ramię i ruszyli.

Jakżeby chciała zatrzymać w pamięci każdą chwilę tego spaceru! Nawet nie przypuszczała, że może być tak szczęśliwa, i z nikim nie chciała się tym szczęściem dzielić.

- Ach, jak tu wspaniale! - Whitleaf przystanął na ścieżce, gdy wchodzili w las.

Szczerze podziwiał scenerię, czego tydzień wcześniej wcale by się po nim nie spodziewała, sądząc, że czuje się dobrze jedynie w kręgu dam.

- Barclay Court jest chyba jednym z najpiękniejszych miejsc w Anglii, chociaż nie widziałam wielu innych.

- Albo żadnego?

- Nie, jedno owszem - odparła z uporem. - Okolice mojego domu.

- To znaczy? Nie opowiadała mi pani o swoim dzieciństwie, prócz wzmianki o stracie matki. - Nieważne.

Ciekawe, co by powiedział, gdyby się przyznała, że niemal ze sobą sąsiadowali. Czy pamiętał tamto zdarzenie nad jeziorem? I czy chciałby wiedzieć, co nastąpiło potem?

Bolesny skurcz żołądka ostrzegł ją, żeby więcej o tym nie mówiła ani nie myślała.

- Panno Osbourne - rzekł, udając surowość - przyjaciele niczego przed sobą nie tajają.

To jedna z głównych reguł.

- Ależ nawet przyjaciele muszą mieć jakiś sekret. Coś do czego nikt inny nie ma dostępu.

- A zatem ukrywa pani przede mną mroczne sekrety? W porządku. Czy chodzi o majątek? Była pani dziedziczką?

- Nie, jedynie córką kogoś, kto w nim pracował. Ojciec, choć dobrze urodzony, nie miał posiadłości ani pieniędzy, musiał więc zarabiać na życie. W każdym razie nie wywodzę

się z pospólstwa. Jest pan zadowolony?

Uśmiechnął się lekko. Wiedziała, że później w kąciakach jego oczu uformują mu się zmarszczki, ale będą całkiem sympatyczne.

- Z tego, że nie zaprzyjaźniłem się z córką byle kogo? O, ścieżka robi się stroma, lecz możemy potraktować te płaskie kamienie jak stopnie. Czy na pewno zdoła pani dalej iść?

- A pan?

- Wcześniej przypominałem sobie coś, co mi pani powiedziała kilka dni temu. A może poniosła mnie wyobraźnia. Czy pani przypadkiem w tej szkole nie organizuje dla uczennic gier?

- Ależ oczywiście że organizuję. Czasem nawet sama w nich biorę udział. Zawsze byłem w tym dobra, już jako uczennica. W każdym razie uczymy czegoś jeszcze poza haftem i dobrymi manierami.

- O Boże. A chciałem okazać się człowiekiem rycerskim i pomóc pani we wspinaczce.

Wciąż zresztą mam ochotę to zrobić.

Ujął ją mocno za rękę. Przez moment doznała absurdalnego wrażenia, że się rozplacze. Nikt jeszcze nie podał jej dłoni, żeby pomóc. Chyba że ojciec. Tak, on z pewnością musiał to robić, kiedy była dzieckiem. Tyle czuła w tym geście intymności i zaufania.

Miał szczupłą dłoń o długich palcach, mocną i ciepłą, bardzo męską. Jak szybko go polubiła! Może nie należało się z nim jednak zaprzyjaźniać? Za tydzień, kiedy wróci do Bath, wszystko się skończy i zostanie jej tylko żal.

Po co wszakże się martwić na zapas? Nie mogła dłużej utrzymywać dystansu między nimi. Nie warto żałować tej przechadzki. Nawet jeśli ma się zaraz skończyć. Wspinali się tuż

przy sobie, mimo że ścieżka nie była na tyle zdradliwa, by któreś z nich naprawdę potrzebowało pomocy. W połowie drogi przystanęli, żeby nabrać tchu, i spojrzeli na dół.

Gęstwina lasu, pełna cienia, ostro kontrastowała z gładką, świetlistą taflą jeziora, widocznego po lewej.

O tak, to prawdziwie magiczna chwila. Obydwoje milczeli, bo nie musieli nic mówić.

Czuła, że doskonale się ze sobą zgadzają. Po chwili podjęli wspinaczkę na nowo, a szum wodospadu zagłuszył wszystkie inne dźwięki prócz przenikliwego świergotu ptaka.

Gdy dotarli do kaskady, widok okazał się tak porywający, że zapierał dech. Susanna czuła drobne kropelki chłodnej wody na twarzy. Jezioro wciąż było stąd widać, ale wszystko wydawało się bardzo odległe, jakby za niewidzialną przegrodą. Patrzyli w milczeniu na wodospad, póki Whitleaf

nie obejrzał się za siebie.

- Ach, jest i sztuczna grotta na zboczu. Wygląda jak prawdziwa pieczara. To dzieło godne Capability Browna*1. Może usiądziemy tam na chwilę? Wiele tutaj zrobiono dla ludzkiej wygody.

- Pewnie w środku jest chłodno - powiedziała z nadzieją. Było jej gorąco, mimo że drzewa chroniły ich przed skwarem przez większą część drogi.

Drewniana ławeczka obiegała całe wnętrze. Było to idealne schronienie przed słońcem, wiatrem i deszczem, albo też po prostu miejsce, gdzie można usiąść i podziwiać

naturę. Wejście okalały gęste paprocie.

- Lubię przyjaźń - odezwała się po dłuższej chwili Susanna. - Bo można wtedy spokojnie razem milczeć. Czy mówię sensownie?

- Tak. Milczenie w przypadku pospolitej znajomości zakrawałoby na niezręczność.

Tak właśnie było podczas naszego pierwszego spotkania. Czują się pani wtedy niezręcznie?

- Bardzo - przyznała.

- Dlaczego?

Wysunęła przedtem dłoń z jego ręki, żeby ułożyć suknię na ławce. Teraz zdała sobie sprawę, że znów ją ujął, choć nie wiedziała, kiedy to nastąpiło. Ich złączone ręce spoczywały 1* Lancelot Brown, zwany Capability Brown (1716 - 1783), wybitny angielski twórca ogrodów krajobrazowych.

na sukni pomiędzy nimi.

- Był pan wtedy wicehrabią Whitleafem, przystojnym, wytwornym, niewątpliwie zamożnym pewnym siebie mężczyzną. Światowcem.

- Płytkim, zarozumiałym flirciarzem. - Osądziłam pana zbyt pochopnie. Patrzył na nią

bez słowa. - Były też inne powody - dodała prędko. - Nosi pan tytuł wicehrabiego Whitleafa.

A ja spędziłam dzieciństwo niedaleko Sidley Park.

- Dobry Boże - mruknął po chwili. - Osbourne! Przez lata służył jako sekretarz Charlesowi Markhamowi podczas jego kariery ministerialnej. Nie zapomniałem o nim, kiedy mi panią przedstawiano, ale sporo ludzi nazywa się Osbourne. Nigdy bym nie sądził, że...

Prawda, on miał córkę. Czy to pani?

- Tak - odpowiedziała z napięciem. Dlaczego mu wyjawiała, kim jest? - Czy spotkaliśmy się kiedyś? - Jeden raz. Przyszedł pan nad jezioro, gdzie się bawiłam z Edith, ale siostry szybko pana zabrały.

Jednej nie w smak była nasza wspólna zabawa, a druga bała się, że wpadnie pan do wody i utonie.

- Coś pamiętam... zaraz... czy nie chodziło wtedy o jakąś wędkę?

- Tak, ale wątpię, czy w tym jeziorze w ogóle były ryby. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś złapał choć jedną.

- A więc to pani? Teraz sobie przypominam... Lepiej było zostawić te wspomnienia w spokoju.

- Pani ojciec zmarł?

- Tak.

- Przykro mi, chociaż to było tak dawno. Zmarł nagle, prawda? Czy nie na atak serca?

A więc rzeczywiście o niczym nie wiedział. Opiekunowie strzegli go skutecznie przed wszystkim.

- Tak. Jego serce nagle przestało bić. Nie było to całkowitym kłamstwem.

- Szkoda. Ale skąd się pani wzięła w szkole panny Martin? Nigdy o tym nikomu nie mówiła, nawet najlepszym przyjaciółkom.

A one też nie rozprawiały o własnej przeszłości. Ale Whitleaf i tak już wiedział więcej od innych. Przymknęła oczy.

- Przepraszam. - Ujął ją za rękę jeszcze mocniej. - Proszę mi wybaczyć, że ożywiłem bolesne wspomnienia.

Nauczyła się znosić samotność, nie ubolewała nad nią. Miała pracę i przyjaciółki niemal tak dobre, jak rodzina. Czasami czuła się jednak niczym bezradne, małe dziecko we wrogim świecie. Wątpiła, czy może istnieć coś gorszego. To cud, że w ogóle udało jej się

przeżyć.

- Do szkoły posłał mnie pan Hatchard, radca prawny Claudii i jej londyński agent.

Zwrócił na mnie uwagę, kiedy szukałam pracy. Najpierw zapytał mnie, czy znam Bath.

Myślałam, że chce mi tam zaofiarować miejsce, ale wyjaśnił, że jest tam szkoła, a ja mogłabym do niej pójść, gdybym chciała. Wtedy ktoś, kogo reprezentował, płaciłby za mnie i byłabym jedną z uczennic, utrzymywanych przez dobroczyńców.

Dobrze pamiętała, że słuchała jego słów na wpół z ulgą, na wpół z upokorzeniem.

- I zgodziła się pani?

- Nie miałam wyboru. W przeciwnym razie czekałaby mnie śmierć głodowa.

Próbowałam znaleźć pracę jako pokojówka. Podałam się w agencji zatrudnienia za piętnastolatkę, ale miałam tylko dwanaście lat. Dama, u której miałam służyć, nie uwierzyła mi i odprawiła mnie od razu. Nie była gospodynią, jak się spodziewałam, lecz panią domu we własnej osobie. Powiedziała, że skoro już musi korzystać z wynajmowanych służących, to przynajmniej chce ich sobie sama wybierać. Bałam się jej okropnie, mimo że była całkiem młoda. Czułam jednak, że właśnie dzięki niej pan Hatchard odnalazł mnie potem.

- Naprawdę?

- Któż inny mógłby to zrobić? W Londynie roi się od ubogich dziewcząt. A jej nazwisko łączyło się jakoś z tą szkołą, chociaż w dosyć osobliwy sposób. Claudia Martin była kiedyś guwernantką tej damy. Szybko rzuciła tę posadę z powodu jej złych manier oraz dumy. Dawna wychowanka pojawiła się jednak niespodziewanie w naszej szkole niedługo po moim przybyciu, pytając Claudię, czy jej czegoś nie potrzeba. Biedna Claudia nie posiadała się z oburzenia. Nigdy by jej chyba nie przyszło do głowy, że anonimowym dobroczyńcą

wspierającym szkołę może być lady Hallmere. Ja w każdym razie myślę, że tak się właśnie rzeczy mają.

- Lady Hallmere?

- Przed zamążpójściem nazywała się Freya Bedwyn i była siostrą księcia Bewcastle'a.

Wyszła potem za markiza Hallmere'a, który ma dom i posiadłość w Kornwalii. Moja przyjaciółka Anne Jewell mieszkała tam, zanim ją polecono szkole jako nauczycielkę.

- Znam rodzinę Bedwynów. Księżę Bewcastle to najbliższy sąsiad mojej kuzynki Lauren, wicehrabiny Ravensberg. O, nie przypuszczam, by guwernantka lady Hallmere mogła mieć łatwe życie! Dobrze się składa, że nie została pani jej pokojówką. Co za okropna osoba!

Dlaczego jednak właśnie ona miałaby panią skierować do Bath? Ciekawe!

- Mogę się mylić. Nie musiał jej przypominać, że pochodzą z różnych sfer, pomyślała.

Zna lady Hallmere! Ma wicehrabinę za kuzynkę! No, ale w końcu zostali przyjaciółmi, choć na krótko. Wnet powrócą do swoich odrębnych światów.

Oswobodziła dłoń z jego uchwytu, nie patrząc na niego. Wyszła z groty. On zrobił to samo.

- Miałam wiele szczęścia. W szkole od razu poczułam się dobrze. A gdy zostałam nauczycielką, jeszcze lepiej. - Właściwie to pani zazdroścę. Myślała, że sobie żartuje.

Spojrzała na niego gniewnie, lecz on patrzył w stronę wodospadu i zdawał się raczej mówić do siebie niż do niej. Kiedy się odwrócił, znów był uśmiechnięty.

- Czy gotowa jest pani przetańczyć na balu całą noc?

- Ależ to tylko wiejski bal, lordzie Whitleaf. Pewnie zakończy się jeszcze przed północą.

- Bierze pani wszystko zbyt dosłownie. Moja poetycka dusza burzy się przeciw temu.

Wyrażę się zatem trochę inaczej. Czy gotowa jest pani przetańczyć cały wieczór?

- Gotowa jestem dobrze się bawić. Nigdy nie byłam na balu, nawet wiejskim.

- Nigdy? Gdzie w takim razie nauczyła się pani tańczyć? - W szkole uczymy tego dziewczęta, nawet te utrzymywane przez dobroczyńców. Mamy nauczyciela tańca.

- Ale na balu pani nie tańczyła?

Fatalna rzecz. Nie powinna się była z tym zdradzać.

- Musimy już wracać, robi się późno. Ktoś może zauważyć naszą nieobecność. -

Panno Osbourne - powiedział nagle - czy zatańczy pani ze mną pierwszego walca?

Na chwilę odebrało jej mowę.

- Nie musi pan o to prosić tylko dlatego, że jesteśmy w pewnym sensie zaprzyjaźnieni, a ja nieopatrznie wyznałam, że po raz pierwszy będę na balu.

Znowu ujął ją mocno za rękę, ale nie zatrzymał jej w swojej, tylko uniósł na chwilę do warg, patrząc jej jednocześnie w oczy.

- Jakże dwoje ludzi może się przyjaźnić „w pewnym sensie”? Poprosiłem panią o walca, bo pragnę go z panią zatańczyć. Tylko tyle. Czasami kieruję się bardzo prostymi motywami.

I znów uniósł jej dłoń do warg. I wtedy odczuła ich dotknięcie nie tylko wierzchem dłoni, ale całym ciałem. Żaden mężczyzna nie zdobył się względem niej na tak dworny gest.

Było to doprawdy bardzo miłe. Nawet więcej niż miłe.

Nagle przestała go wyraźnie widzieć i ze zgrozą zrozumiała, że ma oczy pełne łez.

Próbowała zabrać rękę, lecz on ścisnął ją coraz mocniej.

- Susanno, czy panią czymś uraziłem? W takim razie proszę o wybaczenie. Czy nie chce pani.

- Tak, chcę - odparła niepewnie, przeciągając drugą dłonią po powiekach. Chcę.

Sprawi mi pan doprawdy wielką przyjemność, milordzie.

Żołądek podjechał jej do gardła. Whitleaf zwrócił się do niej po imieniu! Może nie powinna się tak

przejmować tym drobnym uchybieniem wobec dobrych manier, ale przecież

to znak przyjaźni.

- Nie będę się mógł doczekać tego walca przez cały wieczór - odparł z ręką na sercu.

Ach, widać zauważył, że się zmieszała, i chce poprawić jej nastrój, flirtując.

Co za uprzejmość z jego strony.

- Nonsens. - Usiłowała się roześmiać, lecz wydała tylko dość dziwny, gardłowy odgłos. - Przecież wiem, że co najmniej cztery pierwsze tańce ma pan już zarezerwowane. Jak można utrzymywać, że to kiepska perspektywa?

- Poprosiłem te damy o taniec, zanim panią poznałem. Od tego czasu zobojętniałem na wdzięki innych pań.

- Co za pochlebca! - Znów się roześmiała, tym razem szczerze rozbawiona.

- Mówię prawdę. Odkryłem, że przyjaźń o wiele bardziej mi się podoba niż flirt. -

Wszystkie kobiety Anglii zemdlałyby z wrażenia na te słowa. Musimy wracać.

- Musimy? A może powinniśmy stąd uciec i więcej się tutaj nie pokazać? Czy chciałaby pani czegoś takiego? - Nie! - Ale spojrzała na niego w zamyśleniu. Tak, czasami by tego chciała. Przecież już raz uciekła. - Raz mi pani powiedziała: „Nie jestem romantyczką”.

Ale poszukiwaczką przygód chyba też nie?

- Nie. Stoję mocno obiema nogami na ziemi.

- A serce w pani piersi jest wyłącznie organem anatomicznym? Chyba ma pani słuszność. Jeśli nie możemy stąd uciec, to lepiej wracajmy.

Szli koło siebie w milczeniu. Susanna czuła dziwną chęć, by poniechać wszelkiej ostrożności i rzucić się w nieznaną. Co było tym nieznanym? Przygoda? Romans? Ani jedno, ani drugie, nikt jej niczego nie obiecywał. Nie przyjęłaby zresztą takich ofert. Marzenia są

miłe, jeśli się ich nie myli z rzeczywistością.

A rzeczywistość przedstawiała się w następujący sposób: szła z wicehrabią

Whitleafem przez park Barclay Court pięknego letniego popołudnia. A jutrzejszego wieczoru zatańczy z nim walca na swoim pierwszym balu. Nawet jeżeli zostaną jej potem tylko trzy dni wakacji.

W tej rzeczywistości nie było nic niestosownego, mimo że aż za bardzo przypominała doskonałość. A

po trzech dniach opowie wszystko Anne i Claudii, potem zaś znów zaczną uczyć w szkole. Znów spotka się z nauczycielkami i uczennicami, wśród których znajdzie się

kilka nowych. Po wakacjach zostaną jej tylko miłe wspomnienia.

- Chciałbym wiedzieć, o czym pani myśli - powiedział, gdy zbliżali się do jeziora.

- O tym, że miałam sporo szczęścia w życiu.

- Naprawdę? - Przyjrzał się jej uważnie. - Z mojego doświadczenia wnoszę, że ludzie myślą tak tylko w chwilach smutku. Czy jest pani smutno?

- Nie, skądże. Westchnął głęboko i oznajmił:

- Dziwne, ale mnie też ogarnął melancholijny nastrój.

Dannen i Raycroft wyszli im naprzeciw wraz z pannami Moss, Krebbs i Jane Calvert.

Spotkali się w połowie mostku przy wtórze pogwarek i śmiechów.

Peter zdobył się na kolejny komplement wobec pań. Stwierdził, że oślepiło go popołudniowe słońce. Zaraz potem się „zorientował”, że przyczyną były one wszystkie.

Oczywiście nikt nie brał go na serio, jak można było wnosić z wybuchów śmiechu.

Ale widać było, że młode damy czuły się mile polectane.

Znowu przywdział maskę frywolnego żartownisia. Zresztą może to wcale nie maska?

Może po prostu miał dar rozbawiania ludzi? Chwilę wcześniej przyznał się wszakże do melancholii. Czy mógł odczuwać jedno i drugie naraz?

Być może. Bo ona właśnie taksie teraz czuła. Przeżyła jedno z najpiękniejszych popołudni w całym swoim życiu, a jednak...

A jednak obydwójce szybko powrócili do swoich światów.

ROZDZIAŁ 8

Melancholia, która ogarnęła Susannę po pikniku, znikła bez śladu, gdy wraz z Frances i hrabią przybyła następnego wieczoru na bal w wiejskiej oberży.

Chyba nigdy w życiu nie czuła takiego podniecenia, ale starała się go nie okazywać.

Skądinąd bez wielkiego powodzenia.

- Susanno - rzekł hrabia, gdy pomagał jej wysiąść z powozu - muszę przyznać, że jest pani dziś olśniewająca. Klejnoty są zbyt cenne!

Oczywiście, nie miała żadnych, podobnie zresztą jak Frances. Susanna podejrzewała, że mimo wspaniałej kreacji z szafirowego atłasu, niesłychanie kosztownej i szytej przez najlepszą krawcową, przyjaciółka celowo zrezygnowała z biżuterii, by nie zaćmiewać jej ani mniej zamożnych pań z sąsiedztwa.

- Wiem, jak się czujesz - powiedziała Frances. - Pamiętam swoje wrażenia z tamtej nocy w Bath, gdy dziadek i siostra Luciusa zaprosili mnie na bal w Górnych Salach Asamblowych. Byłam śmiertelnie przerażona i zarazem nieprzytomna z radości.

Przypominasz sobie?

- Claudia, Anne i ja w ostatniej chwili spostrzegłyśmy, że odpruł ci się obrąbek, no i podszywałyśmy go akurat na tobie w szkolnym korytarzu, kiedy pan Keeble wprowadził tam hrabiego Edgecombe'a z wicehrabią Sinclairem.

Obydwie zachichotały, a za nimi rozległ się dyskretny śmiech - znak, że hrabia docenił anegdotę.

Pokoje, gdzie miały się odbywać tańce, uznano by zapewne w Londynie za małe i skromnie przystrojone. Z pewnością ustępowały Górnym Salom Asamblowym w Bath, gdzie pewnego wieczoru musiała zaprowadzić uczennice na przyjęcie. Było w nich jednak pełno ludzi, których Susanna знаła i z którymi dobrze się czuła. Wszyscy z okazji balu przywdziali najlepsze stroje. W salach panował hałas, bo wszyscy mówili i śmiali się równocześnie.

Orkiestra, stojąca instrumenty na małym podium, jeszcze zwiększała cały harmider.

Susannie wszystko wydało się zachwycające. W końcu była na swoim pierwszym balu, choćby nawet i wiejskim. No i miała wkrótce tańczyć.

Hrabia zarezerwował sobie u niej co najmniej jeden taniec, chociaż nie powiedział

wyraźnie który. Dannen, już pod koniec pikniku, zapragnął odtańczyć z nią ten najważniejszy, na samym początku. Podeszła do nich pani Raycroft wraz z Rosamondą.

Dziewczyna aż krzyknęła z podziwu na widok sukni Frances i pochwaliła fryzurę Susanny, ułożoną przez osobistą służącą hrabiny.

- Czy to ta wstążka, którą kupiłaś w wiejskim sklepiku? - spytała na widok jasnozielonej sukni Susanny, dwukrotnie obszytej ciemniejszą w odcieniu taśmą. - Iskrzy się

cała w świetle i bardzo pięknie wygląda.

- Suknia powinna być strojniejsza z dzisiejszej okazji - wyjaśniła. - Nigdy jeszcze nie nosiłam jej na balu.

Potem zaczęło się istne szaleństwo - wszyscy pozdrawiali sąsiadów, a mężczyźni szukali gorączkowo partnerek do pierwszego tańca.

Susanna musiała przyznać, że Dannen trochę ją nudził. Spędzili w swoim towarzystwie niemało czasu przez ostatnie dwa tygodnie, lecz wątpiła, czy wie o niej coś

poza tym, że naucza w Bath. Ona za to dowiedziała się wszystkiego, co tylko można, o jego szkockich przodkach i dziedzictwie.

Brak romantycznego zaciekawienia jego osobą przestał się jednak liczyć, gdy Dannen wyprowadził ją na parkiet i stanął naprzeciw w rzędzie mężczyzn. Pierwszym tańcem był

kontredans. Chyba nigdy nie przeżyła piękniejszej chwili! Najstarsza z sióstr Calvert stała po jej lewej ręce, naprzeciw Raycrofta, a Rosamondą Raycroft tuż przy niej. Whitleaf uśmiechnął się wyrozumiale i powiedział coś, co rozbawiło Rosamondę. Przelotnie spojrzął

na Susannę, ale był zbyt dobrze wychowany, by dłużej niż przez chwilę zwracać teraz uwagę

na jakąkolwiek inną damę poza partnerką.

Już sama jego bliskość uradowała Susannę. Wkrótce jednak nie myślała o niczym poza tańcem, bo orkiestra zaczęła grać i rząd panów skłonił się przed rzędem pań.

Muzyka wypełniła jej uszy, parkiet wibrował rytmem, a tancerze się okręcali, zamieniali miejscami i zataczali kręgi wokół siebie. W sali zrobiło się gorąco i duszno od zapachu perfum i kwiatów. Żyrandole i kandelabry zdawały się poruszać w rytm melodii. A w środku tego wszystkiego tkwiła ona.

Była trochę rozczarowana, kiedy taniec się skończył, ale Raycroft poprosił ją

wcześniej o drugi, a hrabia - o trzeci. Pod koniec trzeciego tańca poczuła, że na policzki wystąpiły jej rumieńce. Była zadyszana. Pragnęła jednak, by ten wieczór trwał bez końca.

Finn poprosił ją wcześniej do czwartego tańca, lecz kiedy po nią przyszedł, Susanna siedziała koło panny Honeydew, która się wachlowała. Wyglądała na osłabioną i - jak się zwierzyła Susannie - nie jadła niczego od śniadania.

Panna Osbourne przeprosiła więc Finna i zabrała starszą panią do bufetu, gdzie przyniosła jej filiżankę herbaty oraz talerz z jedzeniem. Siedziała przy pannie Honeydew przez jakiś czas, przytupując nogą w takt melodii, dobiegającej z sąsiedniej sali.

Nie miała zamiaru całkowicie rezygnować z tańców. Crossley prosił ją już do kolejnego, a następny miał być walc.

Whitleaf prezentował się wyjątkowo pięknie w brązowym fraku, spodniach koloru kości słoniowej, brokatowej kamizelce i białej koszuli. Był też, jak zauważyła, zręcznym tancerzem i najwyraźniej dobrze się bawił. Gdy spojrzała ku niemu, uśmiechał się, wpatrzony w swoją partnerkę. A ona, rzecz

jasna, była wniebowzięta.

Crossley odprowadził Susannę do pani Raycroft i zatrzymał się żeby z nimi porozmawiać. Tymczasem Whitleaf i Frances zbliżyli się do nich. Susanna chłodziła twarz wachlarzem. Jakże ich lubiła!

- Och, to był doprawdy pełen wigoru taniec - stwierdziła Frances. Dziękuję, lordzie Whitleaf.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Muszę jak najszybciej odzyskać oddech, bo zaraz zacznie się walc. Tęskniłam do niego cały tydzień. Lucius również.

Hrabia właśnie do nich podchodził.

Whitleaf skłonił się przed Susanną.

- To chyba mój taniec, panno Osbourne.

- Tak, milordzie. - Dygnęła i uznała nagle, że ten wieczór okazał się jeszcze bardziej przyjemny, niż przypuszczała.

- Czyżby tańczyła pani walca, panno Osbourne? - spytał Crossley tonem świadczącym o zaskoczeniu, a nawet lekkim potępieniu.

- Nauczyłam się go w szkole od perfekcyjnego tancerza.

- Istotnie, Huckerby taki właśnie jest - zgodziła się z nią Frances.

- Pozwoliłam Rosamond zatańczyć walca z panem Mossem - wtrąciła pani Raycroft -

bo mój syn i wicehrabia Whitleaf zapewnili mnie, że tańczy się go U Almacka. A jeśli robi to nawet pani, lady Edgecombe, w takim razie nie ma w nim nic niestosownego.

- Zakochaliśmy się, tańcząc walca po raz pierwszy - wyjaśnił hrabia - w sali dość

podobnej do tej, prawda, Frances?

Crossley zamilkł.

Whitleaf wyciągnął rękę ku Susannie, a ona podała mu swoją. Wyprowadził ją na pusty parkiet, gdzie znaleźli się jako pierwsi. Mogli co prawda poczekać jakieś pięć minut, ale Susanna cieszyła się, że tego nie zrobił. Czekwała na tę chwilę niecierpliwie od wczoraj. Miała tańczyć z nim walca! Była taka szczęśliwa!

- A więc? - spytał, jakby byli całkiem sami, choć otaczał ich rój innych ludzi. - Co pani sądzi o swoim pierwszym balu? Chyba zresztą nie muszę pytać. - Jest naprawdę

wspaniały. I nie obchodzi mnie, że dla pana może to brzmieć banalnie. Nawet nie próbuję udawać, że swój pierwszy bal, w wieku dwudziestu trzech lat, traktuję obojętnie.

- Istotnie, jest wspaniały - przytaknął, patrząc na nią tak jak przedtem na inne partnerki. - O wiele wspanialszy niż wszystkie inne, na których bywałem przez całe dwadzieścia sześć lat.

- Powinien pan jeszcze dodać: „Bo pani tu jest”. - Właśnie miałem to powiedzieć, ale pomyślałem, że skarci mnie pani za pochlebstwo.

- Pewnie bym tak zrobiła. Czy pan też się dobrze bawi? Wiem, że inne młode damy ogromnie są przejęte pańską obecnością.

- Inne młode damy? - spytał, kładąc rękę na sercu. - A pani nie? Roześmiała się.

Nonsensy, a nawet lekki flirt mogą bawić, kiedy obie strony dobrze wiedzą, że plotą głupstwa.

- Będę go pamiętała do końca życia. - Bal czy walca? - Jedno i drugie. Chyba że nadepnę panu na nogę, ale to utkwiliby mi w pamięci jeszcze mocniej!

Otoczyły ich pozostałe pary. Muzycy zaczęli stroić instrumenty.

- Jeśli nadepnie mi pani na nogę, stanie się tak wyłącznie z powodu mojej niewybaczalnej niezręczności, a ja odpokutuję to w domu, wrzucając do ognia balowe obuwie. Nie, najpierw je spalę, a potem ucieknę do domu.

Zaczęła się śmiać.

A potem przestała.

Whitleaf objął ją w pasie i ujął jej prawą dłoń w lewą rękę. Ona zaś położyła lewą rękę na jego ramieniu. Fiołkowe oczy patrzyły prosto na nią, lekko rozbawione. Cóż za magiczna chwila... Doprawdy magiczna.

A wtedy muzyka zaczęła grać.

Później dotarło do niej, że mnóstwo innych par też znalazło się na parkiecie.

Jak przez mgłę dojrzała hrabiego Edgecombe'a, który wirował z Frances w rogu sali, przyciskając ją wyraźnie do siebie, czego na pewno nie pochwaliliby pan Huckerby. Mogła sobie jeszcze przypomnieć barwne suknie dam, blask świec, głosy, śmiechy i spojrzenia reszty towarzystwa usadowionego pod ścianami.

Ale wtedy nic do niej nie docierało. Początkowo tańczyła nieco sztywno, choć

bezbłędnie, starając się zachować pewną odległość między nimi. Potem odważyła się podnieść wzrok ponad jego nieskazitelnie zawiązany halsztuk i spojrzeć mu w oczy.

Uśmiechnął się i cała jej sztywność znikła.

- Och - jęknęła, nieco zadyszana - teraz już wiem, dlaczego tak chętnie tańczy się walca.

- I ja także. Mam nadzieję, że dorównam panu Huckerby'emu.

- Muszę przyznać, że słuszną. Nie odzywali się już więcej. Potem doszła do wniosku, że przez cały czas musieli patrzeć sobie w oczy, co było chyba dość kłopotliwe. Gdy patrzyła komuś w twarz z tak bliskiej odległości, nawet przy zwykłej rozmowie, zawsze miała ochotę

cofnąć się o krok albo zwrócić spojrzenie gdzie indziej. Ale nie tym razem. Tańczyli, tworząc harmonijną całość.

Przypomniało się jej, jak blisko dwa tygodnie temu zapragnęła zatańczyć walca z wicehrabią i jak zdusiła w sobie tę myśl. Dzisiaj to marzenie się urzeczywistniło. Ale nie mogło trwać wiecznie. Walc dobiegał końca.

- Och, już po wszystkim. - Nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu. - Ale walc był

cudowny. Dziękuję, milordzie. Odprowadzi mnie pan do Frances? Nie powinna być tak zachłanna. Przecież może sobie spokojnie patrzeć na tańczących, zachowując w pamięci tego pierwszego i zapewne ostatniego walca. - Zazwyczaj partnerkę odprowadza się po tańcu do bufetu. Zje pani ze mną kolację?

- Już czas? - Dopiero w tej chwili zauważyła, że wokół nich robi się pustawo. - Och, dziękuję, tak, bardzo chętnie... W ten sposób pobędzie z nim dłużej niż pół godziny. Co za wspaniałe zakończenie pobytu w Barclay Court. Zostały jej już tylko trzy dni. Lecz okazało się, że były to aż trzy dni.

ROZDZIAŁ 9

Peter znalazł dla nich dwa odosobnione miejsca, nim podszedł do bufetu. To akurat jedna z największych zalet wiejskiego balu, pomyślał z uznaniem, nakładając mnóstwo jedzenia na talerze.

- Gdzie się pan później uda? - zagadnęła go Susanna, gdy przyniósł wypełnione talerze, nalał herbaty i siadł naprzeciw niej. - Do domu?

- Do Sidley Park? Nie od razu. Nie mam zamiaru pojawić się tam, zanim nie rozjadą się goście, sproszeni przez moją matkę.

- W pańskim domu odbywa się wiejskie przyjęcie, a pana na nim nie ma? zdumiała się, napoczynając

kanapkę z ogórkiem.

- Matka za wszelką cenę chce mnie ożenić, wybrała dla mnie pannę i chce, bym się o nią starał. Wszyscy goście byłiby tego świadomi.

- A pan nie ma ochoty się żenić?

- W każdym razie nie chcę, żeby mi narzucano żonę. A moja matka właśnie tak zamierza zrobić.

- Zapewne pana kocha.

- Oczywiście, ale miłość może czasem ciążyć. Matka po raz pierwszy próbowała mnie wyswatać, kiedy miałem dwadzieścia jeden lat. Byłem wtedy pełnym żółtodziobem.

- Nie kochał pan tamtej dziewczyny?

- Ależ byłem w niej zakochany po uszy. - Skrzywił się. - W końcu tego się po mnie spodziewano, a ja zawsze postępowałem zgodnie z wolą matki i opiekunów. Na szczęście okazało się później, że tylko mi się wydawało, że ją kocham.

- Jak to się stało? - Susanna, wbrew prawidłom etykiety, wsparła się łokciem o stół i spojrzała na Whitleafa uważnie.

Nie chciał o tym opowiadać, nie był na to jeszcze gotowy. Uśmiechnął się, choć z pewnym trudem.

- Ni stąd, ni zowąd oprzytomniałem. Rano byłem jeszcze naiwnym chłopcem, a wieczorem cynicznym, zgorzkniałym starcem. I choć wszyscy uważali nasze zaręczyny za pewne, fatalnym trafem wszystko diabli wzięli. Moja ukochana wyjechała następnego dnia wraz z całą swoją rodziną i nigdy więcej żadnego z nich nie spotkałem. Na szczęście byli z północnej Anglii i - jak się zdaje - nie przyjeżdżali więcej do Londynu. Słyszałem jednak, że wyszła za mąż jakieś pół roku później.

Czy naprawdę utrata Berthy była takim nieszczęściem? Mógłby tak raczej powiedzieć

o utracie więzi, która łączyła go z matką. Nigdy nie był maminsynkiem, ale bezgranicznie ją

kochał. I uważał za wcieloną doskonałość. Później widział w niej już tylko zwykłego człowieka.

Do diaska, czy powinien rozmawiać o tym wszystkim z Susanną Osbourne? Nikomu innemu nie wspominał o tamtych wydarzeniach i rzadko powracał do nich myślami.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Cieszę się odtąd niezasażoną opinią kogoś, kto łamie kobietom serca. Całkiem niezasażoną. Ona nie miała serca.

Susanna nadal się w niego wpatrywała.

- I odtąd matrymonialne zabiegi matki ciążyą mi brzemieniem, mimo że chce dla mnie jak najlepiej.

- Wiem, że rodzina może być brzemieniem. Nawet jeśli czyjaś matka zmarła w połogu, a ojciec dwanaście lat później.

Teraz on spojrzał na nią uważnie. Utkwiła wzrok gdzieś w przestrzeni.

- Nie miała pani innych krewnych?

Dziwne, że Markhamowie nie odszukali nikogo z nich ani nie zatroszczyli się o jej los.

Nie wydawali mu się ludźmi bez serca. Przecież miała ledwie dwanaście lat! Cóż ona robiła w Londynie, szukając posady pokojówki? - Sama nie wiem - odparła, spoglądając na niego.

- Mój ojciec... był skłócony z rodziną, nie chciał o niej mówić. Zresztą o matce i jej bliskich także. Może, podobnie jak ja, nie miał wesołych wspomnień. Peter uznał za bardzo dziwne, a nawet okrutne, że Osbourne nie powiedział córce niczego o najbliższych. Może nie przypuszczał, że umrze młodo? Zapewne nie spodziewał się ataku serca. I w ten sposób Susanna Osbourne została sama.

Powinien sobie o niej przypominać w chwilach, kiedy mu dokuczy nadmiar urodzin sióstr, siostrzenic i kuzynek, o których trzeba pamiętać.

- A więc wróci pan do domu dopiero za jakiś czas?

- Zamierzałem to zrobić w dniu, kiedy panią poznałem. Przez pięć lat unikałem Sidley.

A gdy się za nim tak stęskniłem, że byłem gotów wrócić, dostałem od matki list z zawiadomieniem o tym nieszczęsnym przyjęciu; pełen aluzji matrymonialnych.

- No i nie wrócił pan?

Wzruszył ramionami. Nie był pewien, czy zrobił dobrze. Sidley Park należał do matki, jeszcze zanim wyszła za ojca. Zarządzała majątkiem dobrze i z sukcesem. Nie miał pewności, czy nadal mogą tam mieszkać razem. Nie był już małym, potulnym chłopczykiem. Mimo to nie chciał jej oddalać ani nawet sugerować, by przeniosła się do wdowiego domu. W końcu była jego matką. Petera nigdy nie cechowała bezwzględność.

- Największą pana zaletą i zarazem najgorszym kłopotem jest uprzejmość. Zupełnie jakby wdarła się w jego myśli. - To cecha bardzo zbliżona do słabości - odparł z zażenowaniem.

- Uprzejmość nie jest słabością - powiedziała stanowczo.

- Czy postąpiłem uprzejmie, uchylając się od przyjazdu na przyjęcie?

Wsparła podbródek na dłoni. Zauważył, że prawie nie tknęła jedzenia. Westchnęła głęboko.

- Panu trzeba zwycięstwa nad smokiem.

- I uwolnienia dziewicy?

- Proszę mi powiedzieć, o czym pan śni.

- W nocy?

Nie pozwoliła mu obrócić wszystkiego w żart.

- Nie, chodzi o pańskie marzenia. Odsunął talerz i się zamyślił.

- Nie są zanadto wzniosłe. Marzę, żeby móc chodzić po mojej własnej ziemi, z mocnym kijem w rękę i psem u nogi. I żeby znać tę ziemię do samej głębi, uprawiać ją, przesypywać grudki między palcami, widzieć, jak wzrasta na niej młode zboże. Żeby dobrze znać ludzi, którzy na tej roli pracują, ich rodziny, ich marzenia. I wnosić w ich życie zgodę i nadzieję. Żeby znać sąsiadów na tyle, by móc do nich zajrzeć o każdej porze. I żeby oni mogli tak samo zajrzeć do mnie. Marzę, żeby tytuł wicehrabiego Whitleafa nie oddzielał mnie od innych. Czy to wystarczy?

- Tak. Cieszy mnie, że pana poznałam. Lubię pana. Dziwnie go to wzruszyło.

- A więc pani mnie lubi? Czym sobie zasłużyłem na tyle uznania? Nie chciałbym być

sarkastyczny, ale zawsze zakładałem, że większość ludzi mnie lubi. Chyba nie jestem trudny w pożyciu. Mimo to pani słowa radują moje serce, ten organ w klatce piersiowej.

Uśmiech Susanny świadczył o szczerym rozbawieniu.

- A teraz niech pani mi zdradzi, o czym pani marzy. Natychmiast spoważniała.

- Och, o niczym. Zadowolam się tym, co mam.

- Jeśli mówi pani prawdę, jest to najsmutniejsza rzecz, jaką słyszałem. Wszyscy potrzebujemy marzeń. Nie wierzę, żeby pani nie miała żadnych. Poznają po oczach, że jest ich całe mnóstwo.

- Po oczach? - spytała podejrzliwie. - Z oczu niczego nie można wyczytać.

- Tu się pani myli. Oczy potrafią powiedzieć bardzo dużo. Zwłaszcza w pani przypadku. Przecież jesteśmy przyjaciółmi! Proszę mi się zrewanżować. Nie wyśmieję pani marzeń ani nie wyjawię ich wszystkim naokoło.

- Są równie skromne jak pańskie. Przede wszystkim własny dom. Przez pierwsze dwanaście lat życia mieszkałam w cudzym, a potem w szkole. Marzę o takim miejscu jak to, gdzie ma się sąsiadów i przyjaciół. Nie musi być duże. Wiejski domek mi wystarczy. No i ogród, żebym mogła sadzić kwiaty, mieć wokół siebie piękno i dostatek. I... och, jeszcze jedno. Urwała i przygryzła dolną wargę. Czekał bez słowa.

- Mąż i kilkoro dzieci, własna, kochająca rodzina. Nie marzę o bogactwie ani o przepychu, ale o miłości. Rzeczywiście jej marzenia były skromne. Rodzina i dom należą się

przecież każdej kobiecie, a tymczasem ona uważa je za nierealne. W końcu nie brak jej urody ani uroku. Tylko gdzie miałyby znaleźć odpowiedniego męża? Może on... Nie. Niemożliwe.

On z pewnością nie wchodzi w grę, no bo jak? Co więcej... już nic więcej.

Nagle spostrzegł, że w filiżankach wystygła herbata, a jej powierzchnię pokryła brzydka, szarawa warstewka. Talerze wciąż były pełne.

- Przyniosę pani świeżej herbaty.

Ujrzał na jej twarzy zaskoczenie. Spojrzała gdzieś poza niego i wtedy dopiero zrozumiał, że zostali sami. Muzyka i wesoły gwar dobiegały z głównej sali.

Zbliżał się ostatni taniec. - O Boże! Obiecała go pani komuś? - Nie.

- Ja również - odrzekł z ulgą. - Gorąco tu, prawda?

- Istotnie.

- Może wyjdziemy, skoro wszyscy inni i tak wkrótce zrobią to samo? - Z

przyjemnością. Parę minut później szli wiejską ulicą obok powozów i służby wyczekującej powrotu swoich państwa. Minęli sklep, cmentarz, plebanię i kościół. Prowadził ją pod ramię, a potem splótł jej palce ze swoimi.

- Ostatnie dwa tygodnie uświadomiły mi, że bardziej lubię wieś niż Londyn czy Brighton. Chciałbym jak najprędzej wrócić do domu. Może zdążę na koniec zniw. Och, proszę mi wybaczyć.

- Mam nadzieję, że pańskie marzenia się urzeczywistnią.

- Nie wspominałbym tych dwóch tygodni tak miło, gdybym pani nie poznał. -

Zaskoczyło go, że mówi szczerze, choć niejednokrotnie przecież wypowiadał takie słowa, flirtując z damami. - Dwa tygodnie jeszcze się nie skończyły. Wciąż mamy przed sobą trzy dni. Szkoda, że tylko trzy.

Potem wróci do szkoły. Brzmiało to smutno, choć wiedział już, że lubi swoją pracę.

Zdawał sobie jednak sprawę, że perspektywa uczenia dziewcząt przez resztę życia nie jest bynajmniej jej marzeniem.

Zatrzymali się przy kościele, pod wiązem.

- Chciałaby pani zostać tu dłużej?

- Ależ skąd. Wszystko, co dobre, musi się kiedyś skończyć. To były najpiękniejsze wakacje w moim życiu.

- Czy może dzięki mojej obecności?

I znów powiedział coś, co nieraz przedtem mówił, flirtując z kobietą. A potem obydwójce się uśmiechali, bo wiedzieli, że takie słowa są bez znaczenia. Lecz Susanna Osbourne traktowała je poważnie. Czekał na odpowiedź, jakby miało w niej być coś

ważnego.

- Tak. Doceniłam pańską przyjaźń.

Zauważył, że użyła czasu przeszłego. Rzeczywiście nie spotkają się chyba już nigdy więcej. On raczej nie przyjedzie do Bath, a ona stamtąd nie wyjedzie.

- Przyjaźń - stwierdził, pochylając się ku niej - jest chyba nieadekwatnym określeniem. Czy nie jesteśmy czymś więcej niż przyjaciółmi?

Co chciał powiedzieć? Należało się zastanowić, nim zaczął mówić, a teraz było już za późno.

- Proszę tak nie mówić. I proszę nie psuć tego, co nas łączy. Niech pan przestanie ze mną flirtować.

- Jestem jak najdalej od tego.

A potem, gdy nachylił głowę jeszcze bardziej i zetknęli się czołami, zamknął oczy i zastygł bez ruchu. Ona także.

Nagle poczuł przejmujący smutek, jeszcze silniejszy niż na wczorajszej przechadzce.

Otworzył oczy i dotknął jej ust swoimi. Trwało to tylko chwilę, bo zaraz uniósł głowę i spojrzał ku kościołowi. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nadal trzymają się za ręce.

Bez wątpienia całowała się po raz pierwszy, choć z trudnością można było takie zetknięcie warg nazwać pocałunkiem. Nie mógł jednak zrobić tego ponownie, byłby to haniebny postępek. Nie powinien był jej wcale całować. Przecież są jedynie przyjaciółmi!

- Chyba powinniśmy wrócić do oberży - szepnęła. - Widzę, że inni już wychodzą, a muzycy przestali grać.

Do diabła, powinien ją przeprosić. Ale za co? W końcu trudno coś podobnego uznać

za pocałunek. Dlaczego jej nie posłuchał, kiedy nie dalej jak tydzień temu powiedziała, że nie może być przyjaźni między mężczyzną a kobietą? Posłużył się przykładem Edgecombe'a i jego żony, żeby jej zaprzeczyć. Zapomniał, że tamci byli zarówno parą przyjaciół, jak i kochanków, a oni nie mieli takiej możliwości. Nawet jeśli między nimi zaczynało się rodzić

coś więcej. Do licha, ona go pociągała! Wcale sobie tego nie życzył.

- Odprowadzę panią - powiedział wreszcie. Dobrze, że bal się kończy. Nie będzie miał

więcej sposobności do nierozważnych czynów.

Edgecombe z żoną czekali na nich. Inni wsiadali już do swoich powozów wśród gwaru i tumultu, życząc sobie dobrej nocy.

- Panna Osbourne i ja postąpiliśmy rozumniej niż reszta - oznajmił, gdy podeszli bliżej. - Spacerowaliśmy, zażywając świeżego powietrza.

- Frances - Susanna się uśmiechnęła - spędziłam doprawdy wspaniały wieczór.

Dziękuję, że mnie tu przywiozłaś.

Edgecombe pomógł jej wsiąść do powozu. Pożegnali się i kareta odjechała.

Peter odetchnął z ulgą, a potem zajął się panną Raycroft, która z podnieceniem paplała, jak wspaniale się bawiła. Nie słuchał jej zbyt uważnie.

Powiedziała, że trzeba mu zwycięstwa nad smokiem.

Zwycięstwa nad smokiem.

Frances zastukała do sypialni. Susanna wymamrotała pod nosem coś niezbyt uprzejmego, ale nie powiedziała tego na głos. Przyjaciółka uchyliła drzwi i zajrzała do środka.

- Jeszcze się nie położyłaś? - spytała i otworzyła szerzej drzwi, widząc w świetle świecy, że Susanna stoi przy oknie. - Myślałam, że masz ochotę opowiedzieć, jak się czułaś

na swoim pierwszym balu. Przez całą drogę milczałaś, bąknąwszy tylko, że był to bardzo miły wieczór. Nic poza tym? Lucius uznał, że jesteś zbyt onieśmielona, żeby powiedzieć

więcej. Teraz jednak zostawiłam go u siebie i rozmawiamy we dwie. Weszła do pokoju.

- Och! - Susanna zaczęła gorliwie zaciągać firanki, chociaż wiedziała, że kiedyś w końcu będzie musiała się odwrócić. - Przecież to był naprawdę bardzo miły wieczór.

- Tylko „miły”? I tylko „bardzo”? - Frances zaśmiała się z cicha, a potem zamilkła, widząc, że Susanna wciąż boryka się z firanką.

- Ależ ty... chyba nie płaczesz?

- Oczywiście, że nie - zaprotestowała Susanna, ale głos zdrzął jej żałośnie.

- Och, moje ty biedactwo! - zawołała Frances. - Co się stało? Susanna zaczęła szukać

chustki. Frances była już w nocnej bieliźnie, przygotowana do snu. Miała na sobie długi, powiewny, ciemnobłękitny peniuar, a rozpuszczone ciemne włosy spływały jej na plecy.

- Och, jaka jestem niemądra. Dałam się zaskoczyć na placzu - odparła Susanna, wycierając nos - I to z tak niewłaściwego powodu. Zapewniam cię, że to nie z żalu, wręcz przeciwnie. Opuściłam tylko dwa tańce. A i tak mogłam zatańczyć jeden z nich z panem Finnem. Ale panna Honeydew poczuła się słabo i zabrałam ją do bufetu.

Usiadła na łóżku i podciągnęła nogi, tak żeby objąć kolana rękami. Stopy okryła szlafrokiem.

- Całkiem jak za dawnych dobrych czasów. - Frances uśmiechnęła się, siadając przy gotowalni. - Brakuje mi wspólnych pogawędek. W szkole mogłyśmy je prowadzić do późnej nocy. Co nie znaczy, że chciałabym zrezygnować z mojego dzisiejszego życia i wrócić tam...

Miałam sporo szczęścia, ale musiałam coś poświęcić.

- Czy podobał ci się ten wiejski bal?

- Jasne! Na wsi zawsze bawię się lepiej niż na wielkich przyjęciach w Londynie. Poza tym ty tu byłaś i miałaś miłych partnerów. Tańczyłam z Lucusem walca i widziałam, że ty także go tańczysz. Wszystko było niemal idealne. - Tak, będę miała o czym opowiadać po powrocie do Bath. Tańczyłam walca, w dodatku z wicehrabią. Co prawda nie z księciem, lecz to mała różnica.

- Walc wydaje mi się piękniejszy od innych tańców, bo jest taki... och... romantyczny.

- Owszem.

Susanna przymknęła oczy. Wydało się jej wtedy, że niemal płynęła po parkiecie.

Nieoczekiwanie znów zaczęła płakać, tak mocno, że wstrząsał nią szloch.

- Och, Boże, za jaką idiotkę musisz mnie uważać! Zapadła kłopotliwa cisza.

- Susanno... czy ty się czasem nie zakochałaś w wicehrabim? Susanna spojrzała na Frances ze zgrozą.

- Nie! Oczywiście, że nie! Kto ci powiedział coś tak niemądrego? Łzy spływały jej po policzkach. Starła je pospiesznie chustką.

- Ach, moje biedactwo - powtórzyła raz jeszcze Frances.

- Mówisz od rzeczy. Na pewno się w nim nie zakochałam, chociaż bardzo go polubiłam. Co za szkoda, że jest już właściwie po wakacjach. Smutno mi będzie pożegnać

was obydwój i wszystkich innych. - Łącznie z wicehrabią?

- Tak. - Susanna zdobyła się na blady uśmiech. - Łącznie z nim.

- I tylko go lubisz? - Frances zmarszczyła brwi. W świetle świecy wyglądała na zmartwioną.

Przyjaciele się nie całują. A on ją pocałował pod kościelnym więzem. Zapamięta to na resztę życia.

Wsparła czoło o kolana.

- Susanno. - Frances wstała z krzesła i usiadła koło niej na łóżku, gładząc ją łagodnie po plecach.

Usiłowała opanować płacz. Nigdy przecież nie była beksą.

- On jest tylko przyjacielem - wyjąkała, kiedy mogła już mówić. - Ale przyjaciele stają

się sobie bliscy, Frances, a mnie by serce pękło, gdybym się musiała żegnać z tobą, z Anne czy z Claudią na zawsze.

- A więc serce ci pęka?

- Ależ skąd! To tylko przenośnia. Jest mi po prostu smutno. Bardzo smutno, mimo miłych wspomnień. - Czuję się bezradna - odparła Frances po minucie czy dwóch. - Nie wiem, co ci powiedzieć ani jak cię pocieszyć. A zatem nie uwierzyła jej zapewnieniom.

Susanna zwiesiła w milczeniu głowę.

- Pocięchą jest już sama twoja obecność - odezwała się w końcu i wstała z łóżka. - A także przyjaźń. Wybacz mi te parę łez i wracaj do męża. Muszę się wyspać, żeby dobrze wyglądać. Twojej urodzie tego nie potrzeba.

Frances ścisnęła ją za ręce i ucałowała w policzek.

- Moja dzielna Susanna! Teraz cię poznaję. W takim razie śpij dobrze.

Susanna otuliła się kołdrą zaraz po jej odejściu, podciągając ją pod samą brodę.

Niemalże słyszała słowa wicehrabiego, że przyjaźń jest zbyt słabym określeniem na to, co się zrodziło między nimi. I że stali się chyba czymś więcej niż przyjaciółmi. Nie chciała pamiętać ani tych słów, ani pocałunku, który po nich nastąpił. Nie chciała w nie wierzyć.

Obróciła się na bok i zwinęła w kłębek. Raz jeszcze zawirowała w tańcu. Raz jeszcze poczuła jego wargi na swoich.

ROZDZIAŁ 10

Peter nie wspominał balu z zadowoleniem, raczej z przykrością. Złamał kilka zasad, które sobie niegdyś narzucił.

Najpierw tańczył walca z Susanną Osbourne, potem jadł z nią sam na sam kolację - a mógł przecież dołączyć do innych, usiąść przy którymś z większych stołów. Następnie poszedł z nią na przechadzkę, znów sam na sam. Spędził w jej towarzystwie co najmniej godzinę, a zatem dwa razy więcej, niż pozwalał sobie przebywać na osobności z jakąkolwiek damą, która nie była jego siostrą.

W dodatku objął ją, ujął jej dłoń podczas spaceru i - jakby tego było mało splótł jej palce ze swoimi. To już było bliskie niestosowności, w każdym razie wykraczało poza granice przyzwoitego zachowania.

Na domiar złego ją pocałował. Uczciwość kazała mu uznać lekkie dotknięcie warg za pocałunek. Wystarczyło tego, żeby czuł się nieswojo. Nie mógł puścić tych chwil w niepamięć. Przeciwnie, wciąż go nachodziło ich wspomnienie.

Igrał z uczuciami Susanny. Daremnie usiłował sobie wmówić, że to wszystko bez znaczenia i że po tygodniu dziewczyna o tym zapomni. Może i tak, lecz dobrze wiedział - w końcu miał pięć sióstr - że kobiety pamiętają takie rzeczy dużo dłużej i przywiązują do nich większą wagę niż mężczyźni. Zawsze się z tym liczył i zawsze respektował kobiecą

wrażliwość. Z wyjątkiem tamtego, pamiętnego dnia. No i z wyjątkiem wczorajszego balu.

Czuł, że Susanna Osbourne boleśniej przeżyje ich nieuchronne pożegnanie, niżby pragnęła.

To chyba świadczyło o jego próżności? W każdym razie Susanna byłaby ostatnią osobą, którą chciał urazić. Najgorsze, że musi ją przeprosić. Za ten nieszczęsny pocałunek, zapewne pierwszy w jej życiu.

Niech to licho, nie miał powodów do dumy. Prawdę mówiąc, było mu wstyd. Nie powinien był się do niej zalecać. W końcu lubił ją tylko, nic więcej. Zbyt wiele ich dzieliło.

W końcu istnieją różnice społeczne. W jego sferze żony wybierało się spośród własnego stanu, i nie chodzi tu o snobizm. Małżonki ludzi utytułowanych mają swoje obowiązki, a wychowanie musi je do nich przygotować. Mają też zobowiązania towarzyskie i winny je respektować w odpowiedni sposób.

Może to banalne, ale takie rzeczy naprawdę się liczą. W końcu społeczność, wewnątrz której wzrastał, istniała właśnie dzięki takim regułom.

Podczas bezsennej po większej części nocy postanowił, że musi się trzymać z dala od Susanny Osbourne przez następne trzy dni. Wyjeżdżał o dzień później od niej. Nie wolno mu zrobić ani powiedzieć czegoś, co potem byłby zmuszony odpokutować. Najlepiej byłoby w ogóle nie widywać tej dziewczyny.

Trzymał się tej całkiem rozsądnej decyzji przez dwa dni. Pierwszego był zaproszony, wraz z Raycroftami oraz innymi sąsiadami, na obiad do Barclay Court.

Potem zaś miały nastąpić szarady i gra w karty. Nie ignorował Susanny Osbourne, jakżeby mógł? Znalazła się zresztą podczas szarad w innej grupie i rozwiązywała je z taką

samą energią i entuzjazmem, z jaką brała udział w zawodach wioślarskich. Z ulgą stwierdził, że najwyraźniej nie zdołał zepsuć jej nastroju tamtej nocy. Bynajmniej jej nie unikał.

Rozmawiał z nią, śmiał się i współzawodniczył, lecz robili to wśród innych i ani chwili nie spędzili sami.

Drugiego dnia - był to pomysł panny Moss - większość młodych ludzi pojechała czterema powozami do Taunton, żeby zajrzeć do tamtejszych sklepów i urządzić piknik nad brzegiem rzeki Thone. Specjalnie wsiadł do innej karety niż Susanna. A chociaż w Taunton nieraz znajdowali się blisko siebie, nigdy nie byli sami. Ostatniego dnia obudził się jakąś

godzinę wcześniej niż zwykle i niemal z przerażeniem zdał sobie sprawę, że to ostatni dzień

pobytu Susanny w Barclay Court. Że zmarnował dwa dni i że bez żadnej szkody mogliby spędzić trochę czasu wyłącznie we własnym towarzystwie.

Po cóż ją całował? Po co spacerowali po wiejskiej ulicy ze splecionymi palcami?

Chociaż byłoby mądrzej - zdecydował, gdy wkrótce potem schodził na śniadanie -

uniknąć wszelkiej styczności z nią jeszcze przez ten jeden dzień. Jutro ona wyjedzie, a on będzie szykować się do odjazdu.

Raycroft wraz z siostrą, czego dowiedział się przy śniadaniu, zamierzali pójść tego ranka do Barclay Court, żeby się pożegnać z Susanną. Po drodze mieli wstąpić do sióstr Calvert, aby zabrać je ze sobą.

- Powinien pan się wybrać z nami, lordzie Whitleaf - powiedziała Rosamonda. - Jakie to smutne, że panna Osbourne wyjeżdża tak wcześnie!

Miał więc szansę, żeby się uprzejmie pożegnać wśród licznych gości. Owszem, to całkiem rozsądna myśl. Przy okazji będzie się cieszyć miłym towarzystwem czterech młodych dam w drodze do Barclay Court i z powrotem.

Ale gdy otworzył usta, zaskoczyła go własna odpowiedź.

- Obiecałem porozmawiać dziś rano z panną Honeydew. - A przecież wcale tak nie było!

- Ja także wkrótce wyjeżdżam, a bardzo ją polubiłem. Wpadnę do Barclay Court po południu.

Panna Raycroft się nadąsała, ale na szczęście nie doszła do wniosku, że planowany wspólny spacer do Barclay Court można by przełożyć na późniejszą porę.

Raycroftowie wyruszyli więc bez niego, a on spędził przedpołudnie, rąbiąc drwa dla panny Honeydew mimo jej rozpaczliwych protestów. Potem nastąpiły wylewne podziękowania i gorąca zachęta do zjedzenia pół tuzina sławnych ciastek gospodyni. Tym razem okazały się podejrzanie czarne od spodu i twarde jak kamień w środku.

Nie można było przewidzieć, czy pochmurny poranek przeistoczy się później w słotę, czy też wyjrzy słońce. Gdyby padało, miałby pretekst, by pozostać w domu i zagrać w szachy z ojcem Raycrofta, zawsze chętnym do partyjki z kimkolwiek, kto mógł mieć choć cień

szansy na pokonanie go. Wypogodziło się jednak i zza chmur zaświeciło słońce.

Peter pojechał do Barclay Court konno i pozostawił wierzchowca pod opieką

stajennego. Kamerdyner stał już w otwartych drzwiach z wiadomością, że hrabia wraz z paniami skończył lunch i z pewnością przyjmie go chętnie w salonie.

Mógł tam zostać jakiś kwadrans, a potem sobie pójść, życząc przedtem Susannie Osbourne szczęśliwej drogi i sukcesów w szkole. Może ucałowałby wierzch jej dłoni, a może tylko się uklonił...

Co się z nim dzieje? Nigdy tak szczegółowo nie planował swego postępowania. Po prostu kierował się dobrymi manierami. O niczym nie musiał myśleć zawczasu.

Kamerdyner otworzył przed nim podwójne drzwi salonu z tak serdecznym uśmiechem, jakby anonsował samego księcia Walii, a potem zatrzymał się w progu.

Susanna Osbourne podnosiła się właśnie z krzesła przy oknie. W dużym pokoju nie było nikogo poza nią.

- Och, panie Smothers - powiedziała - hrabiostwo poszli właśnie do biblioteki. Nie wiedział pan?

Kamerdyner odwrócił się ku niemu z komicznym zatroskaniem, ale Peter nie dał mu dojść do słowa.

- Ach, ale przyszedłem tu właśnie do panny Osbourne, Smothers. Oczywiście, jeśli zechce mnie przyjąć.

Kamerdyner rozejrzał się niepewnie po pustym salonie.

- Wszystko w porządku, Smothers - stwierdziła, wychodząc na środek pokoju.

- Jak się pan miewa, milordzie?

W gruncie rzeczy miał się nie najlepiej. Poczul nagle niemądry lęk, taki sam, jak po obudzeniu się rano. Widzi ją po raz ostatni. Nic nie pomogło wmawianie sobie, że za tydzień

o niej zapomni. Uśmiechnął się i wkroczył do środka, a kamerdyner zamknął za nim drzwi.

- Frances dostała rano ofertę wystąpienia na kilku koncertach późną jesienią -

wyjaśniła Susanna. - Ustalają więc z mężem w bibliotece terminy, ale niebawem wrócą.

Niebawem wrócą. Nagle ich nieobecność wydała mu się nieoczekiwanym, od dawna upragnionym darem.

Wyglądała trochę blado, choć gdy się uważniej przyjrzał, stwierdził, że lekko się

opaliła, przebywając na świeżym powietrzu. Tylko oczy miała smutne, mimo że jej usta się uśmiechały.

Oczywiście, musiała wiedzieć, że się żegnają. Głupio postąpił, marnując te dwa dni.

- Przyszedłem się pożegnać.

- Tak.

- Miło mi było panią poznać... - zaczął i nagle zdał sobie sprawę, że mogliby się poznać dużo lepiej, gdyby mieli choć trochę więcej czasu.

- Mnie pana również. - Wczorajsza wycieczka okazała się udana, prawda? - Owszem.

Nigdy jeszcze nie byłem w Taunton. - Ja też nie. Ujrzał, że z trudem przełknęła ślinę i na chwilę odwróciła głowę. - Mam nadzieję, że dopisze pani pogoda podczas podróży. -

Dziękuję. Założył ręce do tyłu. - Czy mogę... - Czy zechciałaby pani... Obydwoje odezwali się jednocześnie i w tym samym momencie przerwali. Zachęciła go gestem, żeby mówił dalej.

- Czy zechciałaby pani pójść ze mną na przechadzkę? - spytał, porzucając starannie ułożony plan piętnastominutowej pogawędki. - Zrobiło się tak ładnie. - Wezmę tylko kapelusz.

Zostawiła go i pobiegła na piętro. Znów ogarnął go lęk. Czy uda im się wyjść, nim hrabia i Frances wrócą do salonu? Zostało mu tylko to jedno popołudnie. Ostatnia szansa. Jutro o tej porze... Ostatnia szansa? Na co, na litość boską! Gdy znaleźli się w holu, Edgecombe z żoną

wychodzili właśnie z biblioteki, uśmiechając się przyjaźnie na jego widok.

- Ach, to pan, Whitleaf - zaczął Edgecombe. - Smothers powiedział nam o pańskiej wizycie; przepraszam za kłopot. Właśnie zamierzaliśmy się z panem przywitać. Chyba się

pan nie zbiera do powrotu?

- Proszę z nami zostać - poprosiła hrabina. - Panna Osbourne i ja zamierzaliśmy się

przejsć - wyjaśnił. - Jest tak ładna pogoda, że grzech z niej nie skorzystać. - Powinniście zobaczyć część parku zachowaną w stanie dzikim - zachęcił go Edgecombe. - Wygląda wyjątkowo malowniczo. Prawda, Frances?

Dłoń Frances spoczęła na rękawie męża.

- Pamiętam, że się martwiłeś, żeby mi czasem nie zaszkodziło słońce.

- Doprawdy? - spytał zaskoczony hrabia.

- Chyba lepiej zrobić, zostając u siebie.

Peter dostrzegł, że Edgecombe zaczyna rozumieć, o co chodzi hrabinie. I w tejże chwili zrozumiał to również on sam.

- Och, z całą pewnością, moja droga. Chętnie z tobą posiedzę, jeśli ci to nie będzie przeszkadzało.

- Z pewnością nie.

- Udar słoneczny bywa groźny - dorzucił Peter.

I w ten sposób wyszli z domu bez niczyjej asysty. Z błogosławieństwem hrabiny Edgecombe, jeśli tak można rzec.

Ale czego dotyczyło to błogosławieństwo?

Zrozumiała wszystko jak należy. Czyżby się spodziewała, że...

Po chwili przestał się zastanawiać, w jaki sposób zyskał wyjątkową szansę znalezienia się sam na sam z panną Susanną Osbourne.

Bez jednego słowa podał jej ramię. Nie patrzył na nią.

Doznał zaskakującego poczucia spełnienia.

ROZDZIAŁ 11

Po południu Susanna spakowała prawie wszystkie swoje rzeczy. Zrobiła to sama, mimo że Frances radziła, by zostawić tę pracę służącej. Była w pogodnym nastroju. Pragnęła wrócić do domu - czyli do szkoły. Otrząsnęła się już ze smutku, który nękał ją w nocy po balu. W końcu spędziła dwa tygodnie wakacji wręcz wspaniale. Uznała, że zapamięta je z najmniejszymi szczegółami i że te wspomnienia będą ją cieszyć, a nie nękać.

Cieszyło ją zatem, że wicehrabia Whitleaf nie zwracał na nią zbyt uwagi przez ostatnie dwa dni. A jeszcze bardziej to, że nie zawitał do Barclay Court wraz z Raycroftem, Rosamond czy siostrami Calvert. Ze wszystkimi pożegnała się już wcześniej. Niektóre z panien uroniły nawet kilka łez, a Raycroft życzył jej bezpiecznej podróży.

A jednak z wielkim trudem podtrzymywała podczas lunchu beztróską rozmowę z Frances i hrabią, a jedzenie ledwie przechodziło jej przez gardło. Musiała przyznać, że boli ją

nieobecność wicehrabiego i skwapliwość, z jaką unikał spotkania z nią. Wiedziała, że robił to celowo.

Zupełnie jakby ten pocałunek, który właściwie nie był prawdziwym pocałunkiem, zniszczył ich przyjaźń.

W końcu mimo wszystko przyszedł. Całkiem sam.

Zauważyła, że ramię, które jej ofiarował, jest nieco napięte. Nie powiedział ani słowa, gdy szli przez taras i trawnik, a potem skręcili ku parkowi. Przypomniała sobie, jak szli w milczeniu podczas ich pierwszego wspólnego spaceru, w dniu kiedy się poznali. Teraz cisza między nimi była całkiem inna. Z trudem mogła uwierzyć, że niedawno wcale go nie знаła, prócz krótkiego epizodu z zamierzonego dzieciństwa.

- Ta ścieżka wiedzie przez las i wzgórze do mostku, później w stronę wodospadu, a następnie zwraca ku domowi, tylko że z drugiej strony - zaczęła, przerywając wreszcie milczenie.

- To będzie długi spacer.

- Tak.

- Jest pani zdecydowana?

- Zawsze lubiłam przechadzki.

- Ja też. Wędrowałem po szkockich górach i po Krainie Jezior. Chciałbym kiedyś przejść pieszo całą północną Walię.

- Podobno z Mount Snowdon roztacza się wspaniały widok.

- Owszem, mówiono mi o tym.

Ścieżka, starannie utrzymana, pozwalała im iść tuż obok siebie.

- Chętnie bym posłuchała opowieści o pana wycieczkach.

Nie odzywał się przez chwilę, ale czuła, że ją obserwuje. Spojrzała na niego.

- Zatem powinienem o tym opowiedzieć. Byłby to temat dłuższej rozmowy. A po powrocie pogratulujemy sobie, że nie pozwoliliśmy zapaść między nami ciszy, z wyjątkiem kilku pierwszych minut. Pożegnamy się życzliwie i będzie to kres całej historii.

Nie wiedziała, co może na to odrzec. W końcu nie zadał jej żadnego pytania.

- Tak - stwierdziła lekko.

- Czy naprawdę tego pani chce? - Pochylił się w jej stronę, a ona spojrzała mu w oczy, ciemniejsze niż zwykle. Znajdowały się ledwie kilka centymetrów od jej własnych.

I to ją zgubiło.

- Nie. - Nie chciała z nim prowadzić błażej pogawędki. - Nie - powtórzyła, bardziej zdecydowanym

tonem, a potem raz jeszcze spojrzała przed siebie.

- Ale co w takim razie powinniśmy robić?

- Po prostu cieszymy się tym popołudniem, swoim towarzystwem i pośmiejmy się trochę. Niech to jednak będzie prawdziwa radość i prawdziwy śmiech.

Po cóż miałyby robić tragedię? Za tydzień czy za rok zdziwi się, dlaczego nie wykorzystała sposobności, żeby zapomnieć o pustce, jaką przyniesie przyszłość. Zresztą skąd wie, że czekają pustka. Jaką ma gwarancję, że w ogóle będzie jeszcze jakaś przyszłość?

- Znakomity pomysł - odparła i się roześmiała. - Wręcz wspaniały. Whitleaf też się zaśmiał, a ona niespodziewanie poczuła, że jest szczęśliwa. Do diabła z przyszłością!

- Czy zauważył pan, jak trudno uchwycić terażniejszość?

- Możemy to zrobić dopiero wtedy, gdy już przeminie. Tak, ma pani zupełną rację.

Można by się zastanawiać, jak długo właściwie trwa terażniejszość. I uznać, że w gruncie rzeczy jest wieczna. - Albo ulotna jak mgnienie.

- Chyba znów dyskutujemy o tym, czy szklanka jest do połowy pusta, czy pełna. Czy my czasem nie zaczynamy filozofować? Niepokojąca możliwość. Wnet zaczniemy roztrząsać, ile aniołów zmieści się na łebku szpilki.

- Żaden albo nieskończone mnóstwo. Nie wiem, która odpowiedź jest prawdziwa i czy w ogóle taka istnieje.

- A może w takim razie powinniśmy się zgodzić, że przeżywamy jedną wiecznotrwałą chwilę? Albo tysiące kolejnych?

Znów się roześmiała.

Wyostrzyły się wszystkie jej zmysły, dostrzegła teraz wyraźnie każdy szczegół, od świergotu ptaka po kamyczek pod stopą. Czowała mocny, chociaż sprężysty nacisk jego ramienia i ciepło ciała pod rękawem surduta.

- Widzę tam miłą ławeczkę - oznajmił. - Całkiem jakby nas zapraszała.

- Tak, zaprojektowano tu wiele miejsc z myślą o wygodzie, jak pan zresztą sam zauważył koło wodospadu.

Stanęli, patrząc na prześwit pomiędzy drzewami, przez który widać było trawnik i stajnie. Stary dąb pośrodku znakomicie zamykał tę perspektywę. Chciałbym, żeby zobaczyła pani Sidley Park - zaczął,

spoglądając ku odległej szachownicy pól, poprzedzielanych żywopłotami. - Zawsze mi się wydawało, że nic się z nim nie może równać. Pewnie przesadzam, ale Sidley tkwi głęboko w moim sercu. Tym organie anatomicznym.

- I źródle delikatności uczuć; nawet jeżeli wiemy, że tak naprawdę biorą się skądinąd.

Posiadanie własnego domu musi być czymś cudownym. Nietrudno mi sobie wyobrazić, że widzi pan Sidley Park raczej oczami duszy niż rozumu.

- Mam nadzieję, że i pani będzie kiedyś miała swój dom.

Poszli dalej, kierując się ku niżej położonemu zbocz, póki nie wyszli na otwartą przestrzeń, gdzie widać było całą rzekę, węższą tutaj niż przy ujściu do jeziora. Brzegi łączyły wygięty, drewniany mostek. Woda miała w tym miejscu barwę ciemnej zieleni od gęstych drzew na stoku.

- O tak, miała pani zupełną rację. To najpiękniejszy widok ze wszystkich. Piękniejszy nawet niż pod wodospadem. Tam dzika przyroda graniczy z uporządkowanym światem. A tutaj mamy już niczym nieskalaną naturę.

Susanna wysunęła rękę spod jego ramienia i obróciła się dokoła. Wzgórze przed nimi wznosiło się stromo. Poniżej rosło jeszcze więcej drzew, które otaczały ich z trzech stron.

Widziała podszycie leśne, paprocie, rzekę i most.

- Nie dostrzegłam tego poprzednim razem, ale istotnie, tutaj by można...

- Uciec?

- Wycofać się w ustronie. Myślę, że to właściwsze wyrażenie.

- Może usiądziemy? Wprawdzie nie widzę nigdzie ławeczki, ale nie przypuszczam, by ziemia była wilgotna. Od kilku dni nie padało. Usiadła więc, obejmując rękami kolana, a on ułożył się koło niej, z jednym kolaniem ugiętym i głową wspartą na rękę. Drugą przesuwiał

lekką po trawie. Słońce świeciło im prosto na głowy.

- Proszę się wsłuchać - powiedziała po chwili. Jego dłoń znieruchomiła. - Czy to wodospad? - Tak. Obydwoje wyteżali przez chwilę słuch. A potem nakrył wolną ręką jej dłoń. - Susanno, będzie mi pani brakowało.

- Mieliśmy nie myśleć o przyszłości. - Prawda. - Zdjął rękę z jej dłoni, odłożył

kapelusz i położył się na plecach, osłaniając oczy. Nie potrafiła odpędzić myśli o przyszłości.

Usiłowała więc skoncentrować się na odległym szumie wodospadu. - Czy marzyła pani kiedyś - spytał po paru minutach - o zupełnej wolności? - Zawsze. - Ja także. Nie dalej jak dwa tygodnie temu uważała, że mężczyzna taki jak on jest najzupełniej wolny. A nawet że taka jest większość mężczyzn.

- Nie pragnę uwolnić się od szkoły, niedostatku czy czegokolwiek innego, tylko...

Och, słyszałam o gorącej tęsknocie za Bogiem, ale to nie całkiem to. Mnie chodzi o coś jeszcze innego, o...

- O tęsknotę za czymś, czego nie da się nazwać.

- Właśnie - westchnęła. - Czy my znów nie zaczynamy filozofować? - spytał. Przesłał

osłaniać oczy, odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej. A wtedy przeszłość i przyszłość

przeszły się nagle liczyć. Albo może stopiły się z terażniejszością. W jedną pełną magii chwilę. - Susanno - powiedział cicho. Mogła coś odpowiedzieć. Mogła sprawić, by czas ponownie ruszył z miejsca, ale nie zrobiła nic. Wyciągnął rękę, rozwiązał wstążki jej kapelusza, który opadł na trawę. Przyciągnął ją do siebie. Przyklękła obok niego.

I potem ich wargi ponownie się zetknęły w przelotnym pocałunku, takim jak tamten pod więzmem. Uniósł jej twarz ku sobie, ujmując ją w obydwie dłonie.

- Pozwól mi się pocałować.

Były to absurdalne słowa, bo przecież przed chwilą właśnie to zrobił bez żadnych próśb. Mimo braku doświadczenia miała jednak dość intuicji, żeby zrozumieć, o co mu chodzi. Nadal klęczała obok niego, zjedną ręką wspartą o jego pierś, a drugą - o wiele dalej -

na trawie. Pocałował ją po raz drugi. To już nie był przelotny całus. Ten pocałunek skończył się dopiero po niezwykle długiej chwili.

Wargi miał rozchylone, ciepłe i wilgotne, a końcem języka powiódł po jej ustach od krańca do krańca. Potem zaś zaczął ją całować, wsuwając język coraz głębiej. Wreszcie uniósł głowę.

- Połóż się przy mnie. Przecież ci niewygodnie.

Ułożyła się więc tuż koło niego, mając jego ramię pod swoim karkiem. Położyła mu rękę na piersi i zamknęła oczy. Nie chciała, żeby coś mówił. Czy ludzie naprawdę całują się

w ten sposób? Czasem wyobrażała sobie, że jest przez kogoś całowana, ale nigdy nie przypuszczała, że może to wyglądać właśnie tak.

Czuła, jak jego serce gwałtownie bije pod jej dłonią. A potem, nim zdołała oprzytomnieć, obrócił się ku niej i palcami dotknął jej policzka, odsuwając z niego kosmyk włosów.

- Cały kłopot w tym, że jak się już raz zaczęło całować, to przychodzi ochota na coraz więcej i więcej - powiedział ledwo dosłyszalnie.

- Tak.

Pocałował ją znowu, miękko, powoli, i przyciągnął ją jeszcze mocniej ku sobie.

Poczuła, że jest spięty. Jeden z wysokich butów wślizgnął się między jej nogi.

- Susanno - wyszeptał z wargami tuż przy jej ustach - powiedz moje imię.

- Peter.

To było bardziej bliskie i osobiste niż jego tytuł. Nigdy przedtem nie myślała o nim jako o Peterze. Dotykał lekko jej piersi, jakby je badał, ogarniał je dłonią. Ściągnął kciukiem suknię z jej ramienia, by obnażyć jedną z nich. A potem objął ją ciepłą dłonią. Skórę miał

ciemniejszą niż jasna karnacja Susanny.

Wtedy wreszcie przestała się łudzić. To już nie jest niewinna przyjaźń.

Nigdy zresztą nią nie była. Nie mogła znieść myśli o jutrze, nie tylko z powodu utraty przyjaciela, lecz dlatego, że przyjdzie się jej rozstać z kimś, kogo rozpaczliwie i beznadziejnie pokochała.

Beznadziejnie. Właściwe słowo. Bez nadziei. Bez przyszłości.

Zbliżył wargi do jej ust, lecz jej nie pocałował. Zajrzał Susannie głęboko w oczy. Bez trudu zrozumiała, czego żąda to spojrzenie, choć nigdy jeszcze nikt tak na nią nie patrzył.

- Powstrzymaj mnie - wyszeptał. Jakże miała go powstrzymać?

Jeżeli nie było przyszłości, to została tylko ta chwila, a ona nie zamierzała pozwolić, żeby się jej wymknęła.

Teraz. Kiedy był z nią. Jutro znajdą się daleko od siebie.

- Susanno.

- Nie przerywaj, proszę cię. Nie przerywaj tego, co robisz.

I nie przerwał. Położył ją na plecach, całował i obnażył drugą pierś. Sprawił, że cała wezbrała pragnieniem. A potem uniósł skraj jej sukni wraz z bielizną, aż poczuła żdźbła trawy na gołym ciele, i wsunął się pomiędzy jej uda.

Wiedziała, co teraz nastąpi, chociaż zawsze sądziła, że musi to być i bolesne, i zenujące.

Zabolało ją, ale nie czuła żadnego zażenowania. Tylko ból i raptowną, nieoczekiwaną

satisfakcję, o wiele bardziej niezwykłą i radosną niż wszystko, czego dotąd doświadczyła.

Mimo bólu i wstrząsu, jaki przeżyła, pragnęła, żeby się to nigdy nie skończyło.

Wsparła mocno stopy o miękką skórę jego wysokich butów. Objęła go z zamkniętymi oczami i pozwoliła, by w nią wniknął, a potem raz za razem ponawiał te ruchy. Raz w życiu chciała czuć, że jest z mężczyzną, którego kocha.

Niczego nie żałowała. Nie obchodziło jej, co będzie potem. Nawet jeśli „potem” musiało kiedyś nadejść.

Rytm jego ruchów przybrał na sile, mięśnie się gwałtownie naprężyły, a potem westchnął i opadł na nią. Poczula w sobie coś ciepłego. Rozczarowało ją, że już po wszystkim. Ale pamięć pozostanie.

Na zawsze. Odsunął się na bok, pamiętając, żeby opuścić dół jej sukni, a górę

naciągnąć na piersi. Kiedy to zrobił, legł obok, lecz wcześniej doprowadził do porządku również i swój strój. Jedną dłonią osłaniał oczy. Drugą podłożył jej pod plecy.

Wyglądał, jakby zapadł w sen.

Jakże można spać po czymś takim? Musiał jednak być wyczerpany.

Powoli wracał jej rozsądek.

- Susanno - odezwał się sennie, z zamkniętymi oczami. Spojrzała na niego. Miał

potargane włosy, był lekko zarumieniony. I nieprawdopodobnie wręcz przystojny. - Pojedź ze mną.

- Co takiego?

- Jedźmy stąd. Dlaczego mielibyśmy się żegnać, jeśli żadne z nas tego nie chce?

Pojedźmy razem do północnej Walii. Bądźmy wolni.

- A później?

- Do licha, przestańmy myśleć o tym, co będzie później. Mamy na to czas. Nie zostawię cię bez niczego, przyrzekam. Jedź ze mną.

Zrozumiała wreszcie. Chciał, żeby została jego kochanką. I ma zamiar na nią łożyć. I jako uczciwy, dobry człowiek nie pozwoli jej przymierać głodem, kiedy będzie po wszystkim.

Ma zostać jego kochanką?

Utrzymanką?

- Wolę żyć tak jak dotąd. Muszę wracać do szkoły.

- Niczego nie musisz.

- Masz rację. - Usiadła i poprawiła na sobie odzienie, choć ręce się jej lekko trzęsły. -

Niczego nie muszę. I nie muszę też jechać z tobą.

On także usiadł.

- Nie potrafię znieść rozłąki z tobą.

Sięgnął po jej kapelusz i nałożył go na splątane włosy Susanny.

- A ty? Czy ty potrafisz?

- Nie - przyznała, zawiązując wstążki kapelusza pod brodą. - Niestety, nie ma innego wyjścia. Musimy się rozstać.

- Susanno... - zaczął.

Ale już wstała i patrzyła z tej perspektywy na niego. Próbowwała się nawet uśmiechnąć.

- Zawsze będę pamiętać te wakacje i dzisiejszy dzień. Ale to koniec. Wszystko inne byłoby brudne.

- Brudne? - Sięgnął po kapelusz i powoli dźwignął się z ziemi. - Naprawdę?

- Tak. Jestem nauczycielką, nie kurtyzaną. I dalej będę nauczycielką.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem kiwnął głową.

- Przepraszam. Wybacz, że cię obraziłem.

- Nie widzę nic obraźliwego w tym, że chciałeś przedłużyć naszą znajomość.

Wrócimy do domu czy pójdziemy dalej? Frances może się niepokoić, co...

- ...tu robimy? Uśmiechnęli się oboje, niewesoło.

Podał jej ramię. Przyjęła je i poszli dalej. Ostatnie pół godziny wydało się czymś nierealnym.

Tylko że to się naprawdę stało.

Czuła się obolała po tym, co między nimi nastąpiło. Wiedziała, że ma w sobie jego nasienie.

Za późno było myśleć o konsekwencjach.

ROZDZIAŁ 12

Peter wrócił do Sidley Park we wrześniu, kiedy miał pewność, że wszyscy goście musieli już wyjechać. Czy będzie umiał dzielić dom z matką, gdy postanowił w nim osiaść?

Kochał ją, lecz ona zawsze traktowała Sidley jak wyłączną własność. Zachowywała się, jakby była bóstwem, które zawsze wie, co jest najlepsze dla domowników. Rządziła dziećmi stanowczo, chociaż z miłością. I właśnie dlatego trudno mu się było jej przeciwstawić.

Nie czekał, aż woźnica opuści schodki. Wyskoczył niecierpliwie z powozu prosto na taras, niby uczeń po powrocie z nielubianej szkoły.

I od razu opadły go problemy.

Matka, która nudziła się po odjeździe gości, zapragnęła nagle zmienić wystrój salonu.

Pełno w nim teraz było różowych poduszek z falbankami, choć i tak wolał je od ozdobnych, marszczonych różowych zasłon.

- To był taki pospolity, ciemny i smutny pokój - wyjaśniła, prowadząc go pod ramię, żeby przyjrzał się nowemu wystrojowi. - A teraz stał się jasny i miły nieprawdaż, kochanie?

No i jest ładniejszy, odkąd postanowiłam zastąpić pejzażami te okropne portrety.

- Co z nimi zrobiono? - spytał, udając uprzejme zainteresowanie. Portrety kilku jego przodków budziły w nim zawsze dumę, zaciekawienie i szczerze je lubił, łączyły go jakoś z ojcem i dziedzictwem po nim. Nikt się tym zbytnio nie interesował poza nim. - Są na strychu.

Nie cierpiałam ich. Po cóż miałyby wciąż przypominać o przykrej przeszłości, nie uważasz?

Chrząknął wymijająco.

Salon wyglądał teraz jak zbyt duży damski buduar, a wymiana malowideł wzmocniła to wrażenie jeszcze bardziej.

- Co o tym myślisz? - spytała rozpromieniona.

Chyba najwyższy czas, żeby okazać stanowczość i dać jej do zrozumienia, kto tu rządzi. Lecz była taka rozradowana! I taka pewna, że wszystko mu się spodoba. Ostatecznie mógł wytrzymać różowy salon... ale nie bibliotekę czy sypialnię.

- To wszystko jest bardzo... w twoim stylu, mamó. - Tak, pokój pasował do niej.

Różowy zawsze był jej ulubionym kolorem.

- Wiedziałam, że będzie ci się podobało. - Przycisnęła mocniej jego ramię. - Dobrze, że mam cię znowu w domu! Doprawdy nie wiem, dlaczego Raycroftowie ośmielili się

zatrzymać cię w Somerset, skoro dobrze wiedzieli, że chcesz wracać? Goście byli bardzo rozczarowani, zwłaszcza lady Larchwell. Niewątpliwie się spodziewała, że jej córka wpadnie ci w oko. Panna Larchwell jest śliczną osobką, a także skromną, biorąc pod uwagę, że jej pradziadek ze strony matki był księciem. Nie powinienesz być dać się wodzić za nos Raycroftom. Masz zbyt dobre serce.

- Muszę przyznać, że w Hareford House czułem się doskonale. - Oczywiście. - Matka usiadła, niemal ginąc wśród poduszek. - Ale pewnie nie było tam nikogo specjalnie interesującego. Tutaj zresztą też nie, odkąd goście wyjechali. Cieszę się z góry na twoje towarzystwo.

- Przecież w pobliżu mieszkają Markhamowie. Chętnie bym znów zobaczył Thea. No, a państwo Harrisowie, Mummert, Pole...

Milczała.

Matka traktowała sąsiadów uprzejmie, lecz z góry, jakby chcąc zaznaczyć, że dzieli ją od nich wielka przepaść. Owszem, Markhamowie sporo znaczyli w okolicy. Zawsze też

aktywnie działali w polityce - ojciec Thea był przez wiele lat ministrem. Ale mimo że matka niejednokrotnie odwiedzała ich w Fincham Manor, zabierając czasem ze sobą jego i córki, znajomość w końcu osłabła, czego żałował, bo matka Thea spędzała w Fincham każdą zimę i była niemal rówieśnicą jego matki. Mogłyby się zaprzyjaźnić.

- A jeśli już mówimy o Markhamach... - zagadnął nagle. - Czy pamiętasz Osbourne'a?

Matka przestała bawić się falbanką.

- Nie za bardzo.

- Przecież przez długi czas był sekretarzem Charlesa Markhama. Zamyśliła się, ale szybko wzruszyła ramionami.

- Dlaczego miałabym go pamiętać?

- Złajęłaś mnie raz, kiedy pokazywał mnie i Theo, jak się pisze atramentem sympatycznym. Myślałaś wtedy, że jestem w pokoju Thea, a myśmy tymczasem zabawiali się

atramentem, którego woń mogła przyprawić o ból głowy. - Zawsze się o ciebie bałam, byłeś słabego zdrowia. No i nie lubiłam, kiedy nie mogłam cię znaleźć. Ale nie pamiętam tego zdarzenia.

- A potem przyjechałem raz ze szkoły na ferie tygodniowe i poszliśmy do Fincham bez dziewcząt. Wsiadłem wtedy w stajni Markhamów na jednego z koni, żeby gdzieś

pojechać razem z Osbourne'em. Powiedziałem mu, zdaje się, że mam twoje pozwolenie.

Może zresztą uznał, że w moim wieku już go nie potrzebowałem. W każdym razie gdy wróciłem, byłaś taka przerażona moim wyczynem, że wyglądałaś na chorą. Tamtego dnia widziałem Osboure'a po raz ostatni.

- Doprawdy? Powinni go byli wyrzucić. Zasłużył na to.

- Zmarł nagle. Na atak serca.

- Ach, tak? Fatalna historia. Cóż ci go po tylu latach przypomniało? Nie rozumiem, dlaczego interesuje cię byle sekretarz. Bądź tak dobry i zadzwoń po herbatę.

Usłuchał, nie odpowiadając na pytanie. Nie dziwiło go, że nie pamięta kogoś, kto był

jedynie sługą. Jeszcze mniej prawdopodobne wydało mu się, by pamiętała Susannę Osbourne.

Nie wspominał o niej, bo chciał jak najszybciej zapomnieć, że ją znał. A przynajmniej nie wspominać jej z poczuciem winy.

W następnych tygodniach odwiedził wszystkich sąsiadów. Harrisowie opowiedzieli mu o niedawnym pobycie w Tunsbridge Wells. Mummertowie chcieli dowiedzieć się jak najwięcej o najświeższej modzie w Londynie, bo zamierzali wybrać się tam wiosną na kilka tygodni. A państwo Pole uraczyli go anegdotkami o swych licznych wnuczętach. Choć

wszyscy okazali się bardzo życzliwi, nikt nie zaprosił go na obiad czy karty. Był przecież

Whitleafem i stał nieskończenie wyżej od nich. Podczas tych wizyt traktowano go z krańcowym respektem i zapewniano, że uczynił im zaszczyt odwiedzinami. On również nie zaprosił nikogo do siebie. Matka czułaby się skępowana, albo nawet dotknięta, gdyby jej dom nawiedzali niżej od niej urodzeni goście.

Jej dom.

Przecież to był jego dom!

Od dawna mieszkała w Sidley. Chociaż w rzeczywistości należało ono do niego od blisko dwudziestu trzech lat, to jako niepełnoletni nie miał żadnej władzy. Nic dziwnego, że matka zarządzała majątkiem.

Dlaczego, do diaska, gdy stał się dorosły, nie powiedział jej ani wujom, że jest za młody na małżeństwo, lecz dostatecznie dojrzały, by wziąć odpowiedzialność za własne życie, dom i posiadłość? Wtedy łatwiej byłoby tak zrobić. Wydawałoby się to naturalne.

Wszyscy na to czekali.

Dlaczego nie powiedział matce, że powinna się przenieść gdzie indziej? Okazał się za młody. Nie mógł z dnia na dzień stać się mądry i dorosły.

Wybrał się pewnego dnia do Fincham. Ucieszyło go, że zastał Thea w domu. Edith, rzecz jasna, nie było. Dwa lata wcześniej wyszła za Lawrence'a Morleya i zamieszkała z nim w hrabstwie Gloucester. Lady Markham towarzyszyła jej tam, opiekując się córką po niedawnym, pierwszym porodzie.

Peter zachodził do Fincham jeszcze kilka razy. Niekiedy wybierał się na konną przejażdżkę z dawnym przyjacielem. Podczas jednej z nich zadał mu to samo pytanie, co matce.

- Czy pamiętasz Osbourne'a?

- Williama? Masz na myśli sekretarza mojego ojca?

- Lubiłem go. Zawsze znajdował dla nas czas. Szkoda, że nie żyje.

- Tak, prawdziwa tragedia. A można jej było uniknąć, jak zawsze w takich przypadkach. Tylko on byłby pewnie innego zdania, biedaczysko.

- Jakże mógł tego uniknąć?

- Całkiem łatwo - odparł sucho Theo. - Nie pakując sobie kulki w łeb.

- Popęłnił samobójstwo?! - Peter tak gwałtownie ściągnął wodze, że koń stanął dęba i trzeba go było okiełznać.

- Nie wiedziałeś? - zdumiał się Theo. - Nikt ci nie powiedział?

- Słyszałem tylko, że zmarł. - Hm... nic dziwnego. Zawsze cię chroniono przed wszystkim, co przykre. Dlaczego o niego pytasz?

- Tego lata spotkałem przypadkiem jego córkę.

- Susannę? Myślałem, że się zaszyla gdzieś na końcu świata, biedna dziewczyna.

Chociaż teraz już chyba kobieta. Edith była wtedy niepokieszona, a moja matka wręcz odchodziła od zmysłów. Ja nic o tym nie wiedziałem, byłem wtedy w szkole. Szkoda Osbourne'a. Był porządnym człowiekiem.

- Dlaczego się zabił?

- Zadałem to samo pytanie i usłyszałem najróżniejsze przypuszczenia. Ale nikt nie znał prawdziwej przyczyny. A może nie chcieli jej wyjawić. Musieli go pochować w niepoświęconej ziemi. Jemu pewnie już nie robiło to różnicy, ale przyczyniło bólu Susannie.

Chyba jej nie było na pogrzebie... Pomówmy lepiej o czym innym.

Nie wrócili więcej do tego tematu ani wtedy, ani później. Dlaczego Osbourne się

zabił, mimo że miał córkę na utrzymaniu? Lepiej teraz rozumiał motywy jej ucieczki.

Samobójstwo uchodzi za ciężki grzech w myśl nauk Kościoła. I jeśli istotnie znalazła się w szkole panny Martin za sprawą lady Hallmere, będzie miał odtąd o tej megierze dużo lepsze zdanie.

Desperacko próbował nie myśleć o Susannie ani o tym, co zrobili w dniu jej odjazdu z Barclay Court. Spędził trochę czasu na wsi, lecz nie tyle, ile by chciał. Było już prawie po żniwach i wyszedłby na głupca, narzucając się z pomocą, kiedy nic nie pozostało do zrobienia.

Umówił się z rządcą i przejrzał z nim wszystkie księgi, mimo że starannie czytywał co miesiąc nadsyłane mu raporty. Millingworth został jednak rządcą jeszcze z woli jego opiekunów. Był rzetelny, doświadczony i traktował go jak chłopca, którego obecność jest uciążliwa, lecz trzeba ją z konieczności znosić. A może Peterowi tak się tylko wydawało?

W domu matka zdręczała go wymówkami, że nie myśli o przyszłości. To znaczy o korzystnym ożenku i potomstwie. Troszczyła się, by miał służbę na każde zawołanie i by nakładano mu na talerz najlepsze kaski. Niemalże płakała, gdy wychodził z domu w niepogodę. Raz nawet zjawiała się w bibliotece, dobrze po północy, i przerwała mu lekturę

upomnieniem, że gdy się zbyt późno kładzie spać, na drugi dzień boli go głowa.

Wszystko to ciążyło mu nieznośnie. Może zdołałby sobie z tym poradzić, gdyby nie był taki przybity. Nie potrafił otrząsnąć się ze smutku, w którym pograżył się w Hareford House.

Wreszcie po kilku tygodniach uznał, że dobrze byłoby wyjechać stąd i zacząć nowe życie, jak sobie przyrzekł. Wróciłby może do domu na święta. Na pewno przyjedzie wtedy któraś z sióstr, a on był szczerze przywiązany i do nich, i do licznych siostrzenic oraz siostrzeńców.

Pojechał więc do Londynu pod pretekstem wizyty u krawca i szewca. Rzucił się od jednej rozrywki do drugiej, ze zdziwieniem stwierdzając, że w stolicy można się doskonale zabawić nawet w październiku, poza sezonem. Przywykł do takiego życia, ale rozrywki mało go teraz bawiły. Z listów od matki dowiedział się, że w salonie wiszą już nowe obrazy i że jest teraz ładniejszy niż - wszystkie inne pokoje, a także że zamierza odświeżyć również

jadalnię.

O Boże, musi wrócić, żeby ją powstrzymać. Barbara, najstarsza z sióstr, która właśnie przyjechała z mężem na kilka dni do Londynu, wspomniała o świętach.

- Mam nadzieję, że spędzisz je w Sidley. Clarence i ja będziemy tam z dziećmi. Twoja nieobecność byłaby czymś okropnym. Mama zaprosiła zresztą także i innych gości.

Powinieneś wystąpić w roli gospodarza.

- Innych gości? Kogo?

- Nie mam pojęcia. - Westchnęła. Clarence bez słowa uniósł brwi i spojrzał w jego stronę. - Ale,

rzecz jasna, z pewnością jacyś przyjadą. Mama martwi się o ciebie. Chciałaby, żebyś się wreszcie ożenił. Doprawdy nie wiem, po co się jej opierasz. Tylko dlatego, że pięć

lat temu nie spodobała ci się Bertha Grantham i przyznałeś się do tego dopiero w ostatniej chwili?

Żadna z sióstr nie wiedziała, co się wtedy naprawdę stało, a on nie miał zamiaru im wyjaśniać. Znow napotkał spojrzenie szwagra, który znacząco przymrużył oko.

- Wybiorę sobie żonę w odpowiednim czasie, Barbaro. Pomyślę o przyjeździe na święta.

Tylko że sama myśl o ożenku wydawała mu się teraz wstrętna. Ciągłe walczył z poczuciem winy. W końcu zrobił rzecz niewybaczalną. Uwiódł niewinną dziewczynę. Mdło mu się robiło na samo wspomnienie. A świadomość, że jej ojciec się zabił, tylko wszystko pogarszała. Wprawdzie nie miało to żadnego związku z jego czynem, ale mimo wszystko go przygnębiało. Lubił Osbourne'a. I lubił jego córkę.

Wreszcie pod koniec października uznał, że pomoże mu zmiana otoczenia, i postanowił spędzić tydzień czy dwa u kuzynki Lauren, wicehrabiny Ravensberg. Wybierał się

do Alvesley Park, gdzie mieszkała z mężem Kitem, dziećmi i rodzicami Kita, hrabiostwem Redfield. Zawsze był tam mile widziany i dobrze się czuł wśród przyjaciół.

Bardzo się z Lauren lubili, chociaż poznał ją dopiero, gdy przypadkiem znalazł

zaproszenie na jej ślub pod stosem innych listów po powrocie z jednej ze swoich wycieczek.

Dopóki nie skończył dwudziestu jeden lat, jego korespondencją zajmowali się opiekunowie.

Przedtem wiedział o Lauren tylko tyle, że zapewne jest nieślubną córką rozwiałej wdowy po jego najstarszym stryju. Ledwie zdążył wówczas na wesele. Przekonał się, że jest śliczna, urocza i na pewno pochodzi z prawego łoża, bo miała dokładnie takie same fiołkowe oczy jak on.

Pojechał więc do Alvesley i spędzał całe godziny z Lauren. Baraszkował z jej trojgiem dzieci, rozmawiał o polityce z Kitem i hrabią Redfieldem oraz odwiedzał sąsiadów, a wśród nich księcia i księżnę Bewcastle. Bawił się również z ich dzieckiem, ku wielkiej wesołości księżnej i jej siostry panny Thompson.

Mimo wszystko nie opuszczały go niepokój i poczucie winy. I wtedy wtrąciła się

opaczność. Może nie powinno go to było zaskoczyć? Wkrótce po przyjeździe do Alvesley stwierdził, że minął się z Sydnmem Butlerem, szwagrem Lauren, który tuż przedtem bawił w domu ze swoją świeżo poślubioną żoną Anne, z domu Jewell. Panna Jewell niedawno była nauczycielką w szkole panny Martin i pozostawała przyjaciółką Susanny. Podczas wizyty u Bewcastle'ów przypomniał zaś sobie słowa Susanny, że coś łączy tę szkołę z lady Hallmere, siostrą Bewcastle'a.

W tydzień po przyjeździe dowiedział się, że Lauren i księżna wspólnie w tajemnicy planują wydać uroczyste przyjęcie dla nowożeńców, którzy zawarli cichy ślub za specjalnym zezwoleniem. Lauren

czuła się do tego zobowiązana jako szwagierka Sydnama, a księżna - bo Sydnam był rządcą walijskiego majątku Bewcastle'ów.

Zamierzały więc zaprosić do Bath jak najwięcej krewnych i przyjaciół, ściągając tam obydwój małżonków pod byle pretekstem, a potem zrobić im niespodziankę, wydając uroczysty obiad w Górnych Salach Asamblowych.

- Wkrótce wyruszamy - wyjaśniła Lauren przy herbacie. - Chętnie zabralibyśmy także ciebie, choć nie wiem, czy uznasz takie zaproszenie za atrakcyjne. Pewnie wolałbyś wrócić

do domu, lecz wtedy poczuje się, jakbym cię stąd wypędziła! - Zaśmiała się. - Och, pojedź z nami, bardzo proszę! Zrób to dla mnie!

Lauren nie wiedziała, jak piorunujące wrażenie wywarły na nim jej słowa. Zyskał

zaproszenie do Bath! Zobaczy Susannę! Z pewnością ją przecież zaproszą jako przyjaciółkę i koleżankę panny młodej.

Tylko że ona nie ma zapewne ochoty zobaczyć jego. Może go nawet nienawidzi. Nie mógł mieć do niej pretensji. Najpierw ją uwiódł, potem zrobił jej niegodną propozycję, a wreszcie odjechał bez słowa. Zdołał sobie nawet wmówić, że ona tego chciała.

Domyślił się - choć Lauren ani księżna o tym nie wspomniały - że Anne musi być w ciąży i stąd pośpiech oraz sekretne małżeństwo. Spędziła miesiąc wakacji w Walii.

Przypomniał sobie, że Susanna raz o tym wspomniała. Bez wątpienia właśnie w posiadłości, gdzie Sydnam był rządcą. A pojechała tam z Hallmerami.

A jeśli ona również...Sama myśl o tym wystarczyła, żeby poczuł skurcz żołądka. Ale wtedy by go powiadomiła. Na pewno napisałaby do niego.

Dobrze wiedział, że się myli.

O Boże! Musi znać prawdę, żeby mógł zachować się, jak dżentelmenowi przystało.

Jeśli w ogóle można wyjść z twarzą z takiej sytuacji. Jak mógł o tym wcześniej nie pomyśleć?

W końcu wiedział, co się może stać, jeśli mężczyzna prześpi się z kobietą.

- Bardzo się cieszę na tę wyprawę - odpowiedział Lauren. - A prócz tego chętnie znów ujrzę Sydnama, chociażby po to, żeby mu życzyć szczęścia. Z przyjemnością pojedę z wami.

Myślał, że już nigdy nie zobaczy Susanny Osbourne, że za tydzień czy dwa zapomni, jak ją potraktował. Teraz jednak jechał do Bath i na pewno ją spotka. Koniecznie musi się

przekonać, czy nie skrzywdził jej dotkliwiej, niż sądził.

Fatalnie o nim świadczy ta zwłoka. Och, niech to diabli! A co będzie, jeżeli... No właśnie. Co będzie, jeżeli...

ROZDZIAŁ 13

Susanna wróciła do Bath wygodnym powozem hrabiego Edgecombe'a. Gdy tylko stanął przy szkole na Daniel Street, stłumiła bolesne myśli i powitała promiennym uśmiechem pana Keeble'a. Claudia i Anne niemal natychmiast wybiegły jej na spotkanie.

W następnej chwili zapewniała obydwie przyjaciółki, a potem również uczennice, że z radością do nich wraca, chociaż wakacje w Somerset były po prostu cudowne. Tutaj czuła się u siebie. Była w domu.

Potem nie brakowało jej zajęć. Trzeba było ułożyć plan lekcji i pomyśleć o przyszłości. Podróż, mimo wygodnej karety, dokuczyła jej boleśnie, bo jechała sama i nieustannie rozpamiętywała ostatnie popołudnie w Barclay Court. Z trudem mogła uwierzyć, że to się naprawdę zdarzyło. Ze pozwoliła na taką poufałość. Z każdym obrotem kół rosła odległość, która dzieliła ją od Petera. Co za głupia myśl, przecież i tak należeli do dwóch odległych światów:

Uznała, że właśnie przeżyła romans swojego życia. Tak właśnie myślała po powrocie do szkoły, który był też powrotem do rzeczywistości. Teraz trzeba było o wszystkim zapomnieć.

Jednak już pierwszego wieczoru jej postanowienie zostało wystawione na próbę.

Claudia wyszła na obiad z rodzicami nowej uczennicy. Anne zaprosiła zatem Susannę do swego pokoju, gdy dziewczęta poszły już spać. Tak jak lubiła, siadła na łóżku, obejmując kolana rękami. Anne usadowiła się na krześle przy biurku. Przez chwilę rozmawiały o Frances, a potem zapadła przykra cisza, którą Anne przerwała pytaniem:

- No, a ty? Spotkałaś kogoś interesującego?

Przez chwilę Susannę korciło, żeby wszystko z siebie wyrzucić, ale się powstrzymała.

Może zrobi to kiedy indziej, gdy wspomnienia będą mniej bolesne. Nie teraz.

- Masz na myśli księcia, za którego chciałabym wyjść? - Zaśmiała się. - Niestety nie, lecz Frances i lord Edgecombe robili, co mogli, żebym się nie nudziła, mimo że sami na pewno potrzebowali odpoczynku po tak długiej podróży. Spotkałam kilkoro miłych ludzi.

Zresztą większość z nich już wcześniej znałam.

- Ale nikogo specjalnie ciekawego?

- Nikogo.

Anne uniosła brwi z powątpiewaniem.

- No dobrze. Był tam jeden dżentelmen, który wyraźnie dał mi do zrozumienia swoje zamiary, niezbyt godziwe. Mimo to okazał się jednak bardzo przystojny i uprzejmy. Zresztą

nieważne. A ty?

- Bedwynowie to nadzwyczajni ludzie. Książę jest dokładnie taki, jakim go znam z opowieści. Ma zimne, jasne oczy i długie palce, w których zawsze trzyma lorgnon. Choć robi wrażenie srogiego, cały czas okazywał mi względy. Księżna to osoba urocza i bardzo bezpośrednia. Mąż ją wprost uwielbia, lecz się z tym starannie kryje. Dziwny, zagadkowy fascynujący człowiek.

- Mężcą mnie te rozmowy o księżęcych mariażach - odparła Susanna. - Czy był tam choć jeden nieżonaty mężczyzna? - Nie wśród książąt.

Coś w głosie Anne wzbudziło niepokój przyjaciółki.

- Kto taki?

- W gruncie rzeczy nikt. - Anne pośpiesznie zmieniła pozycję na krześle. - Och, jak niemądrze mówić tak o kimkolwiek! To książęcy rządca w Glandwr. On był samotny i ja też, nic więc dziwnego, że razem spacerowaliśmy i siadywaliśmy przy sobie, gdy go zapraszano na obiad. I tyle. - I tyle - powtórzyła jak echo Susanna. - Pewnie jest wysokim, przystojnym brunetem?

- Wszystko się zgadza.

Susanna nie spuszczała z Anne wzroku.

- Zaprzyjaźniliśmy się tylko.

- Naprawdę?

- Tak. Nawet bardzo.

Susanna jednak domyśliła się wszystkiego. Obydwie spotkały na wakacjach kogoś interesującego. I obydwie wróciły ze złamanym sercem.

- Ale on ci się nie oświadczył, prawda? Co za szkoda. Zapadła długa cisza. Anne nie zaprzeczyła.

- Czy nie myślisz - spytała w końcu Susanna - że życie byłoby znośniejsze, gdybyśmy miały rodziny, które by nam zapewniły odpowiednich wielbicieli? Czy nie byłoby to łatwiejsze, niż spędzać czas, ucząc w szkole?

Co za absurd, że w wieku dwudziestu trzech lat doskwiera jej brak matki, której nigdy nie znała.

- Nie jestem pewna. Dziewczęta i kobiety, nawet wspierane przez rodzinę, zawierają

nieraz wprost fatalne małżeństwa. Gdybym musiała wybierać między szkołą a takim mariażem,

wybrałabym to pierwsze.

- To było z mojej strony niewdzięczne - przyznała Susanna. - Miałam przecież wiele szczęścia, zwłaszcza wtedy, gdy Claudia zaoferowała mi pracę. Czegoż jeszcze mogłabym chcieć?

- Jesteśmy w końcu kobietami, a nie tylko nauczycielkami, Susanno. Natura dała nam potrzeby, dzięki którym możemy przedłużyć gatunek.

Ach, właśnie. W tym cała rzecz. Bez tych potrzeb zakończyłaby wakacje nietknięta. A resztę życia spędziłaby w głębokim przeświadczeniu, że wicehrabia Whitleaf był tylko miłą, przelotną znajomością.

- Czasami trudno zaprzeczać ich istnieniu, Anne. Kusiło mnie tego lata, żeby zostać

czyjąś kochanką. Nie wiem, czy dokonałam właściwego wyboru. I czy zdołam postąpić tak samo następnym razem.

Zupełnie jakby mógł się zdarzyć jakiś następny raz.

- Ja też nie wiem - przyznała Anne.

- Och, jakież z nas żalosne stare panny! - Susanna się zaśmiała. - Wracam do łóżka.

Podróż mnie zmęczyła. Dobranoc!

Trzy dni później wszystkie pensjonarki wróciły do szkoły. Znalazło się wśród nich także kilka nowych, w tym dwie opłacane przez dobroczyńców. A potem zaczął się rok szkolny.

Co za ulga, znów może się czymś zająć! A jeszcze większą ulgę odczuła, gdy się

upewniła, że nie zaszła w ciążę i że jej nierozwaga nie pociągnie za sobą wiadomych konsekwencji. Z drugiej strony, paradoksalnie, trocheja to przygnębiło.

Teraz na pewno było już po wszystkim.

Nigdy nie czuła gorszej, bardziej przerażającej pustki.

Dla Anne wakacje miały jednak mniej szczęśliwe konsekwencje.

Pewnego sobotniego ranka pod koniec października nagła ulewa zmusiła Susannę i nadzorowane przez nią dziewczęta do rejterady z łąki na tyłach Daniel Street, gdzie zwykle ćwiczyły i grały. Po powrocie odesłała uczennice do dormitorium, żeby się osuszyły.

Zamierzała zanieść przemoczone płaszcz i kapelusz do pokoju, nim wymyśli dla pupilek jakieś zajęcia wewnątrz budynku. Akurat wtedy pan Keeble oznajmił, że Claudia wzywają do gabinetu, dziewczętami zajmie się zaś panna Walton.

Claudia i Anne już na nią czekały. Ucieszył ją trzaskający na kominku ogień.

Dzień był wyjątkowo zimny.

- Anne nas opuszcza - zaczęła sucho Claudia, bez żadnych wstępów. - Wychodzi za mąż. Za pana Sydnama Butlera, syna hrabiego Redfielda... i rządcę księcia Bewcastle'a.

Biedna Claudia! Od kiedy była guwernantką księżęcej siostry, Freyi, nie cierpiała całej rodziny Bedwynów, chociaż przyznawała, że bez owego przykrego doświadczenia nigdy nie zdobyłaby się na odwagę i nie założyłaby własnej szkoły.

Susanna puściła słowa Claudii mimo uszu, widząc poszarzałą twarz Anne. W jednej chwili zrozumiała wszystko.

- Och, Anne! - jęknęła, obejmując przyjaciółkę.

- Mówiłam jej, że nie musi tego robić - odezwała się Claudia. - Że coś wymyślimy.

Ale się uparła. - Oczywiście, że się uparłam. - Anne odsunęła od siebie Susannę z bladym uśmiechem. - Chcę wyjść za Sydnama, jest mi bardzo drogi. Nie robię tego tylko dlatego, że zasłłam w ciążę.

- Napijmy się herbaty - zaproponowała Claudia. - I usiądźmy wszystkie razem.

Susanna opadła na krzesło. Wszystko było jasne. Może Sydnam Butler istotnie wiele znaczy dla Anne, lecz hrabiowski syn nie oświadczył się jej bynajmniej, kiedy wracała do Bath. A teraz żeni się z nią tylko z obowiązku.

Biedna Anne! Będzie odtąd żyła ze świadomością, że mąż jej nie kocha. Z nią samą, Susanną, mogło stać się podobnie. Przeszedł ją dreszcz mimo ciepła bijącego od kominka.

Gdyby spodziewała się dziecka, nigdy by nie zawiadomiła Whitleafa. Wątpliwe zresztą, by zaproponował jej małżeństwo nawet wtedy. Zresztą sama w gruncie rzeczy nie wiedziała, co by zrobiła. Albo co mogłaby zrobić, gdyby on w jakiś sposób się dowiedział.

Azją zemdlilo na myśl, czego zdołała uniknąć.

Anne nie miała tyle szczęścia.

Susanna ujrzała Butlera dopiero dwa tygodnie później, gdy w prywatnej bawialni Claudii zawierał z Anne małżeństwo za specjalnym zezwoleniem. Podczas wojny w Hiszpanii został ciężko okaleczony, stracił rękę i oko, a całą prawą połowę twarzy pokrywały ślady po oparzeniach. Mimo to nie sposób było zaprzeczyć, że był niegdyś bardzo przystojny.

Susanna z całej siły starała się nie okazywać zazdrości. To takie niemądre zazdrościć

Anne, skoro przedtem współczuła jej przez dwa tygodnie! Doprawdy, uczucia bywają

czasami nonsensowne. Miała nadzieję, że Sydnam Butler będzie dobry dla żony, a także dla Daniela, choć nic nie wskazywało, by chłopiec łatwo się pogodził z tym, że ma ojczyma.

Obie z Claudią pożegnały Anne po skromnym przyjęciu weselnym.

- Susanno - zaczęła Claudia, gdy powóz skręcił ku Sutton Street i znikł im z oczu -

myślałam, że mi dzisiaj serce pęknie, ale teraz okazało się, że jakoś się na to nie zanosi. Co sądzisz o małżeństwie Anne?

- Z jednej strony oddanie, z drugiej honor, lecz jest chyba w obydwójgu trochę miłości, co dobrze rokuje na przyszłość.

- I ja tak myślę. Miejmy nadzieję, że słusznie. Pewnie długo jej nie zobaczymy. Nie cierpię tracić przyjaciół, a nauczycielek jeszcze bardziej! Kto ją zastąpi? Czy twoim zdaniem Lila będzie odpowiednia?

Lila Walton była, podobnie jak Susanna, uczennicą opłacaną przez dobroczyńców.

- Wydaje mi się bardzo obiecująca - uznała Susanna. Claudia objęła ją i razem wróciły do szkoły.

Zobaczyły jednak Anne nadspodziewanie prędko. Nie pojechała bowiem z mężem prosto do Walii, lecz najpierw do rodziny Sydnama Butlera w Alvesley Park, a potem do hrabstwa Gloucester, gdzie mieszkali jej krewni. Wkrótce Susanna zastała Claudię z otwartym listem w ręce.

- Za kilka dni w Górnych Salach Asamblowych odbędzie się przyjęcie dla Anne i jej męża. To niespodzianka przygotowana przez wicehrabinę Ravensberg i księżną Bewcastle.

Obydwie zostałyśmy zaproszone, panowie Huckerby i Upton również.

Susanna przypomniała sobie, że wicehrabina była kuzynką Whitleafa. Będzie więc miała okazję zobaczyć tę kobietę o równie fiołkowych oczach.

Claudia zasznurowała wargi.

- Czy rozumiesz, co to znaczy? - spytała, uderzając złożonym listem o biurko. - Skoro przyjęcie wydaje księżna Bewcastle, to księżę też na nim będzie! A jeżeli życzliwa Anne lady Potford z Great Pulteney Street jest babką markiza Hallmere'a, zjawią się tam zapewne obydwój, on i ta... ta kobieta! Za nic nie chciałabym się znaleźć w ich towarzystwie! Nie sposób jednak tego uniknąć. Cóż, zrobię to dla Anne. Pójdę na tę fetę. A ty, mam nadzieję, także?

Claudia mówiła takim tonem, jakby chodziło o pogrzebek, a nie przyjęcie weselne.

- Tak, pójdę, żeby cię wspierać.

Claudia najpierw parsknęła gniewnie, a potem nagle się roześmiała.

- Nie sądzę, żeby mnie poznali. Zresztą nie dbam o to. Co prawda ona śmiała się tu kiedyś zjawić. Wszędzie wtykała nos, a na koniec spytała, czy mi czegoś nie brak! Co za tupet! No, ale przynajmniej ujrzemy znów Anne i Davida. Bardzo mi ich brak.

- Rzeczywiście.

A ona zobaczy wicehrabinę Ravensberg i zapewne przypomni sobie jego. Czy warto tego pragnąć? Co za absurdalne myśli ją nachodzą!

Całkiem jakby dotykała niezabliźnionej rany.

ROZDZIAŁ 14

Księżna Bewcastle zarezerwowała w Górnych Salach Asamblowych nie tylko salę

balową, lecz i drugą, gdzie dzieci będą mogły dokazywać i biegać do woli, podczas gdy dorośli zajmą się rozmową przy herbacie i uroczystymi wystąpieniami. Peter po przybyciu do Bath z Lauren i Kitem przekonał się też, że księżna prócz obsługi wynajęła orkiestrę. Śmiejąc się, wyjaśniła, że byłoby wprost tragicznie, gdyby sala balowa wzbudziła w kimś ochotę do tańca, a zabrakłoby muzyków.

- Oznacza to - rzekł surowo książę, unosząc lorgnon ku oczom - że i ty chcesz tańczyć, jeśli tylko Sydnam z żoną dadzą się na to namówić?

- Znasz mnie aż za dobrze, Wulfricu - odparła pogodnie.

Peter czuł się coraz bardziej nieswojo. Chyba nie powinien był tu przyjeżdżać. Jeśli nagle, po paru miesiącach, zapragnął dowiedzieć się czegoś o zdrowiu Susanny - co za eufemizm - należało do niej napisać albo wybrać się samemu do szkoły. Lub też ostatecznie dać jej przez kogoś znać o swojej obecności. Miał niemal pewność, że Susanna będzie na uroczystości. Lauren mu powiedziała, że zaproszono czworo nauczycieli, a także żonę

hrabiego Edgecombe'a, która kiedyś również uczyła na tej pensji.

Właściwie to spotkanie powinno im obojgu sprawić radość. W końcu pozostali przyjaciółmi niemal do końca. Zaczął żałować, że nie zaczekał wtedy w salonie lub nie zaprosił hrabiego z żoną na ów spacer. Spotkaliby się teraz jak para przyjaciół. Przybywali kolejni goście. Przedstawiono mu rodziców i krewnych panny młodej, jak też lorda Aidana Bedwyna z żoną, których jeszcze nie znał. Przywitał się z Alleynem Bedwynem i jego żoną

oraz mnóstwem kuzynów Kita i Sydnama, nieraz już przez niego spotykanych w Alvesley.

Kiedy indziej czułby się wśród nich jak ryba w wodzie, lecz teraz z każdą minutą robił

się coraz bardziej nerwowo. Zdał sobie nagle sprawę, że co chwila spogląda ku drzwiom, zamiast zwracać uwagę na rozmówców. Kilka razy miał ochotę wyslizgnąć się i uciec, zanim będzie za późno, ale nie było to już możliwe. Musiałby przedtem przejść przez długi westybul i obszerny dziedziniec, gdzie nie zdołałby umknąć niczyim spojrzeniom.

Zapomniał na chwilę o swoim zmartwieniu, gdy Andrew i Sophie, dzieci Lauren, zaciągnęły go triumfalnie do sali balowej. Obstała go tam istna czereda malców, zaczął się

więc z nimi bawić w ciuciubabkę.

W pewnej chwili dobiegł go głośny aplauz z drugiego pomieszczenia. Zrozumiał, że przybyli nowożeńcy i wszyscy zebrali się wokół nich. Raz jeszcze naszała go pokusa ucieczki.

Nikt by teraz na niego nie zwrócił uwagi.

Nie chciał jednak do swoich licznych przewinień dodawać tchórzostwa. Poniechał

zabawy z dziećmi i skrył się w cieniu uchylonych drzwi, wyglądając przez nie ostrożnie.

Trochę jak złodziej, pomyślał z niesmakiem.

Sydnam Butler i kobieta w różowej sukni, niewątpliwie jego żona, stali, zaskoczeni i zdumieni, w deszczu płatków różanych, przy drzwiach po przeciwnej stronie. Księżna kłaśnięciem w dłonie nakazała ciszę.

- Sekretne małżeństwo sprzed kilku tygodni - zaczęła serdecznym tonem było sprytnym wybiegiem, lecz wasi przyjaciele i bliscy w końcu was przechytrzyli! Witajcie na swoim weselnym przyjęciu!

Dzieci pobiegły pędem do drugiej sali, chcąc poznać powód całego zamieszania, a potem wraz z innymi zaczęły cisnąć się wokół państwa młodych. Pater nie brał udziału w tym radosnym rozgardiaszu.

Zobaczył ją. Kasztanowe loki jeszcze lepiej niż przedtem wyglądały na tle jasnobłękitnej sukni. Nachylała się właśnie nad chłopcem, który - jak przypuszczał - musiał

być synem pani Butler, a potem uściskała ją samą. Z błyszczącymi oczami, ożywiona i radosna, była wprost olśniewająca.

Przez dłuższy czas nie mógł oderwać od niej oczu. Zniknęły gdzieś cała jego rezerwa i niepokój. Widział najpiękniejszą, najwspanialszą ze wszystkich kobiet, jakie dotąd znał.

Cofnęła się na moment, by inne damy - hrabina Edgecombe i ciemnowłosa, śmiertelnie poważna, choć dość przystojna kobieta, zapewne panna Martin - mogły z kolei powinszować pannie młodej. Susanna czekała, żeby złożyć życzenia również panu młodemu, i rozglądała się wokoło, uszczęśliwiona. Nagle dostrzegła go z daleka i jej uśmiech znikł.

Nie powinien być tu przyjeżdżać. Ale teraz wszystko przypadło, już go zobaczyła.

Przeszedł ostrożnie przez salę, chcąc z nią porozmawiać. W tejże chwili Lauren chwyciła go za ramię i przedstawiła pani Butler - jak się przekonał, ślicznej i uroczej.

Ucałował jej rękę, uściśnął lewą dłoń męża, a potem przywitał się serdecznie z Davidem Jewellem.

- Jeśli chcesz się stąd wymknąć - powiedział z uśmiechem - znajdziesz całą gromadę

innych dzieci w sali balowej. Zdaje się, że już tam wróciły.

Chłopiec odwzajemnił jego uśmiech.

- Siądź przy naszym stole - poprosiła Lauren, gdy radosny chaos pierwszych minut zaczął się uspokajać.

- Chętnie, lecz przedtem muszę komuś złożyć wyrazy uszanowania.

Bez zwłoki podszedł do stołu, gdzie siedziała Susanna wraz z Edgecombe'ami, Aidanem Bedwynem i jego żoną, nieznaną mu damą o poważnej minie oraz siostrą księżnej, panną Thompson.

- Miło mi pana znów widzieć, Whitleaf - powitał go hrabia. - Pan jest spokrewniony z lady Ravensberg, nieprawdaż? - spytała Frances. Coś w jej tonie zdawało się świadczyć o lekkiej niechęci. A może to poczucie winy płata mu figła? Skłonił się przed nią i przed panną

Thompson, a potem spojrzał na Susannę.

- Mam nadzieję, panno Osbourne, że się pani dobrze miewa?

- Najzupełniej. Dziękuję.

Gdzież się podział jego słynny arsenał zgrabnych powiedzonek, gdy najbardziej mu go potrzeba?

- Milordzie - odezwała się ponownie Susanna, nim zdołał się wycofać niech pan pozwoli przedstawić sobie pannę Martin. Claudio, to jest wicehrabia Whitleaf, który bawił

niedaleko Barclay Court podczas moich wakacji.

Kobieta o poważnej minie, której tożsamość trafnie wcześniej odgadł, schyliła nieznacznie głowę.

- Od dawna pragnąłem panią poznać, madame.

Nie były to nazbyt śmiałe słowa, a jednak panna Martin zdawała się przewiercać go spojrzeniem na wskroś. Czy Susanna mówiła jej coś o nim?

- Witam, lordzie Whitleaf.

Zdołał jakoś odejść, nie okazawszy zakłopotania. Siadł tyłem do ich stołu. Mimo kilku pierwszych

niezręcznych chwil to mogło być bardzo mile popołudnie. Oczywiście gdyby miał

pewność, że jest tu mile widziany.

Wiedział, że Susanny nie ucieszyło spotkanie z nim.

- Możecie państwo być pewni - powiedział Sydnam Butler, zwracając się do wszystkich gości - że Anne i ja będziemy sobie przez całą zimę łamać głowy nad tym, jak się

wam zrewanżować. Peter roześmiał się razem ze wszystkimi. A później, kiedy skończyły się toasty, usłyszał coś, co przy sąsiednim stole mówił Hallmere.

- Właśnie tutaj tańczyliśmy ze sobą po raz pierwszy, Freyjo. Pamiętasz? Peter nie wiedział, co może czuć Susanna, znalazłszy się w jednej sali z lady Hallmere, osobą, która niegdyś odmówiła jej miejsca pokojówki, a potem być może wysłała ją do szkoły w Bath.

Czy Freyja Bedwyn może to pamiętać?

W tejże chwili odezwała się ona sama.

- Jakże mogłabym zapomnieć? Właśnie tańczyliśmy walca, ty mnie prosiłeś, żebym się z tobą zaręczyła na niby, a później ni stąd, ni zowąd, staliśmy się małżeństwem. I to wcale nie na niby!

Roześmieli się obydwój. Reszta zebranych im zawtórowała. Kit z pewnością usłyszał tę wymianę zdań.

- Dlaczego - odezwał się, podnosząc się z miejsca - mamy do dyspozycji orkiestrę i najlepszą salę balową w kraju, a nie tańczymy? Przecież to przyjęcie weselne. Panna młoda musi zatańczyć jako pierwsza. Czy uczynisz mi ten zaszczyt, Anne?

Sydnam również wstał.

- Dziękuję ci, Kit - odparł stanowczo - ale jeśli nie ma zwyczaju, że to pan młody tańczy pierwszy taniec z panną młodą, to należałoby go wprowadzić.

Peter uznał jego słowa za akt niemałej odwagi. No bo jak można tańczyć walca, nie mając ręki ani oka?

- Zatańczę - odparła Anne, a Peter nagle doszedł do wniosku, że tych dwoje musiało się pobrać z miłości.

Kilka minut później podziwiał, jak obydwój tańczą walca, z początku trochę

niepewnie, potem zaś coraz sprawniej i swobodniej. Markiz Hallmere z Freyją poszli w ich ślady, a za nimi Kit z Lauren, Edgcombe z hrabiną i Bewcastle z księżną. Inni panowie poprosili do tańca

swoje partnerki.

Ach, cóż to był za walc!

Peter nigdy nie tracił okazji i tańczył walca na każdym z balów, w jakich brał udział.

Ostatnim razem robił to na skromnej prowincjonalnej zabawie, i stało się to wstępem do wszystkich późniejszych wydarzeń. Bez walca by jej nie pocałował. A bez pocałunku pewnie by...

Stanowczo ta grzecznościowa wymiana zdań, gdy się witał z Susanną, nie wystarczy.

Skoro już podjął decyzję, żeby tutaj przyjść, musi spróbować się czegoś dowiedzieć na wiadomy temat. Lepszej okazji nie będzie. Podszedł do niej. Stała, patrząc na tańczących, pomiędzy pannami Martin i Thompson, niczym pomiędzy dwoma aniołami mścicielami. Z tą

różnicą, że panna Martin miała łzy w oczach, a panna Thompson wyglądała na rozbawioną.

Skłonił się i posłał wszystkim trzem najbardziej czarujący ze swoich uśmiechów.

- Panno Osbourne, czy zechce pani ze mną zatańczyć?

Claudia Martin spojrzała na niego ostro, mimo załzawionych oczu, lecz nie spuszczała

wzroku z Susanny. Z początku myślał, że odmówi. Byłoby to dla niego upokorzeniem, choć bez wątpienia zasłużonym.

- Tak - odparła i zwilżyła językiem wargi. - Dziękuję, milordzie. Podał jej rękę, a ona wyciągnęła swoją ku niemu. I nagle znowu usłyszał w duchu tamte słowa: „To właśnie ona”.

Nie mógł zaprzeczyć. Tak, właśnie ona. I miała zatańczyć z nim walca. Właśnie z nim.

Susanna przez dwa i pół miesiąca usiłowała sobie wmawiać, że nie ma złamanego serca. Wreszcie jej się to udało.

Wicehrabia Whitleaf nie był wart jej łez ani pełnych poczucia winy wspomnień. I nie powinien zjawiać się tu bez uprzedzenia! Musiał przecież wiedzieć, że ona będzie na przyjęciu. Cóż go mogła obchodzić Anne i jej mąż, nawet jeśli chodziło o szwagra Lauren, wicehrabiny Ravensberg?

Gdy uściskała Anne i rozglądała się wokoło - raz wreszcie absolutnie szczęśliwa, bo zrozumiała w końcu, że Sydnam naprawdę kocha żonę - ujrzała Whitleafa, stojącego z drugiej strony sali przy drzwiach.

Stało się z nią wtedy coś, co trudno byłoby ująć w słowa. Kolana jej osłabły, poczuła łomot serca w gardle i uszach, a oddech na chwilę zamarł.

Potem Whitleaf przeszedł śmiało przez całe pomieszczenie, z uśmiechem, jakby o nikogo nie dbał. Z

tym samym uśmiechem powitał Anne i Sydnama.

Zagadnął nawet Davida, który jako jedyny z obecnych nie poddał się od razu jego urokowi. Potem przywitał się z nią i przystanął na moment przy jej stole, by z całą siłą swego uroku próbować zawojować Claudię. W końcu siadł plecami do niej i siedział tak przez cały czas, gdy pito herbatę.

Och, on naprawdę o nikogo nie dba. Pewnie ledwo ją sobie przypominał.

Claudii nie udało mu się jednak oczarować.

- Ten dżentelmen myśli głównie o sobie - zauważyła.

- Moim zdaniem jest całkiem miły - zaprotestował hrabia Edgecombe. - Zawsze robił

na mnie wrażenie serdecznego i szarmanckiego - dodała Eleanor Thompson, siostra księżnej Bewcastle. Susanna nie rzekła ani słowa, choć była hrabiemu i panie Thompson niewymownie wdzięczna. Wyczekiwana przez tydzień uroczystość straciła dla niej powab.

Nie zrobił na niej większego wrażenia nawet fakt, że znalazła się pod jednym dachem z markizą Hallmere, którą natychmiast rozpoznała.

To było po prostu nie fair z jego strony!

A teraz prosił ją do walca i ona powiedziała mu „tak”.

Wkroczyła z uśmiechem na twarzy do sali balowej z Claudią i panną Thompson, wiedząc dobrze, że będzie musiała tam stać i się przyglądać, jak tańczą inni. Także patrzeć na niego. Zapewne wybierze sobie na partnerkę którąś z dam.

A teraz?

Teraz, gdy widziała go przed sobą, mając oczy gdzieś na poziomie jego podbródka i uśmiechniętych ust, nie czuła absolutnie niczego poza zadowoleniem. A jednak nie ma złamanego serca!

Ręka Petera objęła ją w pasie. Susanna położyła swoją na jego ramieniu, drugą ujęła jego dłoń. Walc już się rozpoczął. Wmieszali się pomiędzy inne pary. Wspomnienie poprzedniego walca nadal ją szczerze wzruszało. Nie chciała, by przesłoniło je następne, ale chyba tak się jednak stanie.

Gdyby Frances i hrabia poszli razem z nimi na tamtą przechadzkę... gdyby nie usiedli na trawie, tylko poszli wtedy pod wodospad... Gdyby powiedziała „dość” zamiast „nie przerywaj”... Byłaby teraz bardzo szczęśliwa. Nie miałyby do niego pretensji, że się zjawił.

Pozostałby tylko przyjacielem.

Uniosła wzrok i zobaczyła, że się do niej uśmiecha. Jakże miał się nie uśmiechać?

Przecież byli na przyjęciu weselnym.

- Susanno, wyglądasz ślicznie, jak zawsze.

- Czy ten dzień stał się dzięki mojej obecności jeszcze piękniejszy? przypomniała mu pierwszy komplement.

- Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

- A powinnam?

- Wiedziałem, że spotkam tu dużo ludzi, których lubię i cenię. Nie mogłem się oprzeć pokusie.

Powiedziała mu kiedyś, że jest miły, ale czy to miłe z jego strony, żeby się tu zjawić tylko dla zabawy w sympatycznym towarzystwie?

- Wiedziałeś, że mnie tu zastaniesz?

- Oczywiście. Dlatego właśnie przyszedłem. Zaprzeczał sobie. Czy on w ogóle ma jakiś charakter?

- Susanno - spytał, tym razem ciszej - czy jesteś może przy nadziei?

- Nie.

Zauważyła, że jego uśmiech przygasł. Jej uśmiech również. Bez powodzenia próbowała się zdobyć na kolejny.

- Cieszę się z tego - odparł.

- Nic dziwnego.

Próbowała skupić uwagę na innych tancerzach. Sydnam i Anne tańczyli z zaskakującą

gracją, choć jej figura nie była już tak smukła jak przedtem. Księżna uśmiechała się do męża mimo jego srogiej miny, której Claudia tak nie cierpiała. Frances wirowała w objęciach hrabiego, wpatrzona w niego tak samo, jak on w nią.

Wszędzie pełno było szczęśliwych par. Tylko ona czuła się osamotniona. Nie powinna roztkliwiać się nad sobą, to żalosne! - Jesteś zgryźliwa. Istotnie, nie miała do tego powodu.

Przecież jej nie uwiódł. No i rozstali się jak przyjaciele. Ach, jakież bolesne było to rozstanie.

A teraz tańczyła z nim walca! Tym razem w Bath. To wydawało się raczej snem niż jawą. -

Wolę ci nie odpowiadać byle frazesem - dodał. - I nie wiem, co by tu jeszcze można powiedzieć. - Nie musisz mówić, że ci przykro. Nasza przyjaźń musiała się skończyć.

Dlaczego nie w taki właśnie sposób? - Czy naprawdę się skończyła? Skinęła głową.

Oczywiście, że się skończyła. Nie mogli już dłużej twierdzić, że są przyjaciółmi. - W takim razie jest mi przykro, bo cię lubiłem, Susanno. I nadal lubię.

myślałem, że ty też mnie lubisz. Zaczęło ją dławić w gardle. - Lubiłam.

- Mówisz w czasie przeszłym? - spytał po chwili milczenia. Zatrzymali się na moment, gdy orkiestra skończyła jednego walca i stroiła instrumenty do drugiego. Czy rzeczywiście przestała go lubić? Dlatego że zjawił się tu i zmącił jej spokój? Przyszedł, bo ona miała tu być. Przyszedł, żeby się spytać, czy nie spodziewa się dziecka. Co by zrobił, gdyby odpowiedź brzmiała: „Tak”? Czy zniknąłby szybciej, niż się pojawił? Była pewna, że nie. Spojrzała na niego, kiedy na nowo podjęli taniec. - Nie czuję do ciebie urazy. -

Naprawdę? - spytał z uśmiechem. Uśmiechał się bez wątpienia ze względu na obecnych. Ona też. A potem, ponieważ nadal na siebie patrzyli, oba ich uśmiechy stały się smutniejsze. I tym samym bardziej szczerze.

- Chyba byłoby dla mnie lepiej, a dla ciebie z pewnością, gdybym wyjechał z Hareford House dwa dni po twoim przybyciu, jak początkowo zamierzałem zrobić. Zapamiętałbym cię

jako sztywną, pozbawioną poczucia humoru nauczycielkę.

- Za taką mnie miałeś?

- Owszem, ale także za kogoś, kto sprawił, że piękny letni dzień stał się jeszcze piękniejszy. Uśmiech zamarł jej na wargach. Zauważyła, że pan Huckerby pilnie obserwuje, czy prawidłowo zapamiętała taneczne kroki. Dostrzegła także spojrzenie Claudii.

- Czy uważasz, że powinienem był wyjechać? Oszczędziłby jej wówczas bólu, ale pozbawił szczęścia.

- Nie.

- Dlaczego?

- Mówiłeś mi, że spędziłeś dzieciństwo wśród samych kobiet. Mnie to spotkało w wieku dwunastu lat. Prawie nie miałam kontaktu z mężczyznami, krępowała mnie ich obecność, nie wiedziałam, jak z nimi rozmawiać. Z początku lękałam się ciebie. Byłeś taki przystojny, pewny siebie, utytułowany. Potem, kiedy poznałam twoją życzliwość i uprzejmość, było mi łatwiej. A później zaczęłam cię lubić i wyczekiwać naszych spotkań.

Zapewniłeś mi wiele pogodnych wspomnień. Żałowałabym raczej, gdybyś wtedy wyjechał. -

Czy w takim razie znów możemy być przyjaciółmi?

- Przypuszczam, że tak. I że teraz również nimi jesteśmy. Przyjęcie nie potrwa jednak długo. Później

ona wróci do szkoły, a on odjedzie z Ravensbergami. I tym razem będzie to prawdziwy koniec.

A potem znów zacznie się cierpienie. Tylko że bez cierpienia nie byłoby życia, a może i szczęścia. Ona zaś czuła się szczęśliwa tylko przy kilku krótkich okazjach. I prawie wszystkie łączyły się z nim. Musi o tym pamiętać.

Akt miłosny był najgorszą rzeczą, jaką przeżyła, właśnie dlatego, że łączył się z bólem rozstania. Ale był również rzeczą najpiękniejszą. Tańczyła teraz walca z mężczyzną, który został jej kochankiem na wzgórzu. A dzisiaj nie była w pełni szczęśliwa tylko z tego powodu, że pozwoliła cierpieniu wtargnąć w tamtą chwilę zauroczenia.

Bo to było zauroczenie.

- Zatańczmy jeszcze jednego walca - powiedziała.

- Tak. Jeszcze jednego.

Nie odzywali się więcej, tylko tańczyli. Dobrze, że przyszła na to przyjęcie. Nie będzie już taka nieszczęśliwa. Ale czy nie próbuje się oszukiwać? Przecież jutro znów go zabraknie. Nie chciała myśleć o jutrze.

Wystarczy jej ten jeden jedyny raz. Musi wystarczyć. Roześmiał się na głos, gdy zawrotnie zawirował z nią w tańcu tuż przy podium dla orkiestry, a ona mu zawtórowała.

ROZDZIAŁ 15

Więc to już koniec. - Claudia westchnęła, gdy drzwi szkoły zamknęły się za nią i Susanną. - Za dużo tych pożegnań! Niewesoło nam, prawda?

Właśnie rozstały się z Frances i hrabią Edgecombe'em, który koniecznie chciał je odwiedzić własną kareta, mimo protestów Claudii, że śmiało mogą odbyć tę drogę pieszo.

Edgecombe'owie wyjeżdżali do Londynu wczesnym rankiem. Wszyscy pożegnali też Anne i Davida. Ci z kolei ruszali wraz z Sydnmem Butlerem do swego nowego domostwa w Walii.

- Na szczęście mogliśmy się przekonać, że Anne i David są szczęśliwi. Widocznie pan Butler jest dla nich bardzo dobry - uznała Susanna.

- A teraz do roboty! - Claudia zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez ramię. - Musimy zająć się szkołą. Wspomniałam pannie Thompson przy herbacie, że szukam nowej nauczycielki. Wyobraź sobie, że chce się u nas zatrudnić!

- Naprawdę?

- Księżna namawia panią Thompson, żeby osiadła w jakimś domku bliżej Lindsey Hali. Oczywiście panna Thompson powinna zamieszkać z rodziną, ale mówi, że straciłaby niezależność, opuszczając własny dom i wieś. I że czułaby się wówczas jak uboga krewna Bewcastle'ów. Rozumiem ją

doskonale. Ciekawe jednak, że pragnie uczyć właśnie tutaj.

Powiedziałam, żeby nas odwiedziła w najbliższych dniach. Spodobała mi się. Wiele czytała i potrafi ciekawie mówić. Ma także zdrowy rozsądek i bardzo trzeźwo myśli.

- Czy uczyła już przedtem?

Claudia nie zdołała odpowiedzieć. Głośne chrząknięcie pana Keeble'a oznaczało, że ma coś ważnego do zakomunikowania.

Agnes Ryde, jedna z nowych uczennic opłacanych przez dobroczyńców, wywołała awanturę, doprowadzając do łez Lilę Walton. Gospodyni wysłała ją więc do łóżka w środku popołudnia, grożąc, że doniesie o wszystkim Claudii zaraz po powrocie.

- Dziękuję, panie Keeble. - Claudia westchnęła. - No cóż, spadłyśmy z obłoków na ziemię! Jakże przydałaby mi się teraz Anne! Miała wyjątkowy dar radzenia sobie z trudnymi dziewczętami.

- Istotnie - zgodziła się Susanna, zdejmując kapelusz. - Ale wiem, jak się może czuć

biedna Agnes. Trochę przypomina mnie samą sprzed lat. Pomówię z nią, dobrze?

- Biedna Agnes, też coś! - Claudia wzniosła oczy do góry. - Ale dobrze, zrób, co chcesz. Ja musiałabym wymierzyć jej jakąś ciężką karę, dajmy na to tydzień odosobnienia o chlebie i wodzie.

- Niemożliwe! - . Susanna roześmiała się i odeszła w bojowym nastroju. Lili Walton przypadło w udziale niewdzięczne zadanie nauczania prawidłowej wymowy, czym przedtem zajmowała się właśnie Susanna. Agnes Ryde potrzebowała zaś takiej nauki bardziej od innych, bo połowy jej bełkotliwego żargonu prawie nie można było zrozumieć. A że opierała się temu zawzięcie, Lila nie była jej ulubioną nauczycielką.

Przez następną godzinę Susanna cierpliwie usiłowała nawiązać rozmowę z upartą

dziewczyną, nim ta zechciała w końcu odwrócić się od ściany i spojrzeć na nią nieufnie.

- To pani też była taka jak ja?

- Owszem. Panna Walton również, co chętnie potwierdzi. Kiedy tutaj przybyłam, uczennice ciągle mi dokuczały.

- Te podłe dziewczuchy wyśmiewają się ze mnie! Wszystkie! Następnym razem spiorę

je na kwaśne jabłko! Wszystkie? A nie dwie czy trzy? Panna Martin powiedziała mi pewnego razu: „Kiedy jedna z nich znów zapyta, czy miło być opłacaną przez dobroczyńców, masz się

szeroko uśmiechnąć i z zadowoleniem stwierdzić, że jak najbardziej”. Miała rację. Podziałało.

Dużo lepiej niż cios kułakiem. Bo one tylko czekały, żeby z płaczem na mnie naskarżyć i narobić mi

kłopotu.

Susanna wróciła zmęczona, lecz zadowolona, że przynajmniej zjedną rzeczą już się

uporała. Musiała również pocieszyć Lilę Walton, upewnić ją, że nie zawiodła, że nauczanie składa się głównie z zażegnania nieuchronnych konfliktów i że nauczycielka nie zawsze musi być lubiana.

- Mówiłam jej to samo - potwierdziła Claudia. - No, a teraz napijmy się herbaty. Lilo, połóż się dziś wcześniej. Powinnam była ci przysłać Cecile Pietre do pomocy. Zrobiłaś to, co należało. Nic złego się nie stało. Lila uśmiechnęła się bez przekonania i po kwadransie z wyraźną ulgą wyszła, rada, że ma wszystko za sobą.

- Lila dobrze sobie radzi z prowadzeniem lekcji - stwierdziła Claudia po jej odejściu. -

Ale reszta pozostawia jeszcze coś niecoś do życzenia. Może zrazić się do zawodu, choć wciąż

mam nadzieję, że okrzepnie. Bardzo liczę na pannę Thompson, osobę starszą i dojrzałą. Czy tyją lubisz?

- Tak - odparła Susanna, wstając, żeby po raz kolejny nalać im herbaty. - Mimo że nie rozmawiałam z nią zbyt wiele, wydaje mi się osobą z poczuciem humoru. Ufam takim ludziom.

- Jeśli zaczniesz u nas uczyć, jej poczucie humoru może zostać wystawione na ciężką próbę.

Po herbacie zapadło milczenie, a myśli Susanny znów zaczęły krążyć wokół walca i pożegnania z Peterem, które okazało się pogożone. Nie robiła tragedii, gdy wyjeżdżała z Barclay Court i nie będzie jej robiła teraz. Była zadowolona, że go znów zobaczyła i się

przekonała, iż rzeczywiście przejmował się jej losem i dlatego właśnie zjawił się w Górnych Salach Asamblowych. Teraz jednak znów czuła bolesną pustkę i nie mogła udawać, że jest inaczej.

- Zwykle dużo wcześniej wyczuwam, co się święci - odezwała się niespodziewanie Claudia. - Nim jeszcze cała rzecz się ujawni i sprawi kłopot albo wyrządzi szkody.

Susanna piła herbatę w milczeniu. Co Claudia miała na myśli?

- Spotkałaś wicehrabiego Whitleafa w Barclay Court, prawda?

- Tak - odparła ostrożnie. - Mieszkał w Hareford House. Młody Raycroft przyjaźni się

z nim. Chyba poznałaś Raycrofta, i jego rodzinę?

Claudia kiwnęła głową. Ona też była tego roku w Barclay Court, nim jeszcze Frances wyjechała na kontynent.

- Na początku myślałam, że to zarozumialec, ale hrabia i panna Thompson zapewniali mnie, że nie. Ani ty, ani Frances nie powiedziałyście nic. A potem zjadłaś przy herbacie połowę kanapek z ogórkiem i jedną trzecią ciasta z rodzynekami, co jest całkiem do ciebie niepodobne. Frances patrzyła zaś na ciebie z troską przez cały czas. Tego już nie czułam przez skórę. To już nie były moje niejasne przeczucia. To coś dużo bardziej realnego.

Susanna nie mogła udawać, że nie wie, o czym Claudia mówi.

- To nie to, co myślisz.

- A co myślę?

- Zaprzyjaźniliśmy się - wyjaśniła. - Nie mam złudzeń, że mogłoby chodzić o coś

więcej. Wicehrabia na wiele sposobów okazuje mi życzliwość i sympatię. Pod koniec wakacji pożegnałam go z prawdziwym smutkiem. Frances się bała, że go pokochałam. I, jak mi się

zdaje, wciąż się tego obawia. Ale jest w błędzie. Miło mi było znów go zobaczyć i tańczyć z nim. Nic więcej. Jeśli myślisz, że nie będę przez niego sypiać po nocach, to się mylisz.

Postawiła pospiesznie filiżankę na spodku, żeby ukryć drżenie rąk. O Boże! Gotowa się zaraz rozpłakać, jak tamtej nocy po balu.

- Czy to nie straszne - westchnęła Claudia - że nie możemy urzeczywistnić naszych marzeń o miłości? Nie wolno nam myśleć o mężczyznach ani o pragnieniach, jakie w nas budzą, skoro nasze szanse na zamążpójście są bliskie zeru. Nigdy wcześniej się nie zdarzyło, żeby Claudia choćby wspomniała o tych pragnieniach. Raczej można by się było spodziewać, że wcale ich nie ma! Liczyła sobie przecież ponad trzydzieści lat. Kiedy Susanna znalazła się

w szkole, Claudia była już dorosłą osobą. I cały ten czas spędziła bez mężczyzny.

- Mogę ci zapewnić - ciągnęła Claudia - bezpieczną posadę w szkole, ale nie zdołam znaleźć dla ciebie męża mimo twojej urody, witalności i inteligencji. - Och, przecież tyle dla mnie zrobiłaś! A ja nie kocham ani Whitleafa, ani nikogo innego.

Claudia znowu westchnęła.

- Oczywiście. Pora iść spać po pełnym wrażeń dniu. Czuję się taka wyczerpana, a jutro czeka mnie mnóstwo pracy.

- Mogę zamiast ciebie zająć się próbami przedstawienia świątecznego. Życie toczy się

swoim torem, stwierdziła w duchu, zamykając za sobą drzwi sypialni. Jakoś to przeżyła i będzie żyć dalej. Znajdzie sobie zajęcie na jutro, i na każdy następny dzień. W sumie ucieszyło ją, że zapytał, czy jest w ciąży. Wyglądało na to, że nie pozostawiłby jej wtedy własnemu losowi. Była tego pewna.

Mogła go zatem nadal lubić, a nawet... no cóż, kochać. Nie mogła temu zaprzeczać.

Przeżyje to jakoś, tak jak przeżyła rozstanie z nim w sierpniu. Czy nieodwzajemniona miłość musi zgasnąć? Gorąco pragnęła, aby tak się nie stało.

Następnego dnia Peter postanowił nie wracać z Lauren i Kitem do Alvesley, choć go do tego zachęcali. Miał pilny interes do załatwienia w Londynie. Tak im właśnie powiedział.

Zamierzał wybrać konie do nowego zaprzęgu, mimo że jego gniadoszom niczego nie brakowało. Chciał też zajrzeć do klubów, zwłaszcza do White'a, aby się przekonać, kto został

w stolicy, a kto z niej wyjechał, no i poznać najnowsze ploteczki - chociaż akurat to trudno byłoby nazwać interesem.

W gruncie rzeczy brakowało mu pretekstu, żeby nie wracać do domu. Do świąt pozostało trochę czasu, a on postanowił, że wcześniej się tam nie wybierze.

Matka miała zamiar zmienić jadalnię w jakieś okropieństwo koloru lawendy. Tak przynajmniej określiła go w ostatnim liście. Żeby pasował do różowego salonu. Odłożyła to jednak na po świętach^ bo oczekiwała gości. Wielu. Zdąży więc zapobiec katastrofie, zjawiając się tuż przed Gwiazdką. Lawendowa jadalnia, Boże święty!

Potem przyjdzie pewnie kolej na bibliotekę.

Zaprosiła na święta rodzinę Flynnów - Posych. Lady Flynn - Posy była jedną z jej najdroższych przyjaciółek w roku debiutu. Napisała jeszcze, że Peter pewnie ją pamięta, co nie było prawdą. Zamierzali przywieźć ze sobą syna, uroczego młodzieńca, studenta Oksfordu. No i oczywiście córkę - dobrze ułożoną, bardzo ładną pannę, która debiutowała właśnie tej wiosny.

Musi temu stawić czoło. Nie mógł się już dłużej biernie opierać natrętnym matczynym zabiegom. Teraz nie pojedzie do domu. Ale co będzie robił, czekając do Gwiazdki? Pożegnał

Lauren i Kita z dziećmi, a dziesięć minut później hrabiego i hrabinę Redfieldów, po czym wrócił do swojego pokoju i wlepił wzrok w starannie spakowane przez lokaja bagaże.

Godzinę później zszedł na dół, by pożegnać Bewcastle'ów i panią Thompson. Panna Thompson pozostawała w Bath, ale - jak mu się zdawało - nie w hotelu.

- Matka uważa, że nie jestem jeszcze aż tak stara - wyjaśniła mu, gdy patrzyli w ślad za odjeżdżającymi powozami. - Christine zgadza się ze mną. Książę również, choć nic nie powiedział. Nie musiał! Nikt inny nie potrafi milczeć tak wymownie.

- Zatrzyma się pani u lady Potford?

- Tak. Wciąż potrzebuję przyzwoitki. To nieznośne.

- Może panią odwiedzić? - Jak to ładnie z pana strony! Ale bagaże już zabrano, książę

tak nakazał. Założę się, że wyprawiliby mnie razem z nimi, gdybym stanowczo nie powiedziała Christine, że zostaję.

- Gdzie mieszka lady Potford?

- Przy Great Pulteney Street. To dość daleko stąd, lecz chętnie rozprostuję nogi, zwłaszcza przy tak ładnej pogodzie. Szkoła panny Martin znajduje się w pobliżu. Obiecałam ich odwiedzić. Panna Martin potrzebuje nauczycielki. Chyba nią zostanę.

- Czy mogę panią odprowadzić?

- I opóźnić własny odjazd? Na ulicy w Bath nic mi nie grozi;

- Raczej wolę opóźnić wyjazd do jutra niż być pozbawionym tej satysfakcji, madame.

Ja również chętnie ujrzałbym szkołę, gdzie uczy panna Osbourne.

- Ach, prawda, panna Osbourne! Zauważyłam jej urodę. Skoro więc koniecznie chce pan dotrzymać mi towarzystwa, nie mogę odmówić.

I tak zamiast jechać do Londynu, Peter szedł przez Bath, prowadząc pod ramię pannę

Thompson, zachwycony własnym sprytem.

Niech to licha, wciąż lubił Susannę i wciąż pragnął pozostać z nią w przyjaźni, chociaż, prawdę mówiąc, wolałby coś więcej. Co za szkoda, że będzie musiał się pożegnać z panną Thompson przed progiem domu lady Potford, a potem wrócić do hotelu i odjechać.

Ale gdy kamerdyner im otworzył, Peter, niespodziewanie dla samego siebie, wszedł

do środka. Niecałe pół godziny później, po wypiciu kawy w salonie, ponownie odprowadzał

pannę Thompson. Tym razem na Daniel Street.

Ujął za kołatkę, niezdolny wycofać się w ostatnim momencie, bo panna Thompson, stojąca tuż za nim, uznałaby za niezwykle dziwne, gdyby akurat teraz wziął nogi za pas.

Zgrzybiały odźwierny spojrział na niego z nieukrywaną podejrzliwością.

Wyświechtany czarny surdut wydawał się równie stary, co jego właściciel.

Może to właśnie jest smok broniący dostępu do dziewczicy?

- Panna Thompson i wicehrabia Whitleaf z wizytą do panny Martin powiedział głośno.

Wrogość odźwiernego nieco zmaląła.

- Panna Martin oczekuje pani, madame - odparł, nie zwracając uwagi na Petera - ale teraz ma

właśnie lekcję.

- Proszę jej nie przeszkadzać, poczekam, póki nie skończy. Mógł pożegnać się z nią tuż przed wejściem i odejść. Miał przecież doskonałą wymówkę, wyraźnie powiedziała „poczekam”, a nie „poczekamy”.

A jednak wkroczył tuż za nią do środka.

Znalazł się w ciemnym, wąskim korytarzyku. Od razu usłyszał dziewczęce głosiki śpiewające coś unisono. Zdał sobie sprawę, że wszedł do świata Susanny Osbourne. Zapachy politurowanych mebli, atramentu i kapusty uświadomiły mu od razu, że jest w szkole.

ROZDZIAŁ 16

Susanna siedziała w jadalni. Jedno miejsce przy stole nauczycielskim było puste.

Claudia zapewne jadła obiad w gabinecie wraz z panną Thompson, która najwyraźniej chciała przyrzeć się szkole, w której miała zamiar pracować.

Nagle pan Keeble w straszliwie skrzypiących butach, które pamiętała od samego początku, pojawił się w sali i skierował prosto ku niej. Spojrzała na odzwiernego pytająco.

- Panna Martin prosi panią do gabinetu zaraz po lunchu. Pospiesznie wstała od stołu.

Czy panna Thompson nadal jest w gabinecie?

Była. A razem z nią Whitleaf. Podniósł się z krzesła, gdy tylko otworzyła drzwi, i złożył jej ukłon, kiedy weszła.

Zaparło jej dech, całkiem jak poprzedniego dnia, gdy tak samo nie oczekiwanie ujrzała go w Górnych Salach Asambłowych. Wtedy miała przynajmniej trochę czasu, żeby ochłonąć, nie zwracając niczyjej uwagi. Teraz wszyscy patrzyli na nią.

- Witam panią, panno Thompson. I pana, milordzie. Cóż on tu robi? Powinien się znajdować wiele mil stąd.

- Panno Osbourne, nie spodziewałam się, że szara suknia może tak wspaniale podkreślić kolor pani włosów. - W oczach panny Thompson błysnęły wesołe iskierki. -

Gdybym liczyła sobie dziesięć wiosen mniej, byłabym śmiertelnie zazdrosna!

- Panna Thompson zostaje u nas - wyjaśniła Claudia - a wicehrabia Whitleaf zaraz się

pożegna. Wstąpi jeszcze do lady Potford z pewną wiadomością. Dostałam od niej zaproszenie, dla

mnie i panny Thompson, na jutrzejszy wieczorny koncert w Bath Abbey. Nie mogę, niestety, być na nim, bo obiecałam trzem starszym uczennicom pomóc w przygotowaniu do egzaminu z historii. Panna Thompson poddała mi myśl, żebyś tam poszła zamiast mnie.

- Cieszyłabym się z tego, panno Osbourne - zapewniła ją panna Thompson. - A lady Potford z pewnością też byłaby rada.

Susanna z trudem zebrała myśli. Perspektywa koncertu była niezwykle atrakcyjna.

Rzadko zdarzała się okazja, by zażyła rozrywki niezwiązanej ze szkołą.

- Próby przedstawienia odbędą się dzisiejszego wieczoru - stwierdziła Claudia. - Jutro nie masz popołudniowych zajęć, jak zwykle w piątki. Nic więc nie stoi na przeszkodzie, żebyś się tam udała.

- Och, pójdę z przyjemnością.

- Wspaniale! - wykrzyknęła panna Thompson. - A zatem wszystko załatwione!

- Powiadomię lady Potford o tej zmianie - odezwał się Whitleaf. - A na razie żegnam panią. - Ukłonił się Claudii. - Czy panna Osbourne może mi towarzyszyć?

Towarzyszyć mu? Przecież miał być o tej porze gdzieś daleko!

- Dlaczego został pan w Bath? - spytała, gdy znaleźli się na korytarzu. Przynajmniej raz nigdzie w pobliżu nie było wszechobecnego pana Keeble'a. Myślałam, że wszyscy goście wyjechali dzisiaj rano.

- Pożegnałem się ze wszystkimi - odparł. - A potem odkryłem niespodziewanie dwie rzeczy. Po pierwsze, nie było nikogo, kto odprowadziłby pannę Thompson do lady Potford ani do szkoły, a po drugie, nie miałem nic do roboty.

- Nie wybiera się pan do domu?

Było coś nadzwyczajnego w tym, że widziała go w szkole, wyłącznej domenie kobiet.

Miał na sobie obszerny płaszcz podróżny, w którym wyglądał masywniej niż zwykle.

Susanna czuła się przytłoczona jego obecnością. - Kiedy przyjechałem, goście już się

rozjechali, ale święta spędzę zapewne w towarzystwie innych, w tym niejkiej panny Flynn -

Posy oraz jej rodziców. Co za los!

Miał tak żalostną minę, że nie mogła się powstrzymać od lekkiego uśmiechu.

- Założę się, że jest pan zbyt uprzejmy, by stanowczo sprzeciwić się matce.

- Rzeczywiście.

- Wczoraj bawił się pan w sali balowej z dziećmi, prawda? Usłyszałam przypadkiem, jak panna Thompson powiedziała o tym Claudii po naszym walcu.

- Przyszedłem na przyjęcie trochę za wcześnie, uznałem więc, że to dobry sposób na zabicie czasu.

- Ale nikt inny tego nie robił prócz pana. Chciał pan, żeby i one się dobrze bawiły.

Uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem. Zdała sobie z tego sprawę w chwili, gdy zbliżał się ku drzwiom, które miała za nim zamknąć.

- Jutro przyślę po panią powóz. Czy wpół do siódmej wystarczy? Spojrzała na niego zaskoczona. - Zostanę tu kilka dni - wyjaśnił. - Zobowiązałem się odprowadzić lady Potford i pannę Thompson po koncercie.

- A później tak pan wszystkim pokierował, żeby i mnie zaproszono?

- Bynajmniej. Zdecydował przypadek. Miałem co prawda zamiar osiągnąć ten cel, lecz obeszło się bez mojej interwencji.

Odebrało jej mowę.

- Proszę powiedzieć, że jest pani zadowolona.

- Ależ jestem! W Bath Abbey często odbywają się koncerty organowe, tamtejsze wielkie organy są wprost wspaniałe. Niczego bardziej nie lubię, choć nieczęsto zdarza mi się

je słyszeć.

- A więc cieszy panią tylko perspektywa koncertu? Muszę się tym zadowolić. Czy jeśli przyjadę o wpół do siódmej będzie dobrze?

- Będę panu wdzięczna. Potem otworzył drzwi i wyszedł. Zacisnęła na chwilę powieki i kilkakrotnie zaczerpnęła tchu. Nie tylko miała być gościem na koncercie lady Potford, ale on ją tam zawiezie! To wszystko było przytłaczające. Czy zdoła w ogóle dotrzeć do jutra?

Odwróciła się od drzwi i usiłowała sobie wmówić, że to tylko zwykłe szkolne popołudnie.

Peter lubił muzykę. Często bywał w Londynie na koncertach. Chodził do opery, zależnie od tego, kto akurat miał śpiewać. Ale w Bath? Czy odłożyłby wyjazd, gdyby damami, które miał odprowadzić na koncert, były tylko lady Potford, panna Thompson i Claudia Martin?

Traf chciał, że zamiast tej ostatniej na koncert wybierze się Susanna Osbourne. Głowił

się wprawdzie nad różnymi sposobami zaproszenia również i jej, lecz wiedział, że obydwie nauczycielki nie opuściłyby równocześnie szkoły na cały wieczór, zwłaszcza w tak krótkim czasie po

przyjęciu weselnym.

A jednak się udało! Zobaczył ją natychmiast, gdy tylko odźwierny - z jeszcze kwaśniejszą miną niż zwykle - otworzył mu drzwi. Panna Martin, która odprowadzała Susannę, podała jej kaszmirowy szal, bez wątpienia bardzo przydatny. W kościołach bywa zwykle chłodno.

Susanna była lekko zaróżowiona i ożywiona. Z nagłym współczuciem pomyślał, że zapewne jest to dla niej wyjątkowa okazja, podobnie jak bal w Somerset.

- Czy lady Potford i panna Thompson czekają w pańskim powozie?

- spytała panna Martin. - Nie, w domu lady Potford, madame - wyjaśnił. - Ale to ledwie pięć minut jazdy stąd.

Skinęła głową, a potem zwróciła się do Susanny:

- Baw się dobrze i pozdrów ode mnie obie panie.

- Obiecuję - odparła Susanna i podeszła bliżej, tak by mógł ująć ją pod ramię i odprowadzić. W powozie siadła tyłem do kierunku jazdy, żeby lepsze miejsca pozostały dla obydwu dam. Siadł obok niej.

- Panna Martin dba o panią. Ten smok w męskiej postaci również. - Pan Keeble? On nas wszystkie chroni przed podłym światem poza murami szkoły.

- A ja jestem dużym, złym wilkiem?

- Nie, mężczyzną, ale w oczach pana Keeble'a to coś jeszcze gorszego.

Uważa mnie nie tylko za nauczycielkę, ale także za damę. I za punkt honoru ma osłaniać mnie przed najbliższą choćby krzywdą.

- Jest pani damą, która przypadkiem uczy w szkole. Obydwoje wiedzieli, co może spotkać damę, której brakło należytej opieki. Nie powiedział tego na głos. Nie potrzebował.

Nie miał zwyczaju rozpamiętywać swoich doświadczeń erotycznych, rzadko wracał myślami do byłych kochanek, lecz nagle z przeraźliwą wyrazistością naszło go wspomnienie tego, jak leżeli na wzgórzu w Barclay Court. Dlaczego pamięć zachowuje na zawsze właśnie to, o czym chciałoby się zapomnieć?

- Czy panna Thompson postanowiła przyjąć pracę w szkole? - Spędziła u nas całe wczorajsze popołudnie i najwyraźniej bardzo się jej spodobało. Mam nadzieję, że przyjmie tę

posadę. Claudia uważa, że bycie szwagierką księcia Bewcastle'a to prawdziwe nieszczęście i nie kryje się z tym przed nią. Nie jest życzliwie usposobiona do nikogo z Bedwynów, zwłaszcza do lady Hallmere i księcia.

Roześmiała się, ale nie było już czasu na dalszą rozmowę. Powóz zatrzymał się przed domem lady Potford i Peter musiał wysiąść, żeby udać się po obie damy.

Bath Abbey, po drugiej stronie rzeki, było imponującą budowlą, podobnie zresztą jak większość gotyckich kościołów. Miało piękne okna, tak wysokie, że człowiek odruchowo się zastanawiał, jakim cudem ściany mogą udźwignąć ciężar budynku. Strzeliste filary przeistaczały się górą w wachlarzowate sklepienie.

Co za wspaniałe tło dla muzyki, pomyślał Peter, wprowadzając damy do wnętrza.

Lady Potford z panną Thompson szły przodem. On z Susanną postępowali za nimi.

- Och - westchnęła - przyprowadzałam tutaj uczennice na wycieczkę, kilka razy byłam na nabożeństwie i zawsze budził we mnie podziw splendor tego miejsca. Nigdy jednak nie widziałam go iluminowanego. To wygląda wprost... wprost magicznie.

- Proszę nie używać tego wyrażenia przy żadnym pastorze.

- W takim razie... mistycznie. Proszę spojrzeć, płonie chyba z tysiąc świec, aż powietrze gdzieś tam drży. Czy widział pan kiedyś coś tak...

- Magicznego? Nie, nigdy.

Spodobał mu się ton naiwnego entuzjazmu, który dama z towarzystwa starałaby się ukryć pod maską znudzenia. A jednak w Susannie Osbourne nie było nic infantylnego.

Po chwili zainteresowali ją obecni. Liczna publiczność składała się głównie z osób starszych, albo przynajmniej nie pierwszej młodości. Poza Susanną i panną Thompson nie dostrzegł nikogo znajomego. O tej porze roku nie było tu już turystów. Słuchacze składali się

niemal wyłącznie z ludzi osiadłych w Bath.

Niektórych spotkał rano podczas spaceru na promenadzie. Udał się tam, bo nie miał

nic do roboty, a także dlatego, że po prostu lubił przebywać między ludźmi, obojętne, jakiego stanu i wieku. Wzbudził wśród nich spore zainteresowanie, bo był kimś obcym, a także miał

mniej niż czterdzieści lat. Kilka osób go pozdrowiło, gdy się zbliżył, idąc wzdłuż przejścia, ku centrum kościoła. Niektórzy spoglądali na niego i Susannę z zaciekawieniem. Inni pozdrawiali lady Potford, która kilka razy się zatrzymała, żeby kogoś powitać.

- Och, tam siedzą pan Blake - Susanna uniosła rękę, żeby kogoś pozdrowić i państwo Reynolds.

- Czy chce pani z nimi porozmawiać?

- Może później. Pan Blake, lekarz, czuwa nad zdrowiem naszych uczennic. A Betsy Reynolds do niej uczęszcza, choć nie jest pensjonarką. Trzymała się mocno jego ramienia, ale

- jak podejrzewał - była w dobrym nastroju. Peter usiadł niedaleko środkowego przejścia, Susanna przy nim, a panna Thompson i lady Potford po jej drugiej stronie. W kościele było trochę zimno, lecz mimo to Peter pomógł jej zdjąć płaszcz i przewiesił go przez poręcz krzesła, ona zaś okryła się kaszmirowym szalem. Miała na sobie tę samą zieloną suknię, co na balu w Somerset.

Przez moment naszło go nostalgiczne wspomnienie ich przyjaźni. Zepsuł ją, stając się

jej kochankiem. Na szczęście wkrótce zaczął się koncert. Grała duża orkiestra, a wielkie organy wypełniły całe wnętrze muzyką Haendla i Bacha.

Czyżby był bliski zakochania się w Susannie? Miał nadzieję, że nie, ale jak właściwie należałoby określić to, co do niej czuł? Było to coś silniejszego niż przyjaźń i zarazem głębszego, lecz dużo mniej frywolnego niż miłość.

Po koncercie, jak wiedział, ludzie pozostaną tu jeszcze dobre pół godziny, rozmawiając ze sobą, nim się rozejdą do domów. Chociaż tego wyczekiwał, to wyszedł z kościoła jako jeden z pierwszych.

Susanna przez cały czas rozglądała się wokół siebie, podziwiając kościół i wypatrując znajomych. Zapewne chciała później opowiedzieć o wszystkim w szkole. Tuż przed końcem ostatniego utworu na organy obejrzała się przez ramię. Peter zauważył, że pospiesznie wróciła do poprzedniej pozycji i kurczowo chwyciła skraj szala.

On też się obejrzał, lecz barczysty mężczyzna siedzący dwa rzędy dalej właśnie wtedy wstał i przesłonił mu resztę słuchaczy. Gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki, Peter dostrzegł, że Susanna drży.

- Czy pani zmarzła? - spytał i dotknął jej dłoni. Były zimne jak lód.

- Muszę już wracać - odparła, szcękając zębami. - Koncert trwał dłużej, niż się

spodziewałam. Claudia zacznie się niepokoić... Znowu spojrzała w tył i powiedziała do lady Potford coś, czego nie dosłyszał z powodu panującego wokół gwaru.

- Proszę jeszcze nie odchodzić, moja droga - odparła lady Potford.

- Panna Martin z pewnością to zrozumie. Miałam nadzieję, że wraz z wicehrabią

Whitleafem zostanie pani u mnie na herbacie.

Lecz Susanna nie czekała, aż lady Potford skończy mówić. Pospiesznie zerwała się na nogi, włożyła płaszcz i odeszła ze spuszczoną głową.

- Cóż ją tak przygnębiło? - spytała zdumiona panna Thompson.

- Wyglądała przedtem wręcz radoś...

- Przepraszam, madame - Peter także wstał pośpiesznie - muszę odprowadzić pannę

Osbourne do domu. Lady Potford, proszę łaskawie skorzystać z mego powozu i powiedzieć stangretowi, żeby na mnie nie czekał.

Nie usłyszał odpowiedzi. Susanna była już przy drzwiach. Pobiegł za nią i chwycił ją za łokieć.

- Czy coś panią przeraziło?

- Skądże. - Zdobyła się na sztuczny uśmiech. - Po prostu zawsze się niepokoję, kiedy jestem z dala od szkoły. Nie musi mnie pan odprowadzać, nieraz wracałam sama.

- Dzisiejszej nocy nie wolno pani tego zrobić. Nie poczeka pani na powóz? Wkrótce tu przyjedzie.

Pokręciła głową.

- Muszę wracać. - W takim razie odprowadzę panią mimo wszystko. - Ujął ją mocno pod ramię.

- Dziękuję.

Głowił się, co mogło wywołać tak nagłą zmianę nastroju. Może przykre wspomnienia, podobne do tych, które nękały jego?

- Susanno, muszę panią o coś spytać, choć może lepiej byłoby o tym nie mówić. Czy panią w jakiś sposób skrzywdziłem tamtego dnia w Barclay Court? Nie tylko fizycznie, chociaż i to mogłoby wchodzić w grę.

Głupie pytanie. Przecież odpowiedź musiała brzmieć: „Tak”. Czy mógł się spodziewać innej?

- Nie.

- Czuję się winny. Nigdy nie zrobiłem nic równie haniebnego. Ja... ja nie jestem bynajmniej typem uwodziciela.

- Nie uwiódł mnie pan. Przecież obydwójce tego chcieliśmy. Trochę go to pocieszyło.

W końcu mówiła prawdę. Ale cóż innego mogła powiedzieć? Westchnął głośno.

- To, co się wydarzyło, było złe, ale nie da się cofnąć czasu. Czy... czy wyjdzie pani za mnie, Susanno? Czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zostanie moją żoną? Poczul ogromną ulgę.

Zdawał sobie jednak sprawę, że powinien był to powiedzieć wtedy, na wzgórzu. Albo choćby następnego dnia. Albo nawet wczoraj, w Górnych Salach.

Wiedział, że wreszcie zachował się, jak należy. Ze od dawna chciał wypowiedzieć te słowa, że postąpił honorowo. Nie była wprawdzie w ciąży, ale w niczym to nie umniejszało jego zobowiązań.

Susanna szła nadal bez słowa i zaczął już myśleć, że nie odezwie się wcale. Czyżby mówił za cicho i go nie dosłyszała?

- Nie - odparła w końcu. - Na pewno nie.

- Dlaczego?

- Nie może mnie pan brać za żonę tylko z poczucia winy.

Czy rzeczywiście tak było? A może wcale nie myślałby o małżeństwie, gdyby jej nie pozbawił czci w Barclay Court? Głupie pytanie. Z pewnością nie tylko poczucie winy pchnęło go do tych oświadczeń.

- A zatem wciąż pani uważa, że jestem niezdolny do głębszych uczuć?

- Nie, ale wiem też, że główną pana cechą jest uprzejmość. No i galanteria. Nie może się pan żenić z takich właśnie pobudek. Trzeba czegoś więcej do małżeństwa. Musi pan też

wcześniej polubić samego siebie.

Poczuł się głęboko dotknięty. Nie dość, że dała mu kosza, to w dodatku uważa go za niezdolnego do uczuć głębszych niż uprzejmość. Nie uwierzyła, że jego słowa płyną z serca.

Kłopot w tym, że sam nie wiedział, czy naprawdę ofiarowuje jej swoje serce.

Kilka lat temu stracił wszelką wiarę w miłość. Pokochał serdecznie Berthę Grantham, a w rezultacie wyszedł na głupca. A może prawdziwym problemem była tu utrata wiary w siebie? W zdolność do kochania i bycia kochanym? Czuł się wtedy jak łatwowierny, naiwny głupiec. Była to tak zaskakująca i niepokojąca myśl, że rozważał ją w milczeniu, dopóki nie stanęli przed szkołą.

- Proszę nie sądzić, że małżeństwo ze mną jest pańską powinnością - powiedziała łagodniej Susanna, zupełnie jakby potrzebował pociechy.

- Przeświadczenie, że mnie pan skrzywdził i że będę z tego powodu przez całe życie samotna, nie powinno pana skłaniać do takich kroków. To nie wystarczy, żeby wziąć z kimś

ślub.

- Rozumiem - odparł, kiedy się oboje zatrzymali. Miał w głowie pustkę. Z ulgą

powitał fakt, że drzwi się otworzyły, nim jeszcze zdołał w nie zastukać.

Wyjrzał spoza nich odzwierny. Nie mógł jednak zostawić jej bez słowa pożegnania.

- Jutro niedziela. Nie będzie żadnych lekcji... - zaczął. - Prócz zabaw, które rankiem nadzoruję na łące, gdy nie ma deszczu. - Czy wolno mi będzie zobaczyć się z panią po południu? Moglibyśmy pospacerować w Sydney Gardens, jeśli pogoda dopisze. A potem wstąpić gdzieś na herbatę. Oczywiście do jakiegoś publicznego lokalu, żeby nie uchybić

dobrym obyczajom.

Oswobodziła rękę z jego uścisku. A potem kompletnie go zaskoczyła ściągnęła rękawiczkę i dotknęła delikatnie jego policzka końcami palców. - Tak. Chętnie. Pocałował jej dłoń. Właściwie tylko musnął ją wargami, bo odzwierny warował nadal przy drzwiach. Peter lada chwila spodziewał się jego gniewnego ponaglającego burknięcia. - W takim razie do jutra. Dobranoc. - Dobranoc. Dziękuję, że odprowadził mnie pan do domu - odpowiedziała i pospiesznie weszła do środka. Drzwi zamknęły się za nią z głośnym stuknięciem. Musiał jej przyznać rację. Co by powiedziały matka i siostry, gdyby im przedstawił Susannę jako kandydatkę na żonę? Byłyby po prostu wstrząśnięte. Do diaska, jeśli to ma być miłość, w takim razie dobrze zrobił, wystrzegając się jej przez ostatnie pięć lat! Z głębokim westchnieniem odwrócił się i ruszył w długą drogę do hotelu.

ROZDZIAŁ 17

Dobrze, że nie wraca pani zbyt późno - powiedział pan Keeble takim tonem, jakby był

jej ojcem. - Nie lubię, kiedy któraś z pań chodzi nocą po mieście. Panna Martin czeka w bawialni.

Susanna dałaby wszystko, byle tylko udać się prosto do pokoju i wsunąć pod kołdrę.

Nie miała ochoty na koleżeńskie plotki. Jednocześnie, paradoksalnie, tęskniła do kojącej obecności Claudii. Bardzo jej brakowało matki, chociaż wiedziała, że to niedorzeczne.

- Panna Osbourne, madame - zaanonsował ją oficjalnym tonem pan Keeble, nie fatygując się pukaniem. Claudia siedziała przy kominku z książką i wyglądała na znużoną.

Spojrzała na nią wszakże uważnie, odłożyła książkę i wstała, gdy tylko za panem Keeble'em zamknęły się drzwi.

A wtedy Susanna padła jej nagle w ramiona, co nie zdarzyło się nigdy przedtem. Przez chwilę trwała bez słowa w tym uścisku, a potem z zakłopotaniem odsunęła się od pracodawczyni.

- Przepraszam.

- Usiądź. - Claudia wskazała jej fotel, nieco bliżej kominka. - Należę ci herbaty. Jest świeżo zaparzona.

Zwykle to Susanna nalewała herbatę, ale teraz siadła, gdzie jej wskazano, zostawiając wcześniej z boku płaszcz i rękawiczki. Starannie złożony szal znalazł się na wierzchu. Z

przyjemnością przysunęła się do ognia.

- A teraz - zaczęła Claudia, gdy Susanna wypła pierwszy łyk cudownie ciepłej herbaty - opowiesz mi, co się stało?

Dziwne, że mimo wieloletniej przyjaźni nie wiedziały wiele o swojej przeszłości.

- Zobaczyłam kogoś w Abbey. Właściwie dwie osoby, choć nie byłam pewna, czy nie myślę się co do tożsamości tej drugiej.

- Znałaś je?

- Dawno temu. Mieszkałam w ich domu aż do dwunastego roku życia. Mój ojciec był tam sekretarzem.

Claudia milczała.

- On się zabił - wyrzuciła z siebie nagle Susanna. - Zastrzelił się!

- Moje biedactwo. Nie wiedziałam. - Widać nie zależało mu na mnie za bardzo, bo nic mi nie zostawił. Była wdzięczna Claudii za milczenie. Dopiero teraz dotarło do niej, jak bardzo ją bolało, że ojciec wybrał wtedy śmierć, choć przynajmniej częściowo rozumiała, co nim kierowało. Zawsze był dobry i kochający, mimo że pozwalał na to, by większość czasu spędzała z Markhamami i widywał ją ledwie przez kilka minut dziennie, a czasem nawet wcale.

- Czy osobie, którą dziś ujrzałaś, też na tobie nie zależało? Czy dlatego stamtąd uciekłaś?

- To lady Markham. I wydaje mi się, że towarzyszyła jej córka. Bardzo się z Edith lubiłyśmy... Wiesz, mój ojciec musiał zarabiać na życie. Był jednak dżentelmenem.

- Oczywiście, musiał nim być. Od początku robiłaś na mnie wrażenie damy. Nie potrzebowałaś nauki poprawnej wymowy ani manier, umiałaś czytać. Zawsze uważałam, że pan Hatchard właśnie dlatego zwrócił na ciebie uwagę i zapytał mnie w liście, czy mogę cię

przyjąć.

- Rozpaczliwie potrzebowałam pociechy. - Susanna splotła palce na podolku. -

Chociaż nie można chyba pocieszyć dziecka, którego ojciec strzelił sobie właśnie w głowę.

Nie pozwolono mi go nawet zobaczyć, mimo łez i krzyku. Chciałam poszukać pociechy u Edith, ale nie ośmieliłam się wejść do pokoju dziecinnego. Pobiegłam tylko pod drzwi i usłyszałam, jak lady Markham mówi coś w środku. Nie wiem, do kogo się zwracała. Może nie do Edith, bo ta miała wtedy zaledwie jedenaście lat.

Urwała, żeby nabrać tchu.

- Wciąż jeszcze pamiętam jej słowa, jakby wryły się w moją pamięć. „Kościół umywa od

wszystkiego ręce, bo Osbourne popełnił śmiertelny grzech, odbierając sobie życie. Trzeba go będzie pochować w niepoświęconej ziemi. Co mamy począć z Susanną? Cóż za straszliwe brzemię! Przecież nie może tu zostać”.

Więc uciekła. I spod drzwi pokoju dziecinnego, i z tego domu.

- Mój ojciec nie leży na cmentarzu, nawet nie wiem, gdzie go pogrzebano. Porzuciłam go, jak on mnie, i zdołałam jakoś dotrzeć do Londynu.

- A teraz lady Markham jest w Bath?

- Tak. - Susanna zacisnęła mocno palce obu dłoni i spojrzała w ogień. - Jestem niemal pewna, że ta młoda dziewczyna obok niej to była Edith. Rozglądałam się wokoło pod koniec koncertu i nagle ujrzałam je z tyłu za sobą. Pewnie siedziały tam przez cały czas. No, trochę

mi już lepiej. A jak ci poszło z dziewczętami?

Claudia zbyła milczeniem jej pytanie. Również wpatrywała się w ogień.

- Nie ma nic gorszego niż wspomnienia przeszłych wydarzeń, o których chciałoby się zapomnieć. Próbujemy pogrzebać je w niepamięci i przekonujemy siebie, że nic takiego nie miało miejsca. Ale zazwyczaj się to nie udaje.

- Przecież nie da się zmienić przeszłości, więc rozpamiętywanie jej jest bezcelowe -

odparła Susanna ze ściśniętym gardłem. - Obiecuję, że jutro będę już pogodna, jak zwykle.

Słowa Claudii ją zdumiały. Czy i w przeszłości przyjaciółki kryła się jakaś tajemnica?

- Kiedy tu weszłaś - odezwała się Claudia - wiedziałam, że stało się coś strasznego, ale sądziłam, że to wina Whitleafa. Byłam gotowa biec do kuchni, porwać rożen i popędzić za nim, żeby go nadziać na szpikulec!

- Och, Claudio! - zawołała Susanna, nie mogąc się powstrzymać. - On mnie poprosił o rękę! Claudia zamarła.

- I...? - spytała po chwili.

- Powiedziałam: „Nie”.

- Dlaczego?

- Bo on jest czasem... Och, nie wiem, jak to ująć w słowa... szarmancki do przesady.

Jakby chciał, żeby wszystkie poznane przez niego kobiety czuły się jak najlepiej. Stara się

niczym ich nie dotknąć. Jest życzliwy, przyjazny, ale... łatwo wyciąga błędne wnioski.

Widział, że coś mnie przygnębiło, i widocznie doszedł do wniosku, że tego lata robiłam sobie względem niego jakieś nadzieje. Poczul się więc zobowiązany do oświadczyn. Pewnie sądzi, że nauczycielskie staropanieństwo to los gorszy od śmierci.

- Czy rzeczywiście wiązałaś z nim jakieś nadzieje?

- Nie.

- A czy go kochasz?

Susanna już otwierała usta, żeby powiedzieć: „Nie”, lecz je zamknęła. Znow nabrała gwałtownie tchu.

- Miłość nie ma z tym nic wspólnego. Powiedziałam: „Nie”, bo to by nie było szczęśliwe małżeństwo, Claudio. - Wprawdzie dzisiejszy wieczór cię rozstroił, ale w sumie masz silny charakter. Oczywiście wiedziałam, że twój ojciec nie żyje i że zostałam sama na świecie, lecz aż dotąd nie znałam strasznej prawdy o jego śmierci. Nie będę roztrząsać twojej decyzji o odrzuceniu oświadczyn wicehrabiego, choć taki mariaż zapewniłby ci bezpieczeństwo, dostatek i wygodę na resztę życia. Zresztą sama o tym wiesz. Cieszę się, że miałaś odwagę przedłożyć szczęście i uczciwość nad dobrobyt. No i, rzecz jasna, cieszę się

też z czysto egoistycznych pobudek!

Susanna uśmiechnęła się blado. - Wicehrabia przyjdzie tu jutro po południu. Prosił, żebym z nim poszła na spacer. Pewnie powinnam mu była odmówić. Już i tak wyrzucał sobie, że zbyt uchybiłam szkolnym obowiązkom.

- Ach, Susanno, musimy też przecież żyć. Nauczycielstwo to zawód, a nie życie.

Susanna, która spodziewała się dezaprobaty, przyjęła jej słowa z zaskoczeniem.

- To będzie nasze ostatnie spotkanie. Wkrótce wyjedzie z Bath.

- Dobranoc, Susanno. Nawet się nie spytałam, jak udał się koncert.

- Był po prostu wspaniały.

Szła do pokoju, spokojniejsza niż tuż po powrocie, wciąż jednak czuła bolesny ucisk w gardle.

Poprosił ją o rękę. A ona odmówiła. A potem próbowała go pocieszyć, bo widziała jego przygnębienie. Ale nadal nie chciała za niego wyjść. Przecież nie może go poślubić tylko z powodu jego poczucia winy.

On jej nie kocha.

Czy to powód, żeby odrzucić ofertę małżeństwa? I to tak znakomitą partię?

Problem w tym, że ona go kocha.

Gdy zamykała za sobą drzwi sypialni, pragnęła mieć choćby połowę siły charakteru, o którą posądzała ją Claudia.

Bath dawno przestało być modnym kurortem. Teraz osiedlali się tu podstarzali, chorzy lub zubożali ludzie z wyższych sfer albo wzbogaceni członkowie klasy średniej. Miasto zachowało jednak swój urok i pewne tradycje, wśród których najtrwalszy okazał się poranny spacer po promenadzie na terenie źródła. Spacerowiczom dyskretnie przygrywała orkiestra.

Niektórzy przychodzili tu, by napić się wód w nadziei na poprawę zdrowia. Inni po to, by zażyć nieco ruchu, albo przynajmniej z takim zamiarem. Wielu pragnęło zobaczyć nowe twarze, posłuchać najnowszych ploteczek lub dowiedzieć się czegoś od innych.

Peter poszedł na promenadę następnego dnia po koncercie. Zawsze lubił przebywać

wśród ludzi, nawet jeśli - jak teraz - nie mógł liczyć na spotkanie rówieśników lub kogoś poza znanymi mu wcześniej osobami. Sytuacja ta szybko się jednak zmieniła.

Rozmawiał właśnie z kilkoma damami, w tym z lady Holt - Barron, która - o czym usłyszał na przyjęciu weselnym - znała Bedwynów. Księżę Bewcastle raz ją nawet odwiedził

w jej domu. Podobnie zrobiła markiza Hallmere, wówczas jeszcze Freyja Bedwyn, która zaręczyła się z markizem akurat w tym czasie. Peter słuchał właśnie mocno zawiłej i długiej opowieści, gdy nagle dostrzegł dwie dobrze znane twarze.

Lady Markham i Edith.

Usprawiedliwił się jak najuprzejmiej i pospiesznie wycofał, żeby do nich podejść z promiennym uśmiechem. Matka i córka zrewanżowały mu się tym samym.

- Co za niespodzianka! Chociaż niezupełnie, bo Theo powiedział mi niedawno, że przyjechała pani do Edith, milady.

- My również widziałyśmy pana na wczorajszym koncercie, ale znikł pan tak nagle, że zakrawało to na miraż. - Musiałem odprowadzić znajomą damę, która nie mogła zostać w kościele dłużej. Wiedział, że Susanna spędziła dzieciństwo w Fincham Manor, ale nie wspomniał, że to o nią chodziło. Może by sobie tego nie życzyła? Skądinąd starał się za wiele o niej nie myśleć. W końcu odmówiła mu ręki.

- Mam nadzieję, że wróciła pani do zdrowia po położeniu? Czy dziecko dobrze się miewa?

- I jedno, i drugie - odparła pogodnie Edith. - Lawrence uznał jednak, że zmiana klimatu dobrze na

mnie wpłynie. Miło mi pana znów widzieć, i to jeszcze przystojniejszego niż zwykle. Wszystkie tutejsze damy chciałyby chyba pana usidlić, gdyby miały choćby cień

szansy. Pochyliła się i dotknęła lekko jego rękawa. - Muszę pana o coś spytać, choć może to zakrawać na impertynencję. Czy dama, którą pan wczoraj odprowadzał, to czasem nie Susanna Osbourne?

Musiał odpowiedzieć na tak jednoznaczne pytanie.

- Owszem. Spotkałem ją przypadkiem tego lata, a potem także na przyjęciu weselnym w Bath. Tak się złożyło, że panna młoda była jej przyjaciółką, a pan młody szwagrem mojej kuzynki.

- A więc ona żyje!

- Zniknęła po śmierci ojca - wyjaśniła lady Markham - i mimo wielu starań nie zdołaliśmy jej odnaleźć. Wszelki ślad po niej zaginął. Bardzo nas to dotknęło, bardziej niż

cała ta tragiczna historia... Wie pan przecież, o czym mówię. A może nie? W końcu uczył się

pan wtedy w szkołach. Susanna była stanowczo zbyt młoda, żeby samodzielnie rozpocząć

życie. Ale co mogliśmy zrobić? Nie mieliśmy pojęcia, gdzie jej szukać. Mimo to długi czas próbowaliśmy ją odnaleźć.

- Zapewne cieszy panią, że ona żyje i dobrze się miewa.

- Gdzie teraz mieszka? - zapytała pospiesznie Edith. - Jakże chciałabym z nią

pomówić! Byłyśmy sobie bliskie prawie jak siostry. Myślałam, że mi serce pęknie, kiedy zniknęła!

- Zapewne wspomnienia były zbyt bolesne. Może uznała, że lepiej będzie, jeżeli...

- A może... - Edith uśmiechnęła się ze smutkiem - Susanna po prostu nie chciała z nami dłużej żyć?

- Dopiero po dłuższym czasie wyjawiała mi, kim jest, chociaż od razu mnie rozpoznała, a przynajmniej mój tytuł. Nawet wówczas nie zdradziła mi jednak, w jaki sposób zmarł jej ojciec. Mówiła o ataku serca. Dopiero Theo mi powiedział, że popełnił samobójstwo. Może ona nie ma ochoty wracać do tych wspomnień?

Czyżby wczoraj je rozpoznała? Pewnie dlatego tak pospiesznie opuściła Abbey, mimo że koncert najwyraźniej ją zachwyił.

- Nigdy nie zrozumieliśmy jej pobudek... - westchnęła lady Markham.

Była jeszcze taka mała! Zawsze traktowaliśmy ją jak własne dziecko.

- Proszę jej powiedzieć, że chciałabym się z nią zobaczyć - rzekła Edith. Może ona przysłaby do

mnie, skoro woli nie zdradzać, gdzie przebywa?

- Zapytam ją - obiecał, lecz nie mógł się oprzeć chęci kolejnego pytania.

- Dlaczego Osbourne się zabił? Lady Markham zawahała się wyrazić.

- To dziwne, że dopiero teraz dowiedział się pan o tym od Thea. Pamiętam, że lubił pan Osbourne'a. Pewnie matka wołała o tym nie mówić, a siostry zobowiązała do milczenia.

Niestety, William Osbourne zabrał tajemnicę swojej śmierci do grobu. - Nie napisał przedtem do pani męża? Znow się zawahała.

- Owszem - odparła, ale nie dodała nic więcej, a on nie nalegał. Musiał to być wyjątkowo przykry epizod w jej życiu. Zadał ostatnie pytanie:

- A do Sus... do panny Osbourne też?

- Do niej również.

- Czytała pani te listy?

- Obydwa znaleziono w szufladzie jego biurka dopiero po pogrzebie. Susanna zniknęła już wtedy bez śladu. Lepiej o tym wszystkim zapomnieć. Jak dobrze, że ona żyje i najwyraźniej nieźle się miewa. Czy jest szczęśliwa?

- Myślę, że jedno i drugie. Wiedział, że tego latają unieszczęśliwił. Nawet teraz miał wrażenie, że pożegnała go wczoraj z przykrością. Musiał jednak przyznać, że nie był jej niezbędny. Mogła się całkiem dobrze bez niego obejść.

Było coś upokarzającego w tym, że go nie potrzebowała, że wczoraj odrzuciła jego oświadczenia, choć na pewno były korzystne z materialnego punktu widzenia. A potem dotknęła jego policzka, jakby to on potrzebował czułości i pociechy. Jakby to ona była tą silniejszą stroną.

Pożegnał się z lady Markham i Edith, obiecując odwiedzić je przed odjazdem. Kilka chwil później wracał już do hotelu na śniadanie.

ROZDZIAŁ 18

Niektóre dni w listopadzie mają w sobie jeszcze coś z pięknej jesieni, a nawet ze schyłku lata, lecz obowiązki zawodowe pozwalają je wówczas podziwiać co najwyżej przez okno.

Niedziela była jednym z takich dni, ale tym razem Susanna mogła ją w pełni wykorzystać. Cały ranek

spędziła na łące za szkołą z tymi spośród dziewcząt, które wołały gry od haftu i szydełkowania. Susanna, jak nieraz robiła, sama wzięła udział w zabawie, a potem, zadyszana i zaróżowiona, choć nadal pełna energii, wysłała uczennice do szkoły na obiad.

Gdy przebierała się w swoją najlepszą wełnianą suknię i czesała włosy, uznała, że cieszy ją perspektywa spaceru z mężczyzną! We wczesnej młodości nie miała zbyt wielu rozrywek, nie mówiąc o adoratorach.

Nawet wspomnienia wczorajszego wieczoru nie umniejszyły jej entuzjazmu.

Wprawdzie dała Whitleafowi kosza, a dziś zapewne ujrzy go po raz ostatni, ale przecież

zrobiła tak z własnej woli. Gdyby ponowił oświadczenia, znów powiedziała: „Nie”. Nie ma powodu, by narzekać, żałować czy płakać, zwłaszcza że robiła to już ostatnio zbyt często.

Powinna być z siebie dumna. Owszem, kocha go, ale on ją tylko lubi. I to jej musi wystarczyć.

Peter nie zapowiedział dokładnie, kiedy przyjdzie. Susanna zajrzała więc jeszcze do pracowni, gdzie kilka dziewczynek pod nadzorem pana Uptona malowało szkice dekoracji do świątecznego przedstawienia. Panna Thompson, w sukni osłoniętej wielkim białym fartuchem, najwyraźniej zamierzała, im pomóc.

- Słyszałam - powiedziała - że nauczanie w szkole panny Martin to coś więcej niż

tylko przekazywanie wiedzy potulnym uczennicom. Zamierzam się przekonać, czy starczy mi uzdolnień i wytrwałości, żeby temu podołać. I pomyśleć, że mogłabym teraz spokojnie siedzieć w Lindsey Hall z książką w ręce!

- Przygotowania do świątecznego koncertu - odparła rozbawiona Susanna to zawsze świetna zabawa, ale też wytężona praca.

- Jak się pani podobają dekoracje? - Pan Upton wskazał na stół, zarzucony szkicami.

Susanna jednak ledwie zdołała rzucić na nie okiem, bo wśród dziewcząt wszczął się

gwar, a w drzwiach stanął pan Keeble. Widocznie Whitleaf już nadszedł. I rzeczywiście czekał na nią w korytarzu, gdzie wybiegła, zawiązując pod brodą wstążki zielonego kapelusza. Był w tym samym długim, ciepłym płaszczu z pelerynkami, co poprzednio.

Pogoda nie zmieniła się wprawdzie od rana, ale nie było już wiatru i zrobiło się nieco cieplej. Doskonale tło do ostatniego popołudnia!

- Pójdziemy do Sydney Gardens? - spytał. - Wprawdzie park traci sporo uroku o tej porze, ale nadal panuje tam spokój i sielski nastrój.

Rozmawiali o lecie w Somerset, o szkole, o świątecznym przedstawieniu gromadziło ono nie tylko rodziców i krewnych dziewcząt oraz nauczycieli, lecz także różne ważne osobistości z Bath - i na

wiele innych tematów. Spokojnie, serdecznie i w absolutnej zgodzie.

Zupełnie jakby nigdy nie było tamtego dnia w Barclay Court.

Tak właśnie pragnęła zachować w pamięci ich znajomość. Żadnych łez, wyłącznie miłe wspomnienia.

- Ach, oto i labirynt. Wiedziałem, że gdzieś tu jest. Może się w nim zgubimy?

- Na zawsze? Żebyśmy aż do śmierci błądzili w nim bez celu, nie mogąc znaleźć ani drogi do środka, ani wyjścia?

- Całkiem jak w życiu, prawda? - zagadnął. - Roześmieli się obydwójce.

- Przynajmniej zagubilibyśmy się w nim razem - stwierdził.

- Rzeczywiście, niezwykle pocieszające - przyznała i znów się roześmieli.

Ujął ją za rękę, gdy wkraczali do labiryntu. Choć obydwójce byli w rękawiczkach, czuła przez nie ciepło jego mocnych palców. Przypomniało się jej, że na tamtym spacerze, po balu w Somerset, także splekli palce.

Po dłuższym błądzeniu, sprzeczkach i śmiechach dotarli do środka labiryntu, gdzie stało kilka drewnianych ławek.

- Zapewne - zaczął, siadając obok niej - należało tu przyjść z mnóstwem chustek, żeby znaczyć przebytą drogę. Wie pani, jak stąd można wyjść?

- Nie.

- Dobrze chociaż, że nie czyha na nas tutaj żaden siedmiogłowy potwór.

W ciszy labiryntu łatwo można było zapomnieć o świecie zewnętrznym i upływie czasu. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Czasami można się porozumieć bez słów.

Susanna nagle poczuła, choć nie wiedziała, jak do tego doszło, że ich dłonie się złączyły i że obydwie są już bez rękawiczek.

- Żałuję, że nie walczyłem z nadmierną opieką nade mną, kiedy byłem chłopcem, choć

nie wiem, czy dałbym sobie sam radę. Szkoda, że nie próbowałem poznać pani dokładniej.

Znałem wprawdzie pani ojca, ale nie panią. A gdybym postarał się dowiedzieć, co się

właściwie wydarzyło w domu podczas mego pobytu w szkole, to pewnie zrobiłbym coś dla pani po śmierci ojca. Chociaż nie sądzę, żebym mógł panią skutecznie pocieszyć.

- Sieroctwo dotyka wszystkich, nawet dzieci. Ja się uporałam ze swoim.

- Susanno... - Peter ściągnął zębami drugą rękawiczkę, ujął jej prawą dłoń i objął ją

ramieniem - wiem już, jak naprawdę zmarł pani ojciec. Theo Markham powiedział mi to, gdy wróciłem do domu.

Oswobodziła gwałtownie rękę i wstała bez słowa. Co jeszcze powiedział Theodore Markham?!

- Nie wierzę, żeby to był śmiertelny grzech - zaczęła szybko. - Nie obchodzi mnie, co o tym sądzi Kościół. Bóg byłby bezlitosnym nędznikiem, gdyby na zawsze potępił człowieka doprowadzonego do śmierci przez innych, którzy żyją, mogą się kajać za grzechy i uzyskać

zbawienie. Gdyby rzeczywiście był taki, wolałabym zostać ateistką.

- Myśli pani, że ktoś go do tego pchnął? Czekala, żeby powiedział coś jeszcze, ale milczał. - Skąd mogę wiedzieć? Miał swoje sekrety przed śmiercią, ma je i po niej. To bez znaczenia. Już znalazł ukojenie. A przynajmniej mam taką nadzieję. Czasami jednak, mimo że była dorosła, nie mogła mu darować, że wolał to ukojenie od niej. - Tak mi go żal. Lubiłem go. Nieraz się bawił ze mną i z Theo. Nie umiem sobie wręcz wyobrazić, jak bardzo pani musiała cierpieć po jego stracie. Nie zdawał sobie sprawy, ile bólu zadał jej tymi słowami.

Zawsze sądziła, że ojciec wolałby mieć syna, nie córkę. Nigdy wprawdzie nie okazał jej niechęci, nieodmiennie był dobry i serdeczny w tych rzadkich chwilach, które spędzali razem, ale prawie nigdy się z nią nie bawił.

Nagle przeszło jej przez myśl, że być może odrzuciła wczoraj jego oświadczenia pod nieświadomym wpływem tego wspomnienia. Dobrze wiedziała, czym jest słabo odwzajemniana miłość do kogoś, komu jest się winnym szacunek i posłuszeństwo.

- Nie powinien pan brać na siebie cudzego brzemienia. Przymknął oczy i pochylił

głowę. Ich złączone dłonie wciąż leżały na jej kolanach, a jego ramię nadal ją obejmowało.

- Dlaczego pani uciekła?

- Nie pozwolili mi go zobaczyć po śmierci, mieli go pochować poza kościelnym cmentarzem i nie wiedzieli, co mają ze mną począć. Byłam w ich oczach właśnie brzemieniem i kimś obcym. Pozbyliby się mnie. Wolałam na to nie czekać. Chciałam wziąć

swój los we własne ręce.

- Skąd ta pewność, że uważali panią za brzemień? - Lady Markham tak powiedziała.

Dobrze ją słyszałam i dobrze zrozumiałam. Brzemień jest niechcianym ciężarem, a ona tak właśnie mnie nazwała. I dodała, że nie mogę tam zostać.

- A jednak długo pani szukali.

- Tak panu mówił Theodore?

- On był wtedy w szkole, podobnie jak ja. Nie, dowiedziałem się o tym dopiero dzisiaj rano. Od samej lady Markham i Edith.

- Ach, a więc pan się z nimi widział. Powiedział im pan, gdzie mieszkam?

- Nie. Nie zdradzam cudzych sekretów. Oczywiście, jeżeli to ma być sekret.

- Nie mam ochoty widzieć się z nimi.

- Czy traktowały panią niedobrze?

- Przeciwnie, dobrze, nawet za bardzo. Popełniłam jednak błąd, sądząc, że jestem im równa. Kiedy Edith wdrapywałą się matce na kolana, robiłam to samo. Lady Markham nigdy mnie nie odepchnęła, choć zapewne ją to dziwiło. Kochałam Edith jak siostrę. Dzieci nie zdają sobie na ogół sprawy, jak krucho jest ich bezpieczeństwo. Może to zresztą i dobrze, bo większość z nich zdąży dorosnąć, nim je utraci. Nie mówmy już więcej o tym.

Znów siedzieli w milczeniu. Susanna rozmyślała, jak dobrze byłoby opowiedzieć

komuś o jej kłopotach i oddać się tej osobie pod opiekę, choćby nawet za cenę utraty niezależności. A potem żyć długo i szczęśliwie, i bez większych problemów.

Peter puścił jej dłoń, uniósł rękę i rozwiązał wstążki zielonego kapelusza. Zdjął go z jej głowy i położył obok. A potem ujął ją pod brodę i uniósł jej twarz ku sobie.

- Susanno, moja ty silna, kochana Susanno...

Wcale nie czuła się silna. Drżały jej usta, kiedy ją całował. Wsparła się jedną ręką o jego pierś, drugą zaś objęła go za szyję i przyciągnęła ku sobie. Rozchyliła wargi i poczuła całe ciepło jego ciała, całą siłę, gdy zagłębił w nich swój język.

Ręka Petera wślizgnęła się pod jej płaszcz, dotknęła piersi, osunęła się ku talii, potem ku biodrom. Oddała mu pocałunek. Siedzieli w samym środku labiryntu i opustoszałego już

zapewne parku. Mogli w każdej chwili przerwać to, co robili. Nie tak, jak wtedy w Barclay Court, gdzie zachowali się nierozważnie, niemądrze i w rezultacie obydwójce potem cierpieli.

Kiedy odsunęła głowę i przymknęła oczy, wyciągnął dłoń spod jej płaszcza i nie uczynił nic, by ich uścisk trwał nadal.

- Susanno - odezwał się po chwili - pragnąłbym, żebyś się zastanowiła. ...

Położyła dwa palce na jego wargach i odchyliła się w tył, chcąc zajrzeć mu w oczy.

Spojrzały jej prosto w twarz. Nie skończył rozpoczętego zdania.

Popatrzyli na siebie.

- Nie wpatruj się tak we mnie - szepnęła.

- Jak? - Ujął ją za nadgarstek i uniósł go do ust.

- Z litością. - Nagle poczuła niewytłumaczalne rozdrażnienie i zerwała się z ławki. -

Zawsze chcesz coś dawać, współczuć, osłaniać. Czy nigdy nie miałeś ochoty brać, żądać i domagać się spełnienia swoich żądań? Mnie nie potrzeba litości.

Cóż ona mu właściwie mówi? Odwróciła się i przeszła kilka kroków po pustej przestrzeni w środku labiryntu. Wiedziała, że go uraziła, ale nie potrafiła się powstrzymać od wypowiedzenia tych słów.

- Czy powinienem cię znowu wziąć, tym razem siłą? - spytał z przerażającym spokojem. - Czy mam żądać, żebyś za mnie wyszła, tak abym mógł odzyskać swój honor?

Czy mam bezwzględnie sięgać po wszystko, czego tylko zapragnę, zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety? Czy tego się po mnie spodziewasz, Susanno? Nie pojmuje cię. I nie potrafię być

takim mężczyzną!

- Nie to miałam na myśli.

- W takim razie co?

Już otwierała usta, lecz nic nie powiedziała.

- No widzisz, nie wiesz, co odrzec. Musisz być dobrą nauczycielką.

Przedtem myślałem, że jestem pogodnym, nieskomplikowanym mężczyzną. A teraz czuję się tak, jakby mnie rozebrano na części i złożono z powrotem. Musiała się mimo woli uśmiechnąć.

- W takim razie okazałam się złą nauczycielką. Jesteś dobrym człowiekiem, naprawdę dobrym...

Uniósł z powątpiewaniem brwi.

- Ale ja jestem nie tylko kobietą, lecz także człowiekiem. Wszystkie kobiety są

ludźmi. A jeśli, jako słabsze istoty, zależy od mężczyzn, dzieje się tak dlatego, że pozwoliłyśmy im widzieć nas właśnie w ten sposób. Może im to odpowiada, może czują się

wtedy bardzo męscy i silni? Zresztą odpowiada to również wielu kobietom. Być może społeczeństwo funkcjonuje należycie właśnie dlatego, że i mężczyźni, i kobiety lubią

narzucone sobie role. Tylko że ja wypadłam ze swojej roli dość wcześnie. Nigdy nie będę

twierdzić, że spotkało mnie wtedy coś dobrego, lecz cieszę się, że okoliczności zmusiły mnie do porzucenia kobiecego światka. Wolę już być w pełni człowiekiem niż jedynie kobietą, nawet jeśli w rezultacie pozostanę na zawsze samotna.

- Nie musi tak być.

- To nieprawda. Chciałeś mnie poślubić i opiekować się mną potem przez całą resztę

życia. W ten sposób krąg by się zamknął. Przepraszam, nie miałam zamiaru wyrażać się tak górnolotnie. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak to zabrzmie, póki nie usłyszałam własnych słów. Pamiętaj jednak, że w nie wierzę.

- A więc jest tak, jak myślałam. - Peter wstał i podał jej kapelusz. - Lepiej ci beze mnie. To upokarzające.

Nie mogła mu zaprzeczyć. Wzięła kapelusz, włożyła go z powrotem na głowę i zawiązała wstążki pod brodą.

- Zrobisz coś dla mnie? - spytała.

- Co?

- Zostań w Sidley, kiedy już tam pojedziesz na święta. Zamieszkał tam na dobre.

- Mam też poślubić pannę Flynn - Posy?

- Jeżeli uznasz, że naprawdę chcesz tak uczynić. Czy chociaż raz rozmawiałeś z matką

na serio? Powinieneś to zrobić. Ona cię tak zachłannie kochała przez całe życie, że nie wie, kim naprawdę jesteś. No i pewnie wcale nie zna twoich marzeń. Poczul przykre zażenowanie.

Jakim prawem Susanna się wdziera w jego życie? Chyba nawet wobec dziewcząt w szkole nigdy nie zachowywała się z taką bezwzględnością jak wobec niego teraz.

- Przepraszam. Wiem, że nie miałam prawa...

- A czy ty zechcesz zrobić jedną jedyną rzecz dla mnie?

Wróciła do rzeczywistości. Jedną jedyną rzecz! Tym razem Peter naprawdę odjedzie i pozostanie jedynie wspomnieniem, niekoniecznie - jak to sobie wcześniej wyobrażała -

pogodnym. Spojrzała na niego pytająco.

- Pozwól, żebym cię zabrał na spotkanie z lady Markham i Edith.

- Akurat w tej chwili?

- Dlaczego nie? Lawrence Morley, mąż Edith, mieszka przy Laura Place, niedaleko stąd. Obiecałem odwiedzić ją przed odjazdem. Przyrzekłem też, że spytam, czy mogłaby ci złożyć wizytę lub też czy ty nie wybrałabyś się do niej.

Pokręciła głową.

- Zastanów się. Nie wiem, czy właśnie ja powinienem ci o tym mówić, ale tu chodzi o listy. Do Markhama i do ciebie.

Zesztywniała.

- Listy? - spytała ledwo dosłyszalnie.

- Od twojego ojca.

Podszedł do niej i ujął ją mocno za rękę.

- Nie miałem pojęcia o ich istnieniu i nie wiem, co mogą zawierać, ale czy nie powinnaś przynajmniej zobaczyć się lady Markham?

Listy. Jeden jest do niej.

Ojciec napisał do niej list!

A co wyjawiał w liście do lorda Markhama?

Początkowy szok ustąpił miejsca panice.

- Lepiej by było, gdyby je zniszczono. - Susanna uwolniła rękę z uścisku i ponownie usiadła na ławce, zawzięcie usiłując naciągnąć rękawiczki. - Nie ma sensu odgrzebywać po tylu latach tego, co pchnęło ojca do śmierci - odparła, mocując się uparcie z rękawiczkami.

To może tylko jeszcze bardziej unieszczęśliwić żyjących.

- Nigdy nie chciałaś dowiedzieć się dlaczego?

Oczywiście, że nie chciała. Cierpiała dotkliwie, lecz zdołała to cierpienie przetrzymać. Żyła teraz o wiele znośniej i spokojniej niż wielu innych ludzi. Zwrot ku przeszłości niczemu nie służył.

- Chyba należałoby się dowiedzieć, co twój ojciec chciał ci przekazać? Gdyby nie miał ci niczego do powiedzenia, nie pisałby listu.

- Jeśli chciał się podzielić jakąś tajemnicą, powinien był to zrobić dawno temu.

Milczał przez dwanaście lat. Nie wspominał nawet o matce, której tak mi brakowało. Lepiej by

zrobił, Kochając mnie. Tymczasem on wolał poszukać ratunku w śmierci.

- Kochałaś go?

- Oczywiście.

- Więc mu wybacz.

- Dlaczego? - Susanna się odwróciła i gniewnym ruchem starła łzy, które napłynęły jej do oczu.

- Bo tak dyktuje miłość.

Zaśmiała się, ale głos jej żałośnie zadrgał.

- Tak się powinno robić, jeśli się kogoś kocha. Gdyby on wszystko wiedział!

- Dobrze. - Odwróciła się gwałtownie ku niemu. - Chodźmy tam. Zabierz mnie do Markhamów. Spytajmy o te listy i o ich treść. Ale wiedz, że to może być prawdziwa puszka Pandory, której nie da się na powrót zamknąć.

- Przecież to nie dotyczy mnie. Poza tym nie wiem, czy te listy jeszcze istnieją. Twój mózg nawet zostać zniszczony bez otwierania. Jestem tylko zdania, że powinnaś pójść do lady Markham i Edith. Bo należy dać im szansę. Tę szansę, której, jak uważasz, ojciec ci odmówił.

Spojrzała na niego, a potem kiwnęła głową bez słowa.

- W takim razie chodźmy.

- Jeżeli tylko zdołamy wyjść z labiryntu.

- Jeszcze bardziej chciałabym teraz, żebyśmy się w nim zagubili na zawsze.

- Powinniśmy w takim razie zamieszkać w szałasie na Mount Snowdon, jeżeli trafi nam się taka okazja.

Podał jej ramię. Przyjęła je.

ROZDZIAŁ 19

Gdy zbliżali się do Laura Place, Peter uznał nagle, że wcale nie jest zakochany w Susannie Osbourne. On ją po prostu kochał.

A to było coś zupełnie innego.

Kochał ją, lecz w pewnych chwilach jej nienawidził, a nawet nią pogardał.

Jeśli istnieje Bóg, to musi mieć dziwaczne poczucie humoru. Jak do tej pory prawie każda młoda dama - a było ich wiele, odkąd przed pięcioma laty stał się pełnoletni - lubiła go, podziwiała, a

nawet gotowa była pokochać, kiedy się tylko na dobre zaczynał do niej zalecać.

Każda z wyjątkiem Susanny.

Wyjeżdżał z Bath następnego dnia i tym razem nic go tu nie zatrzyma. Nie mógł się

wręcz doczekać wyjazdu. Gdyby nie to spotkanie, spakowałby kufry jeszcze po południu, nie czekając do rana.

Przez całą drogę nie odezwali się do siebie ani słowem.

- To tutaj - oznajmił wreszcie, przypatrując się numerom domów. Podeszedł do jednego z nich i zastukał energicznie kołatką.

Powinien był wziąć Susannę pod ramię, wiedząc, jak musi być zdenerwowana i niechętna tej wizycie, ale tego nie zrobił. Matka i siostry chroniły go przed życiem i nie chciał

tak samo traktować innych ludzi, zwłaszcza kobiety, którą kochał. Poza tym ona wcale nie potrzebowała jego opieki! Niech ją licho porwie! Obydwie panie wróciły właśnie z zakupów, jak mu obwieścił służący. Obiecał zapytać, czy przyjmą teraz gości. Spojrzał na podaną mu wizytówkę z pewnym zaskoczeniem.

Dwie minuty później wchodzili do małego saloniku. Edith przedstawiła im młodego, szczupłego, jasnowłosego okularnika jako Lawrence'a Morleya, swego małżonka. Potem zwróciła się ku Susannie z rumieńcami na policzkach.

- Och, to ty! Oczywiście, że ty! Z nikim bym cię nie pomyliła. Te oczy i włosy!

Wyrosłaś, ale poza tym prawie wcale się nie zmieniłaś. Byłam pewna, że właśnie ty towarzyszyłaś Peterowi zeszłego wieczoru. Lawrence, mój drogi, to jest Susanna Osbourne, o której ci mówiłam przy śniadaniu.

Susanna zawahała się, nim podała jej rękę, lecz Edith uściskała ją z całej siły. Lady Markham czekała cierpliwie w głębi pokoju. Skinęła Peterowi głową, wzrok miała jednak utkwiony w Susannie.

- Przez te wszystkie lata - zaczęła, gdy Edith, ze łzami w oczach, wypuściła Susannę z objęć - bałam się, że może już nie żyjesz.

- Nie umarłam.

- Lordzie Whitleaf, panno Osbourne, zechciejcie, proszę, usiąść bliżej kominka -

odezwał się Lawrence. - Musieliście chyba iść pieszo, bo nie słyszałem, żeby jakiś powóz zajechał przed dom.

- Spacerowaliśmy po Sydney Gardens - wyjaśnił Peter. - Mamy dzisiaj piękną pogodę.

- Owszem, jak na listopad - zgodził się Morley - ale mimo to jest dokuczliwie zimno.

Mam nadzieję, panno Osbourne, że się pani ciepło ubrała? Zostawiła pani pewnie odzież na dole?

- Istotnie. - Susanna się uśmiechnęła. - Mój płaszcz i rękawiczki wytrzymają nawet najgorszy chłód.

- Mądrze pani zrobiła, ubierając się stosownie do pory roku. Edith zamierzała wyjść, nim jeszcze służba ją zapewniła, że nie ma wiatru ani chmur. Wczoraj w Bath Abbey z pewnością strasznie ciągnęło! No, ale ona koniecznie pragnęła pójść na koncert. Ulżyło mi, gdy lady Markham zechciała jej towarzyszyć, by w razie czego okryć ją płaszczem. Edith dopiero teraz przychodzi do siebie po połogu, jak zapewne państwo wiedzą. - Niestety nic mi o tym nie było wiadomo - przyznała Susanna. - Cieszę się, że już wydobrzałaś.

- Mamy synka - oznajmiła radośnie Edith. - Uroczego, prawda, mój drogi? - I spojrzała na męża. - Wykapany tata!

Kontynuowali uprzejmą konwersację, gdy przyniesiono herbatę. Lady Markham naląła jej do filiżanek i poczęstowała wszystkich keksem.

- Susanno - odezwała się wreszcie Edith - mieszkasz w Bath? Gdzie?

- W szkole panny Martin przy Daniel Street. Uczę tam kaligrafii, ortografii i ćwiczeń fizycznych.

- Ćwiczeń? - spytał Morley. - Mam nadzieję, że nie nazbyt męczących. Słyszałem, że forsowne ćwiczenia nie są zdrowe dla młodych dam, a sam również jestem tego zdania. Na pewno o wiele bardziej stosowne są dla nich haft czy rysunek. W większości szkół dla dziewcząt nie ma sportów. I bardzo słusznie.

- A więc zostałaś nauczycielką - wtrąciła się lady Markham, nim Susanna zdołała odpowiedzieć. - Jak to się stało? - Kiedy znalazłam się w Londynie, poszłam prosto do agencji zatrudnienia.

Tam zwrócono na mnie uwagę i wysłano do szkoły. Do osiemnastego roku życia się uczyłam, a potem sama zaczęłam uczyć inne dziewczęta.

- Jak mogłaś wybrać się do Londynu sama jedna? Przecież byłaś dzieckiem! Zresztą szukaliśmy cię na wszystkich stacjach dyliżansów.

- Zabrałam trochę pieniędzy z kasetki ojca. Uznałam, że już należą do mnie. Był tam także sakwojazd, dosyć duży, by pomieścić moje rzeczy, a na tyle mały, żebym go mogła udźwignąć. Wędrowałam pieszo i prosiłam o podwiezienie, bo pieniędzy miałam za mało, żeby je trwonić na dyliżans.

- Mam nadzieję, panno Osbourne, że nie musiała pani siedzieć w wiejskim wozie na sianie. Siano nieraz bywa wilgotne, chociaż może wyglądać na suche!

- Chyba ani razu nie siedziałam na sianie.

- Och, Susanno! - Lady Markham odstawiła filiżankę na talerz. - Dlaczego uciekłaś od nas bez słowa? Oczywiście, musiałaś być zrozpaczona, biedne dziecko, ale przecież byliśmy niemal rodziną!

Peter dostrzegł, że Susanna ledwo napoczęła swoją porcję ciasta i że jest bledsza niż

zwykle mimo niedawnego pobytu na świeżym powietrzu.

- Jak pani sama powiedziała, byłam zrozpaczona i byłam dzieckiem. Sama dobrze nie wiem, dlaczego tak właśnie zrobiłam. Nie pozwolono mi zobaczyć ojca i z trudem uwierzyłam, że go naprawdę nie ma. Potem usłyszałam, że nie chcą go pochować w kościele.

Wtedy do mnie dotarło, że już nie żyje. Ja...

- Kościół musi być nieugięty w takich wypadkach - wtrącił się Morley chociaż to wielka szkoda, że...

- Mój drogi - przerwała mu Edith - myślę, że Jamie może się obudzić i zacznie płakać, nie widząc nas przy sobie, mimo że jest przy nim niania... Morley zerwał się gwałtownie.

- Już idę! Zechcą mi państwo wybaczyć naturalną troskę ojcowską... - Dziękuję, Lawrence - szepnęła Edith z rozczuleniem. - Jakiś ty dobry! W innych okolicznościach Peter nieźle by się tym wszystkim ubawił, lecz wyczuwał napięcie Susanny i obydwu pań.

- Mnie także nie pozwolono zobaczyć ciała twojego ojca - zaczęła lady Markham, gdy za Morleyem zamknęły się drzwi. - Bo... bo... - Rozumiem. Przecież strzelił sobie w głowę.

Tylko że dla mnie ojciec był wszystkim, co miałam na świecie, a zabroniono mi nawet zbliżyć się do niego! I jeszcze ten haniebny pogrzeb! Myślę, że chciałam się znaleźć jak najdalej od tego wszystkiego.

- Nawet się ze mną nie pożegnałaś! - westchnęła Edith. - Najpierw nakazano mi surowo, żebym nie wychodziła z pokoju dziecinnego, a potem, kiedy posłałam po ciebie nianię, nie zdołała cię znaleźć. Wszyscy inni też nie. Och, jak się wtedy martwiłam! Wiem, twoje cierpienie było dużo większe, a miałaś tylko dwanaście lat, choć wydawałaś się o wiele starsza ode mnie. Chciałam... ach, wszystko i tak nieważne. Cieszę się ogromnie, widząc cię

znowu i wiedząc, że życie obeszło się z tobą dobrze. Jestem pewna, że zostałaś dobrą

nauczycielką.

Niespodziewanie rozmowa zesłała na szkołę. Obie zaczęły rozważać, co jest lepsze dla dziewcząt, nauka w szkole czy edukacja domowa. Ku zaskoczeniu Petera nie poruszały więcej tematu ucieczki Susanny ani nie wspomniały o listach Williama Osbourne'a.

Wydało mu się dziwne, że Susanna nie chce się dowiedzieć, co ojciec napisał do niej w ostatnich chwilach życia. W Sydney Gardens, gdy dowiedziała się o listach, wyglądała, jakby miała zemdleć.

Później powiedziała coś o puszcze Pandory, a teraz najwyraźniej nie zamierzała o nich wspominać.

Można to było zrozumieć. Przez długie lata myślała, że ojciec zmarł, nie ujawniając motywów swego postępu, nie żegnając się z nią ani nie zabezpieczając jej bytu. Teraz natomiast wiedziała, że coś jednak po nim pozostało. Uznała jednak, że lepiej tego nie drażnić, zwłaszcza gdy minęło już całe jedenaście lat.

Moment, kiedy można było poruszyć ten temat, w rozmowie z lady Markham, dawno minął. Wiedli teraz zwyczajną, przyjacielską konwersację, całkiem przeciętną i typową.

Uznał, że nie powinien się wtrącać. Niemalże ją zmusił, żeby tu przysłała. Dotrzymał

w ten sposób obietnicy danej Edith. Wszystkie trzy mogą być zadowolone. Lady Markham i Edith - bo wiedzą, że ona żyje i dobrze się miewa, a Susanna - bo już rozumie, że nie żywią

do niej niechęci ani też nie zaniechały starań, żeby ją odnaleźć. Jeśli nawet jej ucieczka i podsłuchane słowa lady Markham nie doczekały się należytego wyjaśnienia, to być może wszystkie są na tyle usatysfakcjonowane, by więcej tych problemów nie roztrząsać. Nie powinien się wtrącać do cudzych spraw.

A jednak to zrobił.

- Wspominałem panie Osbourne - odezwał się, gdy na chwilę zamilkły - o listach odnalezionych w biurku Williama Osbourne'a po jego śmierci. Trzy pary oczu spojrzały na niego, jak mu się wydawało, z lekkim wyrzutem. Susanna urwała w pół słowa.

- Owszem - powiedziała lady Markham - były dwa. Jeden do mego męża, a drugi do Susanny.

- Co w nich napisał? - spytała Susanna z wyraźnym napięciem. - Czy wyjaśnił, dlaczego tak postąpił?

- Myślę, że tak - odparła lady Markham - ale list był adresowany do mego męża, Susanno, nie do mnie. Ja... my... zawsze będziemy wspominać twego ojca z szacunkiem i sympatią. Jako dobrego, sumiennego sekretarza. - Czy widziała pani ten list?

- Zdaje mi się, że tak.

- Co w nim było? Proszę mi powiedzieć. Peter pospiesznie podniósł się z krzesła. -

Czy mógłbym się na chwilę oddalić? Panie wołałyby pewnie zostać we własnym gronie?

Poczekam na pannę Osbourne... - Nie - odezwała się lady Markham - nie ma powodu, żeby pan to robił. W przeszłości twego ojca, Susanno, było coś, co przez całe lata pozostawało w ukryciu, lecz w końcu wyszło na jaw. Uznał wtedy, że zostanie skompromitowany nie tylko on sam, ale ty i mój mąż, bo pozwolił mu zamieszkać we własnym domu. Pewnie przypuszczał, że straci pracę i zostanie bez środków do życia, razem z małą córką. Nie widział innego wyjścia. Nic więcej mi o tym nie wiadomo i w niczym już nie można zmienić

tej tragedii.

Całe to wyjaśnienie wydało się Peterowi dość wymijające. „Nic więcej mi o tym nie wiadomo”. Czyż każde słowo listu samobójcy nie powinno wryć się w pamięć tego, kto go czytał? Zwłaszcza gdy ów samobójca żył, pracował, a później zastrzelił się właśnie w domu tegoż człowieka?

- A list do mnie? - spytała Susanna.

- Nie został wcale otwarty.

- Czy go zniszczono?

- Nie wiem. - Lady Markham zamrużyła nerwowo. - Ale nie wyobrażam sobie, by mąż go spalił.

- Może Theo coś wie, mamu - podsunęła jej Edith. - Och, z pewnością list jeszcze istnieje! - Równie dobrze mogłoby go nie być. - Susanna podniosła się z krzesła, Peter także. -

Jeżeli ojciec uczynił coś złego przed moim urodzeniem, odkupił to latami ciężkiej pracy i lojalności względem sir Charlesa. Nie chcę wiedzieć, co takiego zrobił. Nie chcę też wiedzieć, kto... Zresztą nieważne. Niech spoczywa w spokoju. Dziękuję za życzliwe przyjęcie i herbatę, ale pora już na mnie. Przebywałam poza szkołą przez cały wieczór i nie mogę dłużej zaniedbywać moich obowiązków.

- Susanno - poprosiła Edith - odwiedź nas jeszcze kiedyś. Może wybierzemy się na spacer albo na zakupy? Może... - Nie. Obowiązki zatrzymują mnie w szkole przez cały dzień.

W dodatku zbliża się świąteczny koncert, będę więc miała jeszcze inne, dodatkowe zajęcia.

Nie mogę prosić o następne wolne popołudnie. A ty... ty masz teraz męża i syna. Żyjesz w innym świecie. Lepiej zostawić wszystko, jak jest.

Edith wyglądała na przygnębioną.

- Napiszę do ciebie - powiedziała wreszcie. - Będiesz chyba miała tyle czasu, żeby przeczytać list?

- Dziękuję. - Susanna uśmiechnęła się z przymusem.

- Ucieszyłyśmy się ogromnie z twojej wizyty - dodała lady Markham. - Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak się o ciebie martwiłam. Miło, że do nas zawitałaś. Czy odprowadzi ją pan do szkoły, milordzie?

- Ależ oczywiście, madame.

Spotkanie z lady Markham i Edith niewiele zmieniło. Susanna najwyraźniej nie chciała się dowiedzieć, co się wydarzyło jedenaście lat temu. Może wystarcza jej świadomość, że ojciec jednak do niej napisał? On by się tym nie zadowolił, ale przecież nie w tym rzecz. Obie panie były najwyraźniej bardzo uradowane i udało się im chyba przekonać

Susanne, że wcale nie była brzemieniem.

- Jesteś zadowolona? - spytał, ujmując ją pod ramię.

- Tak. Gdybym tam nie poszła, bałabym się wyjść poza próg szkoły z obawy, że się gdzieś na nie natknę. Widzę, że nic się nie zmieniło. Edith jest ładna, prawda? Mam nadzieję, że będzie szczęśliwa z Morleyem.

- Mimo że ty nie będziesz szczęśliwa z kim innym? - Przecież nigdy tego nie żądałam.

- I się zaśmiała. Dobrze było znowu słyszeć jej śmiech. Wszystko się skończyło. Mogłaby teraz cieszyć się z zaręczyn. Zamiast tego powiedziała tylko: „Do widzenia”.

Z własnego wyboru.

Gdy szli w milczeniu Great Pulteney Street, zdała sobie sprawę, że przez jakiś czas będzie ją nawiedzać wspomnienie tej wizyty i decyzji, by nie roztrząsać sprawy treści listów.

Dziś rano żywiła jeszcze nadzieję, że rozstaną się po przyjacielsku. Nie miało wielkiego znaczenia to, że go kocha. Byłoby dziwne, gdyby się w nim nie zakochała.

Postanowiła jednak, że wyleczy się z tej miłości. Nie mogli się przecież pobrać. Było to nierealne z całego mnóstwa powodów. Wolą go utracić na zawsze niż zawrzeć z nim nieszczęśliwe małżeństwo.

Teraz jednak trudno jej było myśleć w tak rozsądny sposób. Może będzie to łatwiejsze za godzinę. Albo dzisiejszej nocy. Albo za tydzień. Za miesiąc. Ale nie w tej chwili.

- Wyjeżdżam do Londynu z samego rana - powiedział Peter, gdy skręcili w Sutton Street i z daleka było widać szkołę.

- Nic dziwnego. W Bath o tej porze roku trudno o atrakcje.

- Spędziłem tu kilka miłych dni.

- Ciesz się tym.

Rozmawiali jak dwoje uprzejmych, ale całkiem sobie obcych ludzi.

- Miło mi było znów cię widzieć. - Mnie też. - Może się jeszcze kiedyś spotkamy. -

Może. Zwolnili kroku i zatrzymali się obydwój, nim skręcili w Daniel Street. - Susanno - odezwał się, nakrywając jej dłoń swoją, chociaż nie odwrócił głowy, żeby na nią spojrzeć. -

Zanim odejdę, chciałbym, żebyś wiedziała, że mi na tobie zależy. Byliśmy przyjaciółmi i sądzę, że w

jakimś sensie nadal nimi pozostajemy. Lecz gdy tamtego popołudnia w Barclay Court staliśmy się dla siebie kimś więcej, to było prawdziwe. Nie jestem typem mężczyzny, który korzysta z tego, że znalazł się sam na sam z niedoświadczoną kobietą. Zależało mi wtedy na tobie, zależy mi i teraz. Wiem, że mnie nie chcesz, nie potrzebujesz i potrafisz być

szczęśliwa beze mnie. Ale nie jestem ci chyba całkiem obojętny? Pragnąłbym, żebyś to sobie uświadomiła. Och, chyba nigdy jeszcze nie wyrażałem się tak niezręcznie, w dodatku wtedy, gdy wolałbym być wyjątkowo elokwentny i powiedzieć coś godnego zapamiętania...

- Ależ ja cię lubię. Oczywiście, że lubię. I, rzecz jasna, wiele sobie w tobie cenię.

Jakże mogłoby być inaczej? Zawsze byłeś miły i uprzejmy. Mnie również nie jesteś obojętny.

- Ale nie na tyle, żebyś chciała za mnie wyjść?

- Nie na tyle. - Łatwiej jej było to powiedzieć, niż wyjaśnić. - Nie pasowalibyśmy do siebie.

- Może istotnie tak jest. A zatem pożegnajmy się. Wysunęła rękę spod jego ramienia, a wtedy on uścisnął obie jej dłonie tak mocno, że o mało nie drgnęła z bólu. Potem uniósł

obydwie do warg, spojrzał na nią i się uśmiechnął.

- Chłodny dzień listopadowy stał się nagle dzięki tobie cieplejszy i piękniejszy -

powiedział, trawestując pierwsze słowa ich znajomości. - Dziękuję, Susanno.

- Och, jakież to wszystko niemądre.

I w jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób zaczęli się nagle oboje śmiać.

- Do widzenia - wykrztusiła.

A że nie mogła już dłużej tego znieść, pospiesznie chwyciła za kołatkę i uderzyła nią

w drzwi szkoły dużo mocniej, niż było trzeba.

Obejrzała się jeszcze za siebie, gdy pan Keeble jej otwierał, lecz nie zobaczyła już

nikogo. Mary Fisher, jedna ze starszych uczennic, wchodziła właśnie po schodach i odwróciła się, gdy ją ujrzała.

- Och, panno Osbourne - zawołała z ożywieniem - razem z panem Uptonem zmieniliśmy wszystkie szkice do dekoracji według pani wskazówek. Znakomicie wypadły!

Proszę je obejrzeć!

- Oczywiście, zaraz to zrobię. Czy pracowałyście nad nimi całe popołudnie? Jak miło z waszej

strony.

Powiedział, że mu na niej zależy. A teraz odszedł.

ROZDZIAŁ 20

Peter pojechał prosto do Sidley Park z mocnym zamiarem pozostania tam.

Prosiła go, żeby zrobił dla niej jedną jedyną rzecz. A więc ją zrobi. Pewnie nawet się o tym nie dowie. Nie wiedział zresztą, w jaki sposób mogłaby skorzystać na jego powrocie do domu, lecz tak czy owak pojechał do niego. Kochał ją, uszanował zatem jej ostatnie życzenie.

Może go ta miłość opuści równie nagle, jak przyszła? Bo wcale tego uczucia nie lubił.

Prawdę mówiąc, ciążyło mu nieznośnie.

Matka nie posiadała się z radości. Bez przerwy mówiła o świętach, które będą teraz absolutnie idealne, kiedy już wrócił i mógł się cieszyć wszystkim, co dla niego zaplanowała.

Cztery z jego sióstr - Barbara, Doris, Amy i Belinda - również miały zawitać do domu, zabraknie tylko Josephine, która mieszkała z mężem i jego rodziną w Szkocji. Wizyty sióstr oznaczały, że przyjadą także szwagrowie i dzieci. Zaproszono też powinowatych, ale nie wujów, od których uwolnił się pięć lat temu, chociaż widywał ich od czasu do czasu w Londynie i nauczył się nawet traktować ich z pewną życzliwością.

No i oczywiście przyjadą państwo Flynnowie - Posy.

Cóż, wytrzyma to jakoś. A może polubi. W końcu chciał poczuć się gospodarzem.

Następnego dnia po przyjeździe matka zabrała go do jadalni i opowiedziała szczegółowo o wszystkim, co zamierza zrobić, żeby mu sprawić przyjemność.

- Pomyślę o tym, mamó - odpowiedział. - Ale mam własne plany co do jadalni.

- Ależ oczywiście, mój drogi - odparła rozpromieniona. - Wszystko, co tylko zechcesz, byle nie zepsuło to moich zamierzeń. To wspaniale, że mam cię wreszcie w domu!

Poprzestał na tym. Nigdy nie było mu łatwo z nią rozmawiać. Znadto mu to przypominało walenie głową o mur. Udało mu się zbuntować jeden jedyny raz, lecz oboje byli tym potem tak przybici, że nie wykorzystał okazji, żeby wszystko szczerze wyjaśnić.

Zęby dać jej do zrozumienia, że już dorósł.

Należało to zmienić. Przeciwwstawić się stanowczo jej żelaznej woli. Zakrawało na absurd, że pretekstem do tego starcia stanie się najpewniej lawendowa jadalnia.

Długo przesiadywał we wdowim domu, czasami całymi godzinami, rozpalając ogień

na kominku w bawialni i radując się spokojem, który tam znajdował. Lubił ten dom, zawsze dobrze utrzymany, mimo że mieszkali tam, jak dotąd, tylko guwernantki sióstr oraz preceptorzy, którzy go uczyli, nim wyjechał do szkół. Stojący na uboczu mały dworek pośród ładnego ogrodu byłby dla matki idealny.

Znów zaczął odwiedzać sąsiadów, a wśród nich Theo Markhama.

- Muszę ci podziękować - powiedział Theo, gdy siedzieli w bibliotece przy brandy - za złożenie wizyty mojej matce i Edith wraz z Susanną Osbourne. Obydwie napisały mi o tym już następnego dnia. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo były przygnębione jej zniknięciem. Matka przez wszystkie te lata myślała, że ona nie żyje. - Czy listy wciąż

istnieją?

- Ależ oczywiście - odparł Theo, wyciągając nogi ku kominkowi. - Leżały na dnie szafy w dawnym kantorze Osbourne'a, gdzie nigdy nie zaglądałem, wypełnionej starymi papierzyskami. Przedtem nie czytałem listu do ojca, zrobiłem to dopiero po korespondencji od matki. List do Susanny nadal leży zapieczętowany.

Chyba powinienem go jej wysłać, chociaż matka uważa, że Susanny to już nie interesuje, co zresztą wydaje mi się dziwne.

- Może raczej boi się go przeczytać? - A czegoż tu się można bać? - Theo trącił

końcem buta kłodę drewna. - Upiora?

- Może obawia się tego, co zawiera list? Czasami komuś się wydaje, że lepiej nie wskrzeszać przeszłości. Ciekaw jestem jednak, czy nie dręczy jej teraz ciekawość. Jest już

świadoma istnienia listu. No bo chyba nie wiedziała o nim? - Myślę, że nie, Czasami sam chciałbym mieć sekretarza. Korespondencja nie jest moim ulubionym zajęciem. Ale ten jeden list chyba będę musiał napisać. Przecież nie wypada wysłać jej tamtego bez słowa komentarza. - Czy jest coś w liście do twego ojca, czego może zabraknąć w liście do niej?

Pamiętaj, że pisał do dwunastolatki. Theo pociągnął dwa łyki z kieliszka i się zamyślił, a potem spojrzał na niego. - Whitleaf, dlaczego, u licha, tak bardzo się tym interesujesz? - Z

ciekawości.

- Mówiłeś mi, że spotkałeś Susannę latem. A potem byłeś z nią w Bath na koncercie, w parku i jeszcze u Edith. Czy coś cię z nią łączy? Morleyowi nie byłoby w smak, gdyby okazało się, że gościł twoją kochankę. Wydało się to Peterowi tak zabawne, że najpierw się

uśmiechnął, a potem roześmiał na całe gardło.

- Morley gotów byłby dostać waporów! Bóg jeden wie, co Edith widzi w tym wymoczku, ale to było małżeństwo z miłości - kontynuował Theo. - Nie. Susanna nie jest moją kochanką. - Peter uśmiechnął

się ponownie. - I byłbym ci wdzięczny, gdybyś drugi raz o tym nie wspominał. Oświadczyłem się jej, ale mnie odrzuciła.

- Co takiego? Co zrobiłeś? Przecież ona jest nauczycielką, a ty wicehrabią! Byłaby to dla niej wspaniała partia!

Peter nie podjął tego tematu.

- Myślę, że powinna znać prawdę - powiedział wreszcie. - To, co wiecie ty, twoja matka i co jest w obydwu listach. Może ją to przygnębi, ale nie sądzę, żeby zdołała przezwyciężyć przeszłość bez tej wiedzy. Ojciec był wszystkim, co miała, a tymczasem strzelił sobie w łeb i zostawił ją samą na świecie. - Ano, tak. Biedaczysko. Czy Susanna mogłaby przyjechać tu na święta? Założę się, że Edith nie posiadałaby się z radości, a moja matka też by się pewnie cieszyła. Zresztą ona przyjedzie tutaj pojutrze. Dowiem się, co o tym myśli. Ja też chętnie zobaczyłbym Susannę. Kiedyś ją bardzo lubiłem. Pamiętam, że któregoś

lata uczyłem ją wiosłować. Świetnie jej szło, mimo że była wtedy tylko chucherkiem z rudą czupryną. Czy nadal ma rude włosy?

- Raczej kasztanowate.

Nie próbował zachęcać przyjaciela do zaproszenia Susanny. Wolałby już, żeby to właśnie Theo pojechał do Bath, razem z lady Markham i listami.

- Zaprosisz ją? - spytał.

- Chyba tak, a ty zdecyduj, czy będziesz omijał z dala Fincham podczas świąt, czy też

przesiadywał tu codziennie. Stanowczo odmówiła ci ręki? A ty? Byłeś rozczarowany? Zresztą

to retoryczne pytania, Whitleaf. Nie wtykam nosa w amory moich przyjaciół. Ale jeśli jednak Susanna będzie chciała przyjechać, to ją zaproszę. Oczywiście może odmówić. Wydaje mi się, że lubi być niezależna. Była taka już jako dziewczynka. Dolać ci brandy?

- Diabło dobra. - Peter uniósł kieliszek do góry. - Pewnie z przemytu?

- A czy jest jakaś inna?

Z pewnością Susanna odmówi. Oczywiście, że odmówi. A jak powinien się zachować, jeżeli mimo wszystko przyjedzie? Trzymać się z dala od Fincham czy przesiadywać tu każdego dnia? Nieważne. Ona nie przyjedzie. Na pewno nie przyjedzie.

Eleanor Thompson pozostała ostatecznie w szkole jako nauczycielka geografii i matematyki. Claudia początkowo spodziewała się, że nastąpi to po świętach, lecz panna Thompson nie zamierzała czekać. Przeniosła się do szkoły prosto z hotelu i rozpoczęła pracę

zaraz po wyznaczeniu jej przez Claudię rozkładu zajęć, a także zakresu obowiązków. Od razu stała się ulubienicą dziewcząt i pozostałych nauczycieli. Wymagała dyscypliny, ale prowadziła lekcje z poczuciem humoru. Przybyła, co prawda, za późno, by zrobić - wedle jej własnych słów - coś znaczącego na rzecz koncertu świątecznego, lecz skwapliwie uczestniczyła w mniej widowiskowych zajęciach, nadzorując sporządzanie dekoracji. Często sama chwytła za pędzel.

- I pomyśleć - westchnęła pewnego wieczoru w bawialni Claudii, usiłując zetrzeć z palca upartą plamkę farby - że póki Christine nie wyszła za Bewcastle'a, uważałam za idealny tryb życia siedzenie w naszym wiejskim domku z otwartą książką w ręce.

- Czy wciąż myśli pani tak samo? - spytała żartem Susanna.

- Tylko czasami - przyznała panna Thompson - na przykład dzisiaj rano, kiedy Agnes Ryde zaklęła szkaradnie, bo nie mogła sobie poradzić z rachunkami. Z trudem oparłam się

chęci udawania, że nie rozumiem, co powiedziała. A jednak lubię Agnes. Wiem, wiem, Claudio, powiesz mi zaraz, że nauczycielki nie powinny mieć faworytek. Ale ona ma silny charakter.

- Obawiam się, że niekiedy aż za silny. - Claudia się skrzywiła. - Choć owszem, da się lubić.

- Powiedziała do mnie wczoraj - odezwała się Lila - że poprawna wymowa, której nauczam, przypomina jej udawanie księżnej, a to ją śmieszy. A potem zrobiła nadętą minę i wyciągnęła ku mnie rękę, jakbym ją miała ucałować!

- Czy w dzisiejszym liście było coś, co cię zmartwiło? - spytała Susannę Claudia.

Z początku sądziła, że przysłała go Frances lub Anne, lecz charakter pisma na kopercie był jej obcy.

- Napisała do mnie lady Markham z Fincham Manorw Hertfordshire. Wychowałam się tam - dodała, bo Lila i Eleanor nie wiedziały o tym.

- I cóż to były za nowiny? - spytała powtórnie Claudia. Ręka z filiżanką herbaty zawisała w powietrzu.

- Zaprosiła mnie na święta. Edith Morley, jej córka, pojedzie tam z mężem i synkiem.

A syn, baronet Theodore Markham, podsunął matce myśl, żeby zaprosić i mnie. Widocznie wspomniała mu o naszym spotkaniu w Bath kilka tygodni temu. Oczywiście, nie pojedę.

Odpisałabym im już dzisiaj, ale mam za wiele zajęć.

- Susanno - spytała z niedowierzaniem Lila - masz okazję spędzić święta z baronetem i jego rodziną i zamierzasz odmówić?

- Oczywiście. Miałam już dwa tygodnie wakacji w sierpniu. Żądanie kolejnych to zbyt wiele.

- Ależ Lila, ja i Claudia pozostaniemy tu przez całe święta - zapewniła ją Eleanor. -

Będzie miał kto czuwać nad dziewczętami.

- Nie chcę tam jechać i basta! Wolę zostać z wami. Rozmawiały jeszcze chwilę, aż

Eleanor oświadczyła, że musi się wyspać, jeśli ma przetrwać w szkole kolejny dzień. Lila poszła w jej ślady. Susanna chciała zabrać tacę pełną naczyń, gdy usłyszała głos Claudii.

- Coś cię w tym liście zaniepokoiło i nie było to zaproszenie na święta. Możesz mi powiedzieć, co to było? Oczywiście jeśli chcesz to zrobić.

Susanna westchnęła i siadła z powrotem w fotelu.

- Nie mogę tam pojechać, Claudio. Z Fincham łączy mnie zbyt wiele przykrych wspomnień.

- Ta posiadłość leży blisko Sidley Park, prawda?

- Tak - odparła Susanna, patrząc uparcie na swoje ręce. Siedziały przez chwilę w milczeniu. Dla Susanny był to bolesny temat, co Claudia wyczuła i respektowała.

- Może należałoby jednak do tych wspomnień wrócić? Może teraz, kiedy przeszłość

wyszła na jaw, czy tego chciałaś, czy nie, powinnaś ją ostatecznie zaakceptować?

- Okazało się, że istnieją listy. - Susanna patrzyła w ogień. - Nie mówiłam ci jeszcze o nich. Mój ojciec przed śmiercią napisał dwa, jeden do sir Charlesa Markhama, a drugi do mnie. Wciąż jeszcze są w Fincham. Theodore chciał mi je przesłać, ale wolałby, żebym tam pojechała, przeczytała je na miejscu i pomówiła z nim.

- Musiał to być dla ciebie szok, ale czy nie cieszysz się, że ojciec jednak coś dla ciebie zrobił? Czyż nie pragniesz się dowiedzieć, co zawierają te listy? Radziłabym ci nie czekać i pojechać tam już teraz. - Nie chcę ich widzieć. Wiem, co w nich może być, i za nic nie przeczytam tego, co ojciec uznał za stosowne napisać do dwunastolatki. Widzisz... on kochał

wicehrabinę Whitleaf, a ona złamała mu serce. Lady Markham wspomniała podczas mojej wizyty, że uczynił niegdyś coś haniebnego. I że po ujawnieniu tego czekałaby go niełaska, dymisja i bieda. Nie wierzę w to! Bo znam prawdę. Wicehrabina uśmierciła go tak skutecznie, jakby własnoręcznie pociągnęła za spust. Można by powiedzieć, że zabiła go niezdolność do życia ze złamanym sercem. Wreszcie wypowiedziała na głos to, o czym nie chciała nawet myśleć. Uczucia mają tak wielką władzę nad ludźmi, że nie potrafią z nimi walczyć. Przecież

widziała ich razem. Słyszała, co wtedy mówili. Wiedziała. Od samego początku wiedziała.

Ojciec zostawił ją na pastwę losu, bo nie mógł żyć bez miłości okrutnej kobiety, dla której niewart był pstryknięcia palcami. Sama się tak wówczas wyraziła.

- Och, Susanno - szepnęła Claudia. - Akurat wicehrabina Whitleaf? Mój Boże! - Teraz już wiesz, dlaczego nie chcę mieć z tą rodziną nic wspólnego? - I po co wierzymy, że wystarczy ciężko pracować, być uczciwym i pilnować własnego nosa, żeby władać swoim życiem? Doprawdy, nie zasługiwałaś na taki los. Ani dziś, ani jako mała dziewczynka. A teraz wszystko wróciło!

- Nie, to dawne dzieje. Liczy się terażniejszość. A teraz jestem szczęśliwa, Claudio.

- Tylko że nic cię już nie cieszy. Chociaż wątpię, by ktokolwiek inny to zauważył.

Jesteś nadal pełna energii i pracowita, jak zawsze. Znam cię jednak za długo, żeby nie widzieć, co się z tobą dzieje.

- Potrzeba mi jedynie trochę czasu, abym udowodniła, że złamane serce można uleczyć i żyć dalej. Tylko trochę czasu.

Nie było sensu zaprzeczać. Miała złamane serce. Czasami sama się zastanawiała, czy znalazłaby w sobie dość siły, by po raz kolejny odrzucić ofertę Petera. Na szczęście nic takiego jej po raz drugi nie grozi. Nie wyjdzie za syna wicehrabiny Whitleaf. Zresztą nie tylko z tego jednego powodu.

- Dam ci jednak pewną radę - odparła Claudia. - Choćby nawet niechcianą. Przyjmij to zaproszenie. Pojedź na święta do Fincham. Wysłuchaj, co sir Theodore Markham ma ci do powiedzenia. Przeczytaj list do jego ojca, a także ten drugi, jeśli wciąż jeszcze chce ci je pokazać. Poznaj prawdę, chociażby z punktu widzenia sir Theodore'a. Znasz już najgorsze, więc nie grozi ci kolejny szok. Przyjrzyj się miejscu, z którego uciekłaś jedenaście lat temu, i pozwól, żeby stare widma nareszcie rozwiały się bez śladu. A co do wicehrabiego i jego matki, spotkaj się z nimi, jeżeli nadarzy się taka sposobność, albo też, jeśli wolisz, nie rób tego. Nie wolno ci jednak uchylać się od rozstrzygnięcia całej sprawy. Skończ z nią raz na zawsze. Odzyskasz wtedy pogodę ducha.

- W sierpniu doznałam takiego wrażenia, jakby otworzyła się zabliźniona rana. A ja nie chcę... nie zniosłabym, żeby...

- Ale dzisiejszy dzień otworzył ją na nowo. Jak długo masz zamiar pozwalać, żeby się jątrzyła? Wiesz o listach ojca, a nie chcesz ich przeczytać?

- Mogę poprosić Theodore'a, żeby mi je przysłał.

- Owszem... - przyznała Claudia takim tonem, jakby pragnęła powiedzieć coś jeszcze, ale zamilkła.

- Późno już - Susanna spojrzała na zegar - i jestem zmęczona. Ty pewnie też.

- Istotnie. - Claudia wstała. - W dodatku z twojego powodu czeka mnie zapewne bezsenna noc. Myślę jednak, że i ty nie będziesz mogła spać, rozmyślając o tych listach.

Dziwne, że jakieś zdarzenie może pociągnąć za sobą inne, pozornie bez żadnego związku.

Pamiętam, jak się cieszyłyśmy, gdy Anne wróciła z Walii tuż przed twoim wyjazdem do Barclay

Court. Gdyby się choć o jeden dzień spóźniła, do niczego by nie doszło. A może by doszło, tylko w jakiś inny sposób? Myślę, że nie można zmienić wyroków losu. Och, rzeczywiście muszę być bardzo zmęczona, skoro plotę takie głupstwa. Susanna się pożegnała, poszła do siebie i rzeczywiście długo nie mogła zasnąć. Gdyby Anne się o jeden dzień

spóźniła! Gdyby księżna i wicehrabina Ravensberg nie urządziły przyjęcia weselnego w Bath!

Gdyby nie poszła na ten koncert! Gdyby się nie dowiedziała, że ojciec napisał do niej list!

No i gdyby Claudia zgodziła się z jej decyzją, że nie przyjmie zaproszenia na święta od Theodore'a, a nawet odmówi poznania treści listów;

Dlaczego właściwie nie chce ich przeczytać? Czy w ten sposób odwraca się plecami do ojca, jak on wtedy do niej? Czy mści się za cierpienia, których jej przyczynił?

- Tato! - szepnęła, wtulając twarz w poduszkę.

Nie nazywała go tak wmyśli przez całe lata.

I w końcu, nim zasnęła, zrozumiała, że w gruncie rzeczy nie ma wyboru. Żądanie, by Theodore przysłał jej listy, mogło w jakiś sposób zapełnić pustkę, którą w sobie czuła, lecz nic poza tym. Należało się też dowiedzieć innych rzeczy, ujrzeć inne miejsca, pomówić z ludźmi. Musi tam wrócić.

Musi wysłuchać wszystkiego i wszystko przeczytać.

Może jej się uda zrobić to bez spotkania z Whitleafem. No, a gdyby go przypadkiem spotkała, to...

Nie potrafiła się mimo wszystko zmierzyć z taką możliwością. Nie, to za wiele naraz.

Wystarczy, że postanowiła pojechać do Fincham. Samo to było dostatecznie okropne.

Iz tą decyzją usnęła.

ROZDZIAŁ 21

Susanna przybyła do Fincham Manor karetką pocztową trzy dni przed świętami.

Musiała wyruszyć z Bath wczesnym rankiem, tuż po świątecznym koncercie, była więc zmęczona i wyczerpana. Rzecz jasna, strach przed wizytą też zrobił swoje.

Nie miała pojęcia, jak się będzie czuła, wchodząc do tego domu. A gdy już tam przybyła, wszystko wydało się znajome, choć zarazem jakby z innego świata. Jakby tutaj mieszkała w jakimś drugim, nieznanym sobie życiu.

Umieszczono ją w pokoju gościnnym. Trudno było oczekiwać, że zajmie dawny pokoik na poddaszu, obok starej sypialni ojcowskiej. Dzisiaj była oficjalnym gościem rodziny.

Edith była już z mężem na miejscu, lada dzień mieli również przybyć kolejni goście.

Przyjęto ją bardzo ciepło. Theodore uznał, że wyrosła na wyjątkową piękność. On z kolei stał się barczystym mężczyzną z rozwichrzoną, ciemną czupryną i dobroduszną twarzą. Jako dziewczynka ogromnie go lubiła. Teraz też budził w niej sympatię.

- Pewnie chcesz się odświeżyć i przebrać przed obiadem, Susanno oświadczył. Czy mogę ci nadal mówić po imieniu?

- Tylko wtedy, jeżeli pozwolisz mi na to samo, Theodore. Roześmiał się.

Kiedy po obiedzie piła w salonie kawę wraz z lady Markham i Edith, a obydwaj panowie popijali w jadalni portwajn, zaczęły jej się kleić oczy.

- Susanna jest bardzo zmęczona - oznajmiła lady Markham, gdy syn i zięć znaleźli się w salonie. - Myślę, Theodore, że musisz poczekać do jutra.

List. W tym domu leżał gdzieś list, napisany do niej przez ojca. Przyjechała tylko po to, żeby go przeczytać, była niemalże chora z pragnienia, aby to zrobić ale nie dzisiaj. Musi być wtedy przytomna. Musi zebrać wszystkie siły.

- Właśnie miałem powiedzieć to samo - stwierdził Theodore. - Czy ci to odpowiada, Susanno?

- Jak najbardziej. Dziękuję. Dziękuję także za zaproszenie.

- W takim razie porozmawiamy jutro. Lady Markham odprowadziła ją do sypialni.

- Jakże się cieszę, że przyjechałaś! Zawsze czułam, że ta tragedia sprzed lat nie doczekała się należytego wyjaśnienia. Kiedy zobaczyłam cię w Bath, zaczęłam być o tym jeszcze mocniej przeświadczona. Teraz możemy z nią wreszcie skończyć i na nowo zostać

przyjaciółmi. Dobranoc, śpij dobrze.

I rzeczywiście zasnęła tak twardo, że zbudziła ją dopiero służąca, która rozpałała ogień na kominku. Koło łóżka stała parująca filiżanka świeżej czekolady. Co za luksusy! Ale gdy się ubierała, zaszczekała zębami nie tyle z zimna, ile z lęku, co ten ranek przyniesie.

Ale najpierw musiała zejść na śniadanie i zapewnić Edith, że chętnie pójdzie do pokoju dziecinnego, by ujrzeć małego Jamiego.

- Może trochę później, Edith. - Theodore wstał od śniadania, które wlokło się bez końca. - Mamy ze sobą do pomówienia. Susanno, przyniosę ci listy, będziesz je mogła przeczytać, gdzie zechcesz. U siebie, w salonie, bo tam o tej porze zawsze jest pusto, albo w bibliotece. Co wolisz?

Nagle poczuła, że dłuższego czekania nie zniesie. I również wstała.

- Pójdę z tobą, jeśli pozwolisz.

- Oczywiście.

Zawahał się jednak przed drzwiami do pokoju. Od razu zrozumiała, dlaczego. Był to dawny kantor jej ojca. Właśnie tam się zastrzelił.

- Wejść do środka i wyjmę je - powiedział z uprzejmym uśmiechem. - To potrwa tylko chwilę.

- Czy mogę wejść z tobą? - spytała, dotykając jego ramienia. Westchnął dość głośno i otworzył drzwi, przepuszczając ją przodem.

Pokój był boleśnie znajomy, choć jako dziewczynka nie wchodziła do niego zbyt często. Ojciec zawsze zostawiał drzwi lekko uchylone, nieraz mogła wyczuć na zewnątrz zapach skóry i atramentu, a także słyszeć jego głęboki, miły głos, jeśli do kogoś mówił -

najczęściej tym kimś był Theodore. Rozmawiali głównie o koniach, wyścigach i wędkarstwie

- Theodore z zapalem, ojciec cierpliwie i wyrozumiale. Zawsze pragnęła pchnąć wtedy drzwi i znaleźć się w środku razem z nimi. Może ojciec by jej nie wyprosił? Może nawet pozwoliłby sobie usiąść na kolanach? Może - była to całkiem nowa myśl - czuł się opuszczony przez nią

tak samo, jak ona przez niego? Nie, chyba jednak sądził, że jako dziewczynka woli bawić się

z Edith.

Zdała sobie sprawę, że stoi przy biurku, wodząc palcem po oprawionym w skórę

bibularzu. Theodore patrzył na nią w milczeniu. Zdobyła się na niepewny uśmiech.

- Jak dziwnie jest wracać do dawnego życia.

- Chłodno tu - powiedział po chwili Theodore. - Poszukam tego listu, a ty lepiej idź się

gdzieś ogrzać.

Istotnie musiało tu być zimno, skoro nie napalono w kominku, a za oknami świstał

wiatr. Niebo przybrało kolor ołowianej szarości. Lecz mimo że nie miała na sobie ciepłej sukni ani choćby gwiazdkowego prezentu od Claudii - ciepłego szala - nie czuła chłodu.

- Dziękuję, ale chcę go przeczytać na miejscu. Ojciec musiał go napisać na tym biurku, zanim...

Theodore nie protestował. Nachylił się tylko, żeby rozniecić ogień, a potem otworzył

szafę. Gdy się do niej odwrócił, trzymał w ręku złożoną, zapieczętowaną kartę papieru. Mogła dostrzec, że brzegi arkusza pożółkły.

- W takim razie zostawiam cię, a potem, kiedy wrócisz, odpowiem na wszystkie pytania, jakie zechcesz mi zadać. Oczywiście, jeżeli będę znał odpowiedzi. Wiesz pewnie, że byłem wtedy w szkole. Niewiele mi powiedziano. Przeczytałem jednak list do mego ojca i rozmawiałem z matką. - Dziękuję powtórzyła. Gdy wręczał jej list, poczuła, że jednocześnie podaje jej i ten drugi. Schwyciła kurczowo obydwa. Zamknęła oczy i nie otworzyła ich, póki nie usłyszała cichego stuknięcia zamykanych drzwi.

Usiadła ostrożnie za biurkiem i spojrzała na to, co trzymała w ręce.

List do niej leżał na wierzchu. Słowa „Panna Susanna Osbourne” napisane były starannym, płynnym i eleganckim charakterem pisma, który natychmiast rozpoznała. Dłoń mu nie drgnęła ani razu, pomyślała, kładąc drugi list na blacie. Ręce jej się trzęsły. Złamała pieczęć.

„Moja Najdroższa Susanno

Myślisz pewnie, że Cię zostawiłem własnemu losowi, że Cię nie kochałem na tyle, żeby żyć dla Ciebie. Kiedy będziesz starsza, zrozumiesz może, że to nieprawda. Gdybym żył

nadal, moje życie uległoby przerażającej zmianie, a tym samym Twoje także. Zapewne zdołałbym temu stawić czoło, gdybym był sam, jak już zrobiłem, będąc dużo młodszy. Nie mogę jednak narażać Ciebie. Stałem wobec oskarżenia o dwa straszliwe postępk. Jedną z tych zbrodni popełniłem, drugiej nie, lecz moja niewinność w owym drugim przypadku jest bez znaczenia. Nie uwierzono by w nią, skoro byłem winien pierwszej.

Całe moje życie legło w gruzach. Być może zasłużenie. Twoja matka zapłaciła już

wcześniej najwyższą cenę, czas więc, by i mnie to spotkało. Uczynię tak, choć może łudzę się

tylko, próbując u kresu żywota nadać mu jakiś rys szlachetności. Czynię to, byś Ty mogła żyć

w spokoju.

Bo Ty masz rodzinę, Susanno - moją i Twojej matki. Każda z nich przygarnie Cię z chęcią po mojej śmierci. Chciały one zresztą zrobić to już po Twoim urodzeniu, lecz okazałem się zbyt samolubny, by im Cię oddać. W końcu byłaś wszystkim, co mi pozostało.

Zostawiłem sir Charlesowi niezbędne wyjaśnienia. Krewni na pewno potraktują Cię dobrze, gdyż sami są dobrymi ludźmi. Pokochają Cię. Spędzisz z nimi bezpieczne dzieciństwo, zadbają również o Twoją przyszłość. Obiecuję Ci, że tak będzie, chociaż życie wydaje Ci się

pewnie bardzo posępne w chwili, gdy to czytasz. Muszę teraz od Ciebie odejść, moje drogie dziecko. Wierz mi, że kocham Cię i zawsze kochałem.

Twój tata”.

Susanna przesunęła kciukiem po słowie „tata”. Czy kiedyś tak do niego mówiła? Z

pewnością. Dopiero później zaczęła o nim myśleć „ojciec”.

Nigdzie nie było ani słowa o wicehrabinie Whitleaf lub o tym, że śmierć jest lepsza niż życie bez ukochanej kobiety. Ale czy ojciec przyznałby się do tego przed dwunastoletnią

córką?

A przecież kochał wicehrabinę. Widziała ich razem tamtego popołudnia, tuż przed jego śmiercią. Przycupnęła wtedy pod żywopłotem przy drodze z Fincham do wioski. Bawiła się z Edith w chowanego i doszła do wniosku, że ta musiała się już znużyć i że - skoro nie znalazła Susanny - wolała wrócić do domu, żeby na nią poczekać.

Nagle na drodze ujrzała ojca. Szedł obok konia wicehrabiny. Zatrzymali się bardzo blisko miejsca, gdzie siedziała w ukryciu. Zamarła bez ruchu. Nie mogła wyjść z kryjówki, bo musiałaby wtedy wyczołgać się spod żywopłotu. Mogła ich widzieć, ale miała nadzieję, że oni nie widzą jej.

- Nie dbam o nic! - Głos wicehrabiny był pełen pogardy. Pokręciła głową tak mocno, że różowe pióro na kapelusiku amazonki uderzyło ją po uchu. - Nie jesteś dla mnie wart nawet pstryknięcia palcami!

Dopiero w tej chwili do Susanny dotarło, jak piękna jest ta kobieta.

- Przepraszam - ojciec sięgnął po jej dłoń i uniósł ją do ust - bardzo cię przepraszam.

- Owszem, powinieneś przeprosić za to, że ośmieliłeś się sięgnąć tak wysoko - odparła, zabierając gwałtownie rękę - i zuchwale mnie napastować!

- Napastować? - Ojciec odstąpił w tył. - Czy tak właśnie widzisz nasz związek?!

- Właśnie tak! - Wicehrabina spojrzała na niego z wysokości siodła, jakby był nędznym robakiem. - Że też mogłam się w ogóle zniżyć do poziomu nędznego sekretarza!

Mam nadzieję, że złamałam ci serce. Zasłużyłeś sobie na to! Mam też nadzieję, że pchnie cię

to do śmierci! A potem spięła konia ostrogą i pogalopowała przed siebie. Susanna siedziała jak sparaliżowana. Wbiła desperacko zęby w pokryte bawełnianą sukienką kolano. Widziała, jak ojciec przesunął ciężko ręką po twarzy, nim się odwrócił i powoli poszedł ku domowi.

Oprzytomniała, ściskając kurczowo w ręce list. A zatem miała krewnych. Chcieli ją

wziąć do siebie, ale bez ojca. Co takiego uczynił, że się go wyrzekli?

Wsparła czoło o biurko. W głowie miała zamęt. Zdała sobie jednak sprawę, że Theodore wkrótce tu wróci, i uniosła głowę. List od ojca mnożył zagadki zamiast coś

wyjaśnić. Gdzie miała szukać prawdy?

Sięgnęła po drugi, już rozpieczętowany arkusz. Czy warto znać sekrety człowieka, który był jej ojcem? Lecz jakże może się od tego powstrzymać teraz, gdy przeczytała już

pierwszy list? Czy rzeczywistość była inna, niż sądziła przez te wszystkie lata? Może znikła jedna z przeszkód, stojących na drodze do jej małżeństwa z Peterem, choćby nawet pozostało wiele innych?

Rozłożyła przed sobą list do Charlesa Markhama, napisany równie pewną ręką, jak ten do niej.

„Zechciał Pan łaskawie wysłuchać mnie kilka dni temu, gdy wyjawiałem moje długo skrywane, haniebne tajemnice, nim zdołałaby to uczynić wicehrabina Whitleaf. Zawsze gardziłem szantażystami, którzy pragną uchodzić za ofiary. Odmówił Pan przyjęcia mojej dymisji, lecz wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, o co właściwie zamierza oskarżyć mnie ta kobieta i jak wielkie mogłyby się okazać rozmiary skandalu.

Sprawa jest jednak dużo groźniejsza. Dziś, gdy jej pierwotne plany co do wyjawienia ogółowi mej godnej pożałowania historii zostały pokrzyżowane, chce rozgłosić, że ją

napastowałem, a nawet posiadałem przemocą. Uwierzono by temu łgarstwu, po pierwsze, skutkiem prawdziwości pierwszego z mych przewinień, a po drugie, z przyczyny plotek o nas dwojgu, które zeszłego roku zaczęły krążyć po Londynie. Prawdą jest bowiem, iż przez pewien czas pozostawaliśmy kochankami. Moim błędem, jednym ze zbyt licznych, jakie popełniłem, była próba zakończenia tego związku, nim sama wicehrabina zapragnęła go zerwać.

Myśl, że wciągnąłbym Pana, Pańską rodzinę i dom w ten skandal, przejęła mnie zgroza. Nie mógłby mnie Pan dłużej bronić. Zapewne zostałbym oskarżony o przestępstwo.

Nie widzę innego wyjścia. Być może moja śmierć zamknie usta wicehrabinie i zdoła zapobiec skandalowi - prócz tego, który niewątpliwie wywoła samobójstwo.

Nie chcę zwlekać aż do chwili, gdy byłbym zmuszony opuścić Fincham. Istnieje bowiem Susanna. Długo była jedyną treścią mojego życia. Lady Markham i panna Markham zawsze traktowały ją niezwykle serdecznie, za co jestem im niewymownie wdzięczny. Proszę

zatem, by okazali jej Państwo życzliwość i odesłali do mego ojca z załączonym listem. To człowiek honoru, a także wielkiej dobroci. Zapewni jej dom, opiekę, a nawet miłość.

Dziękuję też Panu za przywilej służenia mu...”

Susanna nie doczytała ostatnich zdań. Położyła drugi list na pierwszym. Jej domysły były więc tylko częściowo słuszne. Ojciec istotnie zginął przez wicehrabinę, ale niekoniecznie z miłości do niej. Urywek podsłuchanej niechęcą rozmowy miał nieco inne znaczenie, niż sądziła, ale rezultat okazał się w sumie taki sam.

Zdała sobie sprawę, że od dawna siedzi nad listami, gdy Theodore zastukawszy lekko w drzwi - wszedł ponownie do pokoju. Po całej godzinie, jak się przekonała, spoglądając na zegar.

- Przyniosłem ci herbaty - powiedział, stawiając filiżankę na biurku, a potem rozgarnął

drwa pogrzebaczem, żeby ogień grzał mocniej.

- Co zrobił mój ojciec?

Theodore się wyprostował, nie patrząc na nią.

- Czy jesteś pewna, że...

- Tak. - Owinęła się mocniej szalem, mimo że w pokoju zrobiło się dużo cieplej niż przedtem. - Muszę wiedzieć.

- Twoja matka wyszła niegdyś za starszego brata twego ojca, ale... obydwój, ona i twój ojciec, zakochali się w sobie. Podobno starszy brat dowiedział się o tym i doszło do ostrego starcia, podczas którego on sam zginął. Fatalne zdarzenie uznano za tragiczny wypadek. Moim zdaniem nie mijало się to wcale z prawdą, lecz rodzina wygnała twego ojca z domu. Matka podążyła za nim, a później się pobrali. Poślubienie wdowy po bracie nie jest wprawdzie czynem zabronionym, ale z pewnością źle widzianym. A nastąpiło to ledwie miesiąc po całej historii. Obydwie rodziny wyrzekły się ich. Susanna z trudem sobie uświadomiła, że Theodore mówi o jej rodzicach. Zaciśnęła dłonie tak mocno na brzegu biurka, że aż pobieleły jej kostki palców.

- Po roku twoja matka zmarła. Mój ojciec ją znał. Powiedział żonie tylko tyle, że byli sobie obydwój bardzo oddani. I że jesteś do niej podobna.

Matka zmarła, wydając ją na świat. Zdołała znieść wszystko, skandal, hańbę i powszechną wzgardę, żeby potem umrzeć w połogu.

Ojciec zaś zginął z własnej ręki dwanaście lat później, gdy przeszłość go dosięgła, a przewrotna kobieta zapragnęła zniszczyć mu życie. Susanna z trudem mogła sobie wyobrazić

ogrom winy, z którym musiał żyć przez wszystkie te lata, kiedy go znała. Zawsze był jednak uprzejmy i czuły.

- Mój ojciec rozmawiał po pogrzebie z lady Whitleaf - ciągnął Theodore. Wyparła się

wszystkiego. Twierdziła, że co prawda twój ojciec zachowywał się względem niej zbyt poufale, na co właśnie miała się memu ojcu poskarżyć, ale nic poza tym. Całą sprawę

wyciszono, lecz moi rodzice zawsze ją odtąd traktowali lodowato. Wierzyli w opowieści twój ojca.

Susanna rozprostowała dłonie i przypatrywała się im z uwagą.

- Trzeci list rodzice napisali do twego dziadka, chociaż nie mogli cię już do niego wysłać. Zdaje się, że prowadził poszukiwania na własną rękę, ale zaginął po tobie wszelki ślad, póki Whitleaf nie

odnalazł cię przypadkiem w lecie.

- Ani nie zaginął po mnie ślad, ani on mnie nie odnalazł - odparła spokojnie, popijając herbatę. Bardzo mu była wdzięczna za ciepły napój.

- Och, tak się tylko wyraziłem. Czy mogę cię stąd zabrać do matki i Edith?

- Oczywiście - westchnęła. - Wrócę jutro do Bath, żebyś mógł spokojnie spędzić święta, nie musząc się dłużej mną zajmować.

- Edith byłaby niepokojona. A moja matka poczułaby się dotknięta. Mnie również to nie odpowiada. Pamiętaj, że dziś wieczorem przyjeżdżają inni goście. - Tym bardziej powinnam stąd zniknąć.

- Niekoniecznie. Widzisz, czekam na pułkownika Osbourne'a oraz na wielebnego Claptona z Gloucestershire, twoich dziadków. A także na twoją babkę ze strony ojca.

Susanna znieruchomiała.

- Matka podsunęła mi ten pomysł, jak tylko przysłałaś swoją odpowiedź. Napisałem do nich tego samego dnia, a oni się nie wahali. Przyjeżdżają, żeby cię spotkać.

Przełknęła z trudem ślinę, wydając jakiś gardłowy, brzydki dźwięk.

Odepchnęła filiżankę i spodek zwilgotniałymi palcami.

- Moi dziadkowie? - spytała niemal szeptem. - Nie wiem, czy postąpiłem słusznie, ale pewien jestem, że mój ojciec zrobiłby dla ciebie wszystko, co tylko by mógł, a matka kochała cię niemal jak własną córkę. Czuję, że nie popełnię błędu, robiąc to, o co twój ojciec prosił

mojego. Wolałem tylko zaprosić tu twoich dziadków, niż wysłać cię do nich.

Nie była sama na świecie. Miała dwóch dziadków i babkę, może nawet i innych krewnych. Czytała o tym wprawdzie w liście ojca, lecz dopiero teraz zrozumiała to w całej pełni.

Miała krewnych, którzy przyjeżdżają do Fincham Manor. Zerwała się na nogi, odtrącając krzesło.

- Muszę wyjść! - Gdzie? - Theodore zmarszczył krzaczaste brwi tak mocno, że utworzyły jedną linię. - Gdzieś na powietrze. - Czowała, że się dusi.

- Myślisz o powrocie do Bath? Chyba nie będziesz powtórnie uciekać? Sama nie wiedziała, gdzie ma się podziać. Głowa niemal jej pękała po tym, czego się dowiedziała przez ostatnie dwie godziny. - Chcę tylko na chwilę stąd wyjść. Potrzebuję świeżego powietrza. Nie bierz mi tego za złe. Nie miałam na myśli ucieczki. - Wyjdę z tobą - odparł, nadal zaniepokojony. - Może Edith albo moja matka... - Nie. Muszę zostać sama. I uporządkować

myśli. - Ach, w takim razie rozumiem. Ale potem wróc i się ogrzej. Zrobimy, co tylko można, żeby ci pomóc.

- Dziękuję.

Pobiegła po płaszcz, kapelusz i rękawiczki, szczerze zadowolona, że nikogo nie spotkała po drodze. Gdyby tylko zdołała się jakoś wyślizgnąć na zewnątrz... Tym razem jej się nie udało.

Theodore czekał w holu, zapewne na nią, i rozmawiał z jakimś przybyszem. Przez ułamek sekundy myślała, że może to któryś z oczekiwanych gości, lecz potem zrozumiała, że to wicehrabia Whitleaf.

Spojrzelili na siebie.

Poczuła nagle tak gwałtowną tęsknotę za nim, że o mało nie padła mu w ramiona.

Skąd wiedział, że przyjechała do Fincham Manor?

- Susanna chce się przejść - wyjaśnił Theodore. - Właśnie przeczytała list od ojca.

Zaproponowałem, że z nią pójdę, ale woli zostać sama. Miłego spaceru, Susanno, ja tymczasem zabiorę Whitleafa do matki.

- Może później, Theo. - Peter nie odrywał od niej oczu. - Wyjdę razem z panną

Osbourne, oczywiście, jeśli się zgodzi, żebym jej towarzyszył. Pomyślała o tym, co zrobiła jego matka. Ale on przecież nie był swoją matką. Nagle poczuła, że nie zniesie myśli o samotnej przechadzce i pozostawieniu go tutaj.

- Dziękuję i zgadzam się - odparła i wyszła, nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ 22

Dom wypełniony jest pod dach i aż trzeszczy w szwach - powiedział Peter do Bertiego Lamba, swego ulubionego szwagra.

Tłum gości składał się głównie z krewnych oraz, rzecz jasna, z państwa Flynnów -

Posych, którzy wprawdzie nie byli krewnymi ani powinowatymi, lecz wyraźnie mieli nadzieję

stać się nimi w możliwie najbliższej przyszłości. Arabella Flynn - Posy, siedemnastolatka o czarnych oczach i włosach, była wyjątkowo ładna, mimo że z byle powodu buzia wyginała się jej brzydko w podkówkę. Lady Flynn - Posy ją uwielbiała, jego matka również, a infantylna istotka o kurzym mózdzku doskonale wyczuwała intencje obydwóch.

- Twoja matka jest tym wprost zachwycona, siostry także. A i ja w końcu należę do tego mrowia gości - odparował Bertie. - Bal zaćmi chyba wszystko dokoła!

Matka, rzecz jasna, wcale nie była rada z tego, że postanowił osobiście zaprosić

wszystkich sąsiadów na wielką świąteczną fetę w Sidley Park, nie omawiając projektu z nikim prócz kucharki, kamerdynera i gospodyni, bezpośrednio zaangażowanych w przygotowania. Lady Whitleaf miała się o wszystkim dowiedzieć na końcu.

Może niezupełnie na końcu.

Nie wybrał się jeszcze do Fincham Manor, kiedy jej o tym powiedział. Źle by się

stało, gdyby akurat Markhamowie nie mogli - lub nie chcieli - przyjść na zabawę, bo jak przyznawał się w duchu, urządził ją w gruncie rzeczy tylko dla nich. Zresztą i to niezupełnie.

Bal był bowiem przeznaczony dla Susanny.

W ciągu ostatnich kilku tygodni przekonał się, że miłość nieprędko gaśnie ani też nie słabnie od razu. Przygnębiłoby go jednak, gdyby ta prawda wyszła na jaw. Miał nadzieję, że zdoła się jakoś trzymać z dala od Susanny i że nieoczekiwanie nie wpadną na siebie wcześniej.

I cóż zrobił, żeby urzeczywistnić to niezwykle rozsądne postanowienie? Urządził dla niej imponujący bal. A potem wybrał się do Fincham, żeby ją zaprosić. Osobiście, rzecz jasna, bo wiedział, że ona musi tam już być.

A teraz, ledwie kilka minut później, pospiesznie wychodził z dworu w Fincham.

Zaproszenie przekazał Theodore'owi, a nie - jakby należało - osobiście lady Markham i Edith.

Z tym mógł poczekać.

Susanna go potrzebowała. Albo przynajmniej wmówił to sobie.

Zmieniła się. Twarz miała bladą i ściągniętą, oczy podkrążone. Pewnie z powodu tego, co przeżyła, czytając listy. Robiła wrażenie osoby, która nie wie, dokąd iść.

- Chodźmy ku stajniom - powiedział. - Chyba nie wyprzęgnięto jeszcze koni z mojej kariolki. Pozwól mi cię zabrać na przejażdżkę.

- Chętnie - odparła, nie patrząc na niego. - Och, bardzo chętnie. Nie tak to sobie wyobrażał wcześniej. Poszli w milczeniu ku stajniom, gdzie istotnie konie nadal były zaprzężone do powoziku.

Pomógł jej wsiąść, zajął miejsce tuż obok i ruszyli. Przypomniawszy sobie ich poprzednią

jazdę kariolka w dniu wizyty u panny Honeydew. Chciał spojrzeć na twarz Susanny, ocienioną kapeluszem, ale patrzyła w inną stronę.

Gdy tylko wyjechali na drogę, ponaglił konie do szybkiego biegu. Czuł wyraźnie, że Susanna chce jak najprędzej znaleźć się z dala od Fincham, choćby na krótko.

Spojrzała w końcu na niego, z policzkami nieco już zaróżowionymi od chłodu. I nagle się uśmiechnęła.

Popędził konie jeszcze energiczniej.

- Nie masz czasami ochoty na wyścig do Brighton i z powrotem?

- spytał.

Tym razem roześmiała się z tak radosnym błyskiem w oczach, że utrzymał szaleńcze tempo przez najbliższe parę minut, koncentrując się wyłącznie na nim. Wcale nie chciał

zajeździć koni, lecz nigdy jeszcze nie jeździł z taką szybkością, mając za towarzyszkę

jakąkolwiek damę.

- Och, jak cudownie! - zawołała.

Wiedział, że jest w tej chwili bliska historycznego wybuchu, ale nie mógł jej dać nic innego prócz tej iluzji ucieczki.

W końcu jednak zwolnił. Nie była to ani odpowiednia pora, ani droga, ani pogoda żeby pędzić na łeb, na szyję.

- Opowiedz mi o świątecznym koncercie.

- Udał się, jak zresztą zawsze, chociaż za każdym razem obawiamy się jakiejś

katastrofy. Nic takiego nie nastąpiło, nie licząc kilku drobnych potknięć. Założę się zresztą, że publiczność wcale ich nie zauważyła, bo w takich wypadkach bywa zawsze dość

wyrozumiała i pragnie się po prostu bawić. Przyszło bardzo dużo ludzi. Cieszyłam się z tego ogromnie ze względu na dziewczęta.

Opowiedziała mu też o przedstawieniu, chórze, tańcach, szopce, którą panna Thompson zdołała urządzić w ostatniej chwili, i nagrodach rozdanych przez Claudię.

- Czy panna Thompson zostaje w szkole?

- Chyba już na stałe. Mam nadzieję, że czuje się w niej dobrze, podobnie jak my wszystkie. Zaprzyjaźniła się zwłaszcza z Claudią. Są chyba w zbliżonym wieku.

Po chwili zwróciła ku niemu twarz.

- Osiadłeś ostatecznie w Sidley Park?

- Tak. Przecież radziłaś mi, żebym to zrobił. Przyjechałem tu prosto z Bath i nie ruszałem się stąd od

tego czasu.

Patrzyła na niego w milczeniu, tymczasem on nie spuszczał oczu z drogi.

- Pokłóciłem się nawet z moim rządcą. Coś mu zaproponowałem, a on mnie nawet nie chciał wysłuchać, jakbym wciąż miał kilkanaście lat. Popatrzyłem wtedy na niego i powiedziałem, że nie lubię, gdy ktoś mi przerywa w połowie zdania. Zaniemówił, a potem słuchał mnie pilnie. Zrobił nawet drobną uwagę, całkiem zresztą słuszną, no i w końcu doszliśmy do porozumienia. Może mi się zdaje, ale czuję, że odtąd darzy mnie znacznie większym respektem. - To wspaniale! Szkoda, że mnie przy tym nie było. Dokąd właściwie jedziemy?

Przedtem sądził, że po prostu jeżdżą bez celu po okolicach Fincham, lecz teraz nagle zrozumiał, że zmierza prosto ku Sidley. Choć w tym samym momencie dotarło do niego, że nie kieruje się ku pałacowi.

- Sam nie wiem. Chcesz już wracać?

- Nie.

- W takim razie zawiozę cię do wdowiego domu. Tam będzie ci cieplej. Nikt w nim teraz nie mieszka, ale jest dobrze utrzymany. Rozpalimy ogień na kominku i się ogrzejemy. A ty mi opowiesz, co było w liście. Albo i nie. Jak sobie życzysz. Możesz tam być tak długo, jak tylko zechcesz. Sama albo w moim towarzystwie.

- Jesteś bardzo uprzejmy.

Nie było już między nimi więcej śmiechu ani wesołej pogawędki. Uspokoila się.

Ominął podjazd przed Sidley i skręcił niemal natychmiast w wąską, wysadzaną drzewami dróżkę do wdowiego domu.

- Jest bardzo ładnie położony - uznała.

- Tak - zgodził się, prowadząc ją do bawialni. - Lubię go nawet bardziej od pałacu.

Czułem się w nim zawsze jak u siebie.

Bawialnią była zarazem biblioteką z regałami pełnymi książek, głównie jego ulubionych lektur z czasów dzieciństwa. Duża sofa i fotele, obite miękką, starą skórą, mogły się wydawać staromodne, ale były bardzo wygodne.

Przyklęknął przed kominkiem, nie zdejmując płaszcza. Rozniecił ogień.

- Podejdz i ogrzej ręce - powiedział.

- Podoba mi się tu - odparła, stając tuż koła niego. Wyciągnęła dłonie ku płomieniom.

- Naprawdę? - Czemu się zdawało, czy też jej rumieńce stały się mocniejsze?

Spuściła oczy, rozpięła okrycie, chociaż nie zdjęła go z siebie, i siadła w fotelu przy kominku. Peter zrzucił ciężki zimowy płaszcz i zajął drugi fotel, po przeciwnej stronie. Nagle przyszło mu na myśl, że są tu zupełnie sami, wbrew wszelkim zasadom przyzwoitości.

W takim razie do diabła z przyzwoitością!

- Cieszy mnie, że w końcu przeczytałaś ten list, w dodatku w Fincham.

Przez chwilę pocierała palcami skronie, wpatrując się w kolana.

- Nie zdawałam sobie sprawy, jak osobistą rzeczą jest charakter pisma. Okazał się tak samo znajomy, jak jego twarz. Poczułam się, jakbym patrzyła na niego kilka minut przed śmiercią.

Peter milczał.

- Kochał mnie - ciągnęła. Popatrzyła mu w twarz i opuściła rękę.

- Oczywiście, że cię kochał.

- Uznał, że jego śmierć będzie dla mnie najlepszą rzeczą. Groziła mu niełaska, a może i coś gorszego. Wybrał śmierć ze względu na mnie. Czy możesz sobie wyobrazić coś bardziej szaleńczego?

Przymknęła oczy. Dojrzał w nich łzy.

- W jaki sposób mogłam skorzystać na jego śmierci? Chciał zabezpieczyć mój los!

- Zabezpieczyć?

- Och, Peterze, dzisiaj do Fincham mają przyjechać moi dwaj dziadkowie i babka. Są mi całkowicie obcy! Co mam począć?

Pomyślał o dwunastoletnim dziecku, które starało się w Londynie o pracę. I o tym samym dziecku posłanym do szkoły w Bath z łaski dobroczyńcy. Jakże inaczej wyglądałoby jej życie, gdyby poczekała. Tylko że nigdy by jej wtedy nie poznał.

- Gdybym był na twoim miejscu, po prostu spotkałbym się z nimi. Nie snuj żadnych planów. Pozwól, żeby narodziła się między wami więź. To w końcu twoi krewni.

- Tak się boję.

- Oni pewnie też.

- Nie pomyślałam o tym.

- Jeśli przyjeżdżają w środku zimy z tak daleka tylko po to, żeby cię spotkać, to już

wiele o nich mówi.

- Och! - Westchnęła i przymknęła oczy. Pozwolił jej odpocząć i poruszył kłody drewna pogrzebaczem. Ogień zatrzeszczał w kominie.

- Wygnali go z domu - odezwała się, nie otwierając oczu - bo pokochał żonę brata, a potem zabił go podczas kłótni. Ale ona poszła za nim. I pobrali się.

- Twoja matka?

- Tak. Myślę, że to musiała być wielka i bardzo bolesna miłość. Pełna poczucia winy.

Nie wiem, czy choćby przez chwilę byli szczęśliwi.

Zapewne miała rację. William Osbourne, jakiego pamiętał, z pewnością nie miał w sobie nic z nieczułego brutala.

- Napisał - ciągnęła - że moja matka zapłaciła za to najwyższą cenę, umierając w połogu, a potem nadeszła kolej na niego.

- Dlaczego właśnie wtedy? Dlaczego po dwunastu latach?

Myślał już, że mu nie odpowie, a nie chciał nalegać. To były jej prywatne sprawy. Nie miał prawa o nie pytać. Niech sama zdecyduje, czy o nich mówić. Odezwała się jednak po pewnym czasie.

- Tajemnica ojca wyszła na jaw. Wyznał ją co prawda wcześniej sir Charlesowi Markhamowi, bo ktoś go szantażował groźbą ujawnienia jej. Ale potem ta... ta osoba postanowiła go zniszczyć, rozsiewając o nim kłamliwe plotki. Z pewnością dano by im wiarę, zważywszy na jego przeszłość.

Widocznie zrobiła to jakaś wzgardzona kobieta. Susanna najwyraźniej chciała powiedzieć „ona”, a dopiero potem wybrała bardziej neutralne słowo „osoba”. Biedny Osbourne! Pragnął znaleźć ukojenie w ramionach innej, a kosztowało go to życie.

Susanna powiedziała, że groziła mu niełaska, a może i coś gorszego. Co mogło być

gorsze od niełaski? Może oskarżenie o gwałt?

- Czy to nie dziwne - podjęła znowu - że jeden z moich dziadków stracił obu synów, a drugi córkę? Okoliczności tych wydarzeń musiały im sprawić wiele bólu.

- A potem stracili ciebie, bo zniknąłeś.

- Theodore mówił, że szukali mnie, ale nie znaleźli. Przesunęła dłońmi po twarzy.

Dopiero po chwili zrozumiał, że ona wprawdzie nie płacze, lecz powstrzymywanie łez kosztuje ją wiele trudu. Wstał z fotela, ściągnął z niej płaszcz, wziął w objęcia i usiadł na sofie, sadzając ją sobie na kolanach. Wsparł jej głowę na swoim ramieniu, a ona wtuliła w niego twarz, wciąż zasłoniętą

rękami, i płakała.

Wiedział, że opłakuje teraz jedenaście lat samotności, matkę, ojca, dziadków, a może nawet zmarłego stryja. I że płacze nad sobą. Objął ją i pozwolił wylać wszystkie łzy, a potem podał jej chustkę.

- Czy wiedziałeś, że jestem w Fincham?

- Oczywiście. Po cóż bym tam przyjeżdżał?

- Theodore mówił coś o zaproszeniu dla jego matki.

- To zaproszenie dla wszystkich, a zwłaszcza dla niej. Na bal wigilijny w Sidley. W

domu jest pełno gości, którzy przybyli z daleka, a ja zaprosiłem też wszystkich sąsiadów. To pierwsze wielkie przyjęcie, jakie wydaję w Sidley. Musisz na nim być.

- Och, nie! - Usiadła na sofie. Była przerażona. - Nie mogę zrobić czegoś takiego. -

Spojrzała na niego ze strachem.

- Ależ możesz. Przecież to przyjęcie jest dla ciebie. Myślałem, że będziesz ze mnie dumna. Zabiłem w końcu tego smoka, chociaż był, prawdę mówiąc, niezbyt wielki. Tak czy inaczej dałem mu radę. Nie odmawiaj mi. Jako gospodarz musiałbym wtedy przez cały wieczór tańczyć walca z kimś innym niż ty.

- Och, Peterze!

- Powiedz, że nie chcesz, żebym przez całą noc tańczył walca z kim innym.

- Peterze...

- No, powiedz to.

- Nie mogę nawet znieść myśli o czymś podobnym.

- Susanno...

Otworzyła oczy, wciąż jeszcze zaczerwienione od płaczu, i spojrzała na niego uważnie.

- Nie zniosę tego... - powtórzyła, lecz on nie wiedział, czy mówi o walcu, czy o czym innym. Poglądził ją po kasztanowatych lokach, przyciągnął ku sobie i pocałował.

W tejże chwili zrozumiał, że miłość nigdy nie umiera, nigdy nie blaknie. Może kiedyś

poślubi kogoś innego i nawet będzie względnie szczęśliwy, ale jego pierwszą, prawdziwą miłością pozostanie Susanna.

Nie miał jednak zamiaru myśleć o tej innej osobie i o względnym szczęściu z nią. Nie zamierzał poddawać się bez walki. Nigdy jeszcze nie czuł się bardziej rycerzem pragnącym uśmiercić smoka. Pięć lat temu cofnął się przed tym, lecz teraz stoczy z nim walkę na śmierć i życie, jeśli Susanna ma być nagrodą.

A nawet jeśli nią nie będzie.

- Chodź ze mną na górę - zaproponował nagle, nieoczekiwanie dla siebie samego. -

Nie ma tam ognia na kominku, ale są ciepłe kołdry. Pozwól, żebyśmy się tam kochali.

Jeśli powie: „Nie”, wszystko przepadnie. Bo prosił ją nie tylko o fizyczne zaspokojenie, ale też o miłość. I ofiarowywał jej własną. To było wszystko, co miał. Czy ona o tym wie? Czy go zrozumie?

- Tak - odpowiedziała.

ROZDZIAŁ 23

Oczywiście, mogła powiedzieć: „Nie”. Doskonale wiedziała, na co wyraża zgodę. Na przyszłą udrękę i nieobliczalne konsekwencje. Wiedziała też, że później, przed jej powrotem do Bath, on jej się znowu oświadczy. I że ona znowu mu odmówi. I że to, co on do niej czuje, jest czymś więcej niż tylko sympatią. Wiedziała, że odmowa go zrani. Ale nie dbała o nic.

- Tak - powtórzyła i wstała.

Zasłonił kominek ekranem i ujął ją za rękę. Opuścili bawialnię i przeszli bez słowa szerokimi schodami na górę. Minęli wiele zamkniętych drzwi, póki nie otworzył jednych z nich. Wiodły do frontowego pokoju, niewątpliwie głównej sypialni, całkowicie umeblowanej, podobnie jak bawialnię na dole. Łóżko było zasłane.

- Susanno - Peter wziął ją za rękę - jesteś pewna, że tego chcesz?

Była pewna. Nigdy nie była czegoś pewniejsza. Kochała go. Pozwoliła mu się

rozebrać - najpierw z sukni, potem z pończoch, na końcu z bielizny. Było coś niesłychanie erotycznego w zimnym pokoju i w jego ciepłych palcach. Ramiona pokryła jej gęsia skórka, częściowo z chłodu, częściowo z napięcia w oczekiwaniu na to, co miało nastąpić.

- Jesteś taka piękna - szepnął z ustami tuż przy jej ustach. - Taka piękna.

Usiłowała rozwiązać mu halsztuk. Szło jej opornie, póki nie odkryła sposobu.

Ściągnęła mu z ramion płaszcz, który leżał na podłodze. Rozpięła guziki kamizelki, która podzieliła los wierzchniego okrycia. Uniósł ręce, tak by mogła ściągnąć mu koszulę przez głowę. Nie był ani barczysty, ani potężnie umięśniony, lecz smukły i piękny. Powiodła dłońmi po jego piersi.

Czuła, jak rośnie w niej pragnienie, jak twardnieją piersi. Wstrząsnął nią dreszcz.

- Zajmę się resztą odzienia - powiedział. - Trzęsiesz się z zimna. Okrył ją po szyję

ciężką kołdrą, nim zdjął spodnie, buty i bieliznę.

Nie odwrócił się, dopóki nie skończył. Wreszcie spytał z uśmiechem:

- Jest tam ciepło?

- Zaraz będzie.

- Z pewnością - przytaknął, kładąc się przy niej. - I to bardzo szybko.

Uniósł się na łokciu i spojrzał na nią, widząc jej twarz tuż koło swojej.

- Chciałbym mieć tyle cierpliwości, by pozwolić, żebyśmy obydwójce leżeli tak przez całą godzinę, ale wątpię, czy to w ogóle możliwe.

- Nie. Pragnę cię zbyt mocno. - Policzki ją zapiekły po tych śmiałych słowach.

A jednak to był szok - chociaż wspaniały - kiedy nakrył ją swoim ciałem, mocno objął

i zagłębił się w nią jednym mocnym ruchem - płynnym, bo była już na niego gotowa. Tym razem nie poczuła żadnego bólu.

Zaczerpnęła głęboko tchu i wparła się stopami w łóżko, żeby mógł wnikać w nią

głębiej. Tak, była na niego gotowa, a on na nią. Oby się to za szybko nie skończyło!

- Nie chciałbym teraz być w żadnym innym miejscu na całej ziemi - powiedział, nim ją pocałował. - Kochajmy się.

I robili to. Wsparł głowę na poduszce tuż koło niej, poruszając się w jednostajnym, ciągłym rytmie. Wiedziała już, co teraz nastąpi, i potrafiła dostosować się do tego rytmu, poruszając biodrami.

Trwało to długo, tak długo, aż ich oddechy gwałtownie przyspieszyły, a ciała pokrył

pot. Można by po prostu zemdleć z rozkoszy, pomyślała, póki satysfakcji nie przesłoniło coś

innego. Najpierw było to jakby klucie, później coś, co graniczyło wręcz z bólem i rozszerzyło się stopniowo na całe ciało. A później poczuła ból - dziwny, nie do zniesienia, który wcale nie przyczyniał jej cierpienia, tylko że...

Tylko że nie dało się tego wyrazić żadnymi słowami.

Usłyszała własny jęk.

Rytm ruchów Petera zmienił się teraz, stały się szybsze i docierały głębiej. Objął ją

ramionami tak mocno, że nie mogłaby mu uciec. Zamarła, przyłgnąwszy do jego ciała.

Wszystkie mięśnie miała napięte do ostateczności.

A wtedy coś rozkwitło wewnątrz niej, rozwarło się niczym płatki róży i falowało, póki nie poddała się uldze z okrzykiem zaskoczenia.

- Och! - zawołała.

Nie wiedziała, że może w ogóle istnieć podobne doznanie.

Zdała sobie sprawę, że jego ruchy ustały. Ciągle jeszcze był w niej, twardy i napięty.

Zatrzymał się, żeby mogła to przeżyć.

Czuła się słaba i cudownie wyczerpana, ale objęła go z całej siły i pocałowała w policzek.

Sięgnął po swoją satysfakcję prędko i skwapliwie. Poczwała w sobie ciepło tego spełnienia i pogładziła go po zwilgotniałych włosach.

Usnęli obydwójce.

Peter przebudził się i w jakiś niewytłumaczalny sposób odkrył, że tkwi nadal w jej objęciach. Trzymała go w ramionach, wtulając głowę w zagłębienie między jego szyją a ramieniem. I wciąż jeszcze spała.

Obudziła go jakaś myśl, a właściwie wspomnienie. Kiedy wraz z Theo uczyli się w kantorze Osbourne'a pisać biurowym atramentem, matka weszła tam bez pukania. Wyglądała wtedy na zaskoczoną, a potem zbeształa go za to, że nie było go w pokoju Thea. Wtedy myślał, że szukała właśnie jego.

Teraz, choć minęło już tyle lat, uznał nieoczekiwanie, że gdyby istotnie tak było, to z pewnością na jej twarzy malowałaby się wówczas ulga lub może irytacja, ale nie zaskoczenie.

No i dlaczego nie zastukała? Prawda, że chodziło tylko o kantor sekretarza, lecz mimo wszystko również i mężczyzny. A kantor ten znajdował się w prywatnym domu, który nie należał do jego matki.

Dlaczego właściwie zastanawia go taka błaźnina? Czemu nagle go przebudziło nieistotne wspomnienie? Czy dlatego, że ciągle myślał o Williamie Osbourne? Ziewnął, wtulił nos we włosy Susanny i lekko je ucałował, a potem uniósł gwałtownie głowę.

Niech to licho! Czyżby właśnie matka... Nie, niemożliwe! Osbourne, chociaż człowiek dobrze urodzony, był przecież tylko sekretarzem Markhama, a ona... jakąż wagę

przywiązywała do swojej wysokiej pozycji! Nigdy by nie...

Owszem, mogła to zrobić.

Osbourne był wyjątkowo przystojny, na co Peter jako chłopiec nie zwracał uwagi.

Lecz gdy go sobie teraz usiłował przypomnieć, musiał stwierdzić, że cechowała go także pewna godność.

Matka czuła się samotna. Wiedział o tym. Powiedziała mu to przecież sześć lat później. Pięć lat temu. A Osbourne też musiał być samotny.

Oczywiście to coś, co mogło się między nimi zrodzić, musiałyby zaistnieć z jego inicjatywy. Matka by go do tego nie ośmieliła. Zapewne zarzuty, które doprowadziły go do śmierci, były prawdziwe.

Nikt jej jednak nie zmuszał, żeby pędem wbiegała do jego kantoru. Teraz mu się

nawet zdawało, że nim na jej twarzy ukazało się zaskoczenie, widniało tam gorące pragnienie, choć nie mógł w żaden sposób stwierdzić, czy tak było naprawdę.

Do diabła, co za problem! Czy nie ponosi go wyobraźnia?

Widział jednak matkę z Granthamem - ojcem Berthy - pięć lat temu. A to już nie był

wytwór imaginacji. Nie pamiętał, po co wtedy wszedł niespodziewanie do jej pokoju w Sidley. Rzecz jasna, zastukał, choć lekko. I zobaczył ich. Nawet się nie pofatygowali, żeby zamknąć drzwi na klucz.

Krew zaczęła mu pulsować w skroniach. A jeśli nie był to odosobniony incydent?

Nawet jeśli go o tym uroczyście zapewniała?

A jeśli to ona doprowadziła Osbourne'a do śmierci? Teraz zaś trzymał w ramionach jego córkę. I zamierzał się z nią ożenić, jeśli go tylko zechce.

Zbudziła się. Otworzyła oczy i spojrzała na niego sennie, lekko zaróżowiona.

Jakże on ją kocha! Zaskoczyła go siła tego uczucia.

Czy wiedziała o wszystkim dużo wcześniej, nim jeszcze przeczytała ten list? Jeśli się nie mylił w swoich przypuszczeniach, to pewnie dlatego...

O Boże, oczywiście, że dlatego! Przecież wtedy, gdy ją zobaczył po raz pierwszy...

Ależ był z niego osioł! Właśnie w tej chwili musiała usłyszeć, jak brzmi jego tytuł! I cofnęła się przed nim z wrogością.

- Mm... - mruknęła i pocałowała go w podbródek, a potem w usta, kiedy nachylił się

над nią. Ale teraz przed nim nie ucieka. Może więc jego domysły nie są już takie istotne...

- Mm... - mruknął i on, pocierając swoim nosem o jej nos. - Czy nie powinniśmy wracać? Zniknęliśmy na bardzo długo. Zamierzał oświadczyć się jej po raz drugi, kiedy będzie po wszystkim. Powziął to postanowienie jeszcze na dole, w bawialni, gdy tylko usłyszał jej: „Tak”. Chciał się z nią kochać do upadłego, a potem, kiedy jeszcze dobrze nie oprzytomnieje, powiedzieć jej to podczas rozmowy po przebudzeniu. I ogłosić potem uroczystie podczas wigilijnego balu.

Tylko że ona nigdy za niego nie wyjdzie, skoro jego matka była kochanką jej ojca i próbowała go szantażować, a potem przywiodła do śmierci. Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby jej przedstawił córkę Williama Osbourne'a jako przyszłą żonę. W jakiś dziwny sposób czuł bowiem, że jego domysły są słuszne.

- Wiedzą, że pojechałaś ze mną. I pewnie wiedzą również, że moją kariatka. Domyśla się, że zabrałem cię do Sidley i że pewnie zostałaś na obiedzie, a potem na popołudniowej wizycie.

- Dlaczego tak często wyobrażam sobie siebie uciekającą i poszukującą wolności? Raz już uciekłam i, jak się zdaje, źle zrobiłam. Ale dzięki temu znalazłam się w Bath, gdzie byłam szczęśliwa. Dlaczego miałabym uciekać od szczęścia? - Może nie jest ono jeszcze tym szczęściem, którego pragniesz, potrzebujesz. O którym marzysz? Uciekłbym razem z tobą na koniec świata, gdybym uznał, że będziemy żyć odtąd długo i szczęśliwie. Naprawdę chciałem wtedy w lecie jechać z tobą do Walii. A przynajmniej myślę, że mówiłem wtedy poważnie.

Nigdy już jednak nie będę od ciebie żądać czegoś podobnego.

- Dlaczego?

- Bo nie można zyskać szczęścia dzięki ucieczce. Trzeba na nie ciężko zapracować. I właśnie z tego powodu tuż po wyjeździe z Bath postanowiłem żyć we właściwy sposób. Nie pytaj mnie, co mam zamiar w tym celu robić albo jak w końcu zabiję tego smoka i nauczę się

lubić samego siebie. Może wtedy będę mógł ci zaoferować coś więcej niż błahą galanterię.

- Nie żałuję swojej pierwszej ucieczki - odparła na wpół z uśmiechem, na wpół ze łzami. - Gdybym tego nie zrobiła, nigdy bym cię nie spotkała. Ale nie będę już więcej uciekać

i wrócę do Fincham, żeby spotkać się z moimi dziadkami, mimo że będzie to jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakie mnie czekają. A po świętach wrócę do Bath i dołożę starań, żeby zostać najlepszą nauczycielką.

- Nie żałujesz, że spotkaliśmy się latem?

- Nie.

- Ja także nie.

- Ale muszę wrócić do Fincham. I to zaraz.

Uniosła się na łokciu i nachyliła, żeby pocałować go w policzek, potem znów w podbródek, a na

końcu w usta.

Gdyby nawet ktoś nasłał na niego całą hordę ziejących siarką smoków, pokonałby je teraz gołymi rękami.

Ale to jeszcze nie był koniec.

To już koniec, pomyślała Susanna, gdy kariolka skręcała ku Fincham Manor.

Och, całkiem możliwe, że go jeszcze później zobaczy. Może nawet pójdzie na bal w Sidley, o którym wcześniej wspomniał, choć dotąd o tym nie myślała. Ale tego dnia to był

koniec. Koniec romansu bez przyszłości. A także początek czegoś innego. Miała się spotkać z trojgiem krewnych, podczas gdy przez jedenaście lat sądziła, że nie ma nikogo na świecie.

Czy zdołają ją polubić? Czy nie będą jej mieli za złe, że jest owocem małżeństwa, do którego nie powinno było dojść? A jednak przyjeżdżali. Tak czy owak.

A czy ona zdoła ich polubić? Co ma im powiedzieć na powitanie?

- Zdaje mi się - powiedział Peter - że goście już przybyli. Istotnie, przed stajnią stał

duży, staromodny powóz. Zrobiło się jej mdło ze strachu.

- Boisz się? - spytał, spoglądając na nią.

- Bardzo. - Otuliła się mocniej płaszczem.

- Czy to nie dziwne, że życie może przez całe lata płynąć spokojnie, a potem nagle, bez widocznego powodu, ulega gwałtownym zmianom? Spotkało nas to oboje, choć w odmienny sposób, lecz zaczęło się w tym samym momencie pewnego spokojnego, letniego popołudnia, na rozdrożu w Somerset. W tak z pozoru niewinnym otoczeniu! I w końcu stanęłaś wobec bolesnej próby. Nie ma ona co prawda nic wspólnego ze mną, lecz czy mógłbym stawić jej czoło razem z tobą?

- Tak, bardzo cię proszę - szepnęła, gdy zatrzymał kariolkę tuż przed drzwiami i zeskoczył, żeby jej pomóc zejść.

Kilka chwil później, gdy wchodziła do domu, uznała, że należało raczej powiedzieć:

„Nie”. Być może dziadkowie z niechęcią zareagują na jego tytuł, podobnie jak ona sama latem. Było jednak za późno. A poza tym myśl, że musi się z nim pożegnać i wejść do salonu bez niego, w pojedynkę, była nie do zniesienia.

Goście czekali już na nią, jak oznajmił kamerdyner, odbierając od niej płaszcz i kapelusz. Susanna wygładziła suknię i wstrząsnęła lokami. Kamerdyner wskazał jej drogę.

Nie wzięła tym razem Petera pod ramię, bojąc się, że przylgnie do niego kurczowo. To było coś,

przez co musiała przejść sama. Nawet jeśli zgodziła się, by jej towarzyszył.

Lady Markham, Edith, Lawrence Morley, Theodore - wszyscy zgromadzili się w salonie. Zobaczyła ich, gdy tylko weszła do pokoju. Prócz nich było tam jeszcze troje nieznanych jej ludzi, którzy na jej widok wstali. Theodore podszedł do niej.

- Susanno - rzekł, ujmując jej dłoń - poznaj pułkownika Osbourne'a i jego żonę oraz wielebnego Claptona, twoich dziadków.

Dama naprzeciw niej, tak szczupła, że robiła niemal wrażenie wychudzonej, miała siwe, starannie uczesane włosy, pełną zmarszczek twarz i dobrotliwą minę. Pułkownik, barczysty, wysoki i wyprostowany jak struna, był łysy. Gęste, siwe wąsy zasłaniały mu kąciki ust, sięgając niemal do podbródka. Bardzo dystyngowany, wyglądał niczym postarzała kopia jej ojca. Pastor nie dorównywał mu ani wzrostem, ani tuszą. Szpakowaty, w okularach, wspierał się na lasce.

A więc to są jej dziadkowie. Złożyła im ukłon.

Nagle siwa dama ruszyła zwawo ku niej z wyciągniętymi rękami.

- Susanno! Och, moje dziecko, poznałabym cię wszędzie! Wyglądasz zupełnie jak matka, choć trochę też przypominasz ojca. Wiedziałam, że żyjesz. Powtarzałam to przez całe lata. Teraz wiem, że się nie myliłam!

Podbródek zaczął jej się nagle trząść, a w oczach zabłyśły łzy.

- Proszę nie płakać, madame... - Susanna ledwie zdołała wydobyć z siebie głos.

- Babcia! Jakaż tam znów madame. Po prostu babcia!

- Babcia - powtórzyła za nią Susanna.

A potem padła z płaczem w objęcia tej obcej damy, która wcale nie była kimś obcym, tylko matką jej ojca.

Peter odchrząknął, choć nie dlatego, że chciał zwrócić na siebie uwagę. To samo zrobił wielebny Clapton, wspierając się na lasce, tym razem obydwoma rękami. Lady Markham i Edith promieniały, rozanielone. Lawrence Morley był wręcz w ekstazie. Theodore uśmiechał się dobrodusznie.

Pułkownik wyciągnął zaś z kieszeni ogromną, białą chustkę i wysiakał w nią nos tak hałaśliwie, że zdołałby zbudzić umarłego.

ROZDZIAŁ 24

Bardzo dobrze robisz - matka usadowiła się w najlepszym z foteli, który Peter przysunął właśnie do kominka w bibliotece - że chcesz sobie pogawędzić ze mną w cztery oczy. Zbyt rzadko się to zdarza.

Siadł w fotelu naprzeciwko. Poprosił ją o rozmowę w bibliotece, kiedy niemal wszyscy położyli się

spać i tylko kilkoro młodych ludzi wciąż jeszcze bawiło się w pokoju muzycznym.

- Czy jest ci ciepło, mamo?

- Tak. Kochanie, postąpiłeś bardzo nieładnie, wyjeżdżając rano z domu tylko po to, żeby wręczyć zaproszenia, i wracając tak późno. Dobrze jednak, że asystowałeś pannie Flynn

- Posy przez cały wieczór. Jest urocza, prawda?

- Bardzo. I bez wątpienia stanie się wkrótce czyjąś oddaną żoną. Tylko że nie moją.

Zaskoczyła ją jego stanowczość, lecz z uśmiechem wsparła się na poduszkach.

- Może zmienisz zdanie w najbliższych dniach? - Nie zmienię. Już sobie wybrałem żonę.

Spostrzegł, że spojrzała na niego z wyraźnym zaciekawieniem.

- Co takiego?

Wyprostowała się w fotelu i złożyła ręce na podolku.

- Nie jestem tylko pewien, czy ona mnie zechce.

- Ależ oczywiście, że zechce, obojętne, o kogo chodzi! Przecież wiesz, że jesteś jedną z najlepszych partii...

- To Susanna Osbourne.

- Kto? - Matka opadła na poduszki. Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Córka Williama Osbourne'a. Kocham ją i zamierzam poślubić, jeśli tylko się zgodzi.

Spotkałem ją latem w Somerset, a potem w Bath, gdzie byłem z Lauren i Kitem na przyjęciu weselnym Sydnama Butlera. Widziałem się też z nią dzisiaj. Przyjechała do Fincham Manor na święta, jej dziadkowie również, żeby ją poznać. Zaprosiłem ich wszystkich na bal wigilijny.

Matka zwilżyła językiem wargi i, jak zauważył, kurczowo ścisnęła rękami poręcze fotela.

- Widocznie chce się za wszelką cenę wydać za ciebie. Jej odmowa może być tylko chytrym wybiegiem. Nie możesz chyba poważnie...

- Latem nie chciała mieć ze mną do czynienia, kiedy tylko usłyszała, jak się nazywam.

Matka bezgłośnie poruszyła wargami.

- Mamo... - zaczął, choć zdobył się na to z najwyższym trudem - Co cię łączyło z Williamem Osbourne'em?

- Mnie? Doprawdy, Peterze, to z twojej strony impertynencja. Pamiętaj, że jestem twoją matką, mimo że już dorosłeś.

- Był twoim kochankiem?

- Jak śmiesz?!

- Tak samo, jak Grantham, prawda? Wtedy mówiłaś mi, że zdarzyło się to po śmierci ojca jeden jedyny raz i że byłaś wtedy bardzo samotna. A jednak musiałaś z nim romansować

długo. Ujrzałem go przecież z tobą tutaj, w moim domu. W domu, gdzie były także Bertha i jej matka, nasi goście. Pod tym samym dachem.

- Peterze!

Twarz jej poszarzała.

Mówiła mu, że to był ten jeden jedyny raz. Od ludzi dowiedział się jednak czego innego. Nigdy nie przyznał się przed nią do tej wiedzy. Ciężko by to przeżyła, a on by sobie nie darował takiej śmiałości. W końcu była jego matką.

- Lady Grantham bez wątpienia wiedziała o wszystkim, ale ta dobrze wychowana dama wolała udawać, że o niczym nie ma pojęcia. Bóg jeden wie, ile cierpień i upokorzeń

musiała znieść w milczeniu. Z pewnością Bertha również znała prawdę, a ja postąpiłem na tyle głupio, żeby się przednią zdradzić z tym, co odkryłem. Była jednak należycie wychowana przez swoją matkę i pogodziła się z ojcowską niewiernością na długo przedtem. Było gorzej.

Bertha spojrzała wówczas na niego ze zdumieniem i stwierdziła, że przecież tacy są wszyscy mężczyźni. A kiedy ją zapewnił, że nie, że on będzie jej wierny aż do śmierci, uznała go za niemądrego smarkacza, choć był od niej o dwa lata starszy. A potem oznajmiła, że ani myśli być do niego uwiązana, gdy tylko zdoła spełnić swój obowiązek, to znaczy urodzić mu syna lub może nawet dwóch.

- Moi wujowie wiedzieli o wszystkim. Żałowali jedynie, że nie zamknęłaś drzwi na klucz. Po czym bez ceremonii dali mu do zrozumienia, że powinien się pogodzić z rzeczywistością. A przecież to oni wychowywali go i edukowali przez całe dzieciństwo.

Nazwali go naiwnym smarkaczem - całkiem tak samo, jak Bertha - i poradzili, żeby milczał, nikomu nie mówił, co widział, i był gotów do uroczystego ogłoszenia zaręczyn następnego dnia, jak wcześniej zaplanowano. Najwyższy czas, by wreszcie dorósł.

On natomiast oświadczył w salonie, wobec wszystkich gości, że żadnych zaręczyn nie będzie i żeby następnego dnia byli łaskawi do dwunastej w południe opuścić jego dom.

Oznajmił też wujom, że w przyszłości nie mają już wobec niego żadnych zobowiązań, gdyż

właśnie dorósł i nie potrzebuje więcej ich opieki ani rad.

Rozszlochaną matkę zostawił w Sidley. Wyjechał stamtąd ledwie dzień później niż goście.

Nie próbował jej usprawiedliwiać i nie dał wiary jej kłamstwom. Domyślił się, że romans z Granthamem musiał trwać od dawna. Wierzył jednak, że go kochała. Teraz w tę miłość wątpił, chociaż nie miało to już większego znaczenia. Grantham był żonaty. Obydwoje zamierzali pożenić ze sobą własne potomstwo.

Matka wciąż kurczowo ścisnęła poręczę fotela. Patrzyła na niego ze zgrozą.

- Zresztą nie o Granthamie zamierzam z tobą rozmawiać, tylko o Williamie Osbournie. Bez wątpienia byliście kochankami. Doszło jednak między wami do czegoś, co położyło kres temu romansowi. Domyślam się, że z tobą zerwał. Czy mówił ci o swojej przeszłości? A może poznałaś ją w jakiś inny sposób? Tak czy inaczej zagroziłaś mu, że doniesiesz o wszystkim Charlesowi Markhamowi. Nie miał żadnych dowodów, że tak zrobiła, po prostu nagle stało się to oczywiste. Byłoby czymś strasznym, gdyby się mylił, oskarżając o coś podobnego własną matkę. Choć tak bardzo chciał się mylić...

- Jeśli ona ci tak mówiła, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię wyrwać z jej szponów! Zawsze byłeś...

- Susanna nic mi nie mówiła. Powiedziała jedynie o tym, co ojciec napisał w listach do niej i do sir Charlesa, ale nie ujawniła nazwiska szantażysty.

- William napisał do niej list?!

- Tuż przed śmiercią. Wiedział, że tylko w ten sposób może ją ochronić. Gdyby żył, poniosłaby konsekwencje oskarżenia go o gwałt.

- Jak możesz używać takiego słowa wobec własnej matki?! - zawołała, lecz potem jakby zapadła się w fotel, postarzała i skurczona. - Mówiłam tylko, że mnie... niepokoił i nachodził, a nie że... I to była prawda! Powiedziałam tak sir Charlesowi po śmierci Osbourne'a. Ja bym nigdy... Musisz mi uwierzyć!

A on, wbrew wszystkiemu, bardzo chciał wierzyć, że się myli, że może zrobił to ktoś

inny! Pamiętał jednak oziębłość, z jaką po śmierci Osbourne'a traktowali matkę

Markhamowie.

- Skąd miałam wiedzieć, że się zabije?! Jak on mógł tak mnie ukarać?!

- Chciałaś mu odebrać wszystko. Szacunek, dobre imię, wolność. Cokolwiek zrobił w przeszłości,

odpokutował za to. No i miał córkę na utrzymaniu.

- Zniżyłam się do człowieka nędznej kondycji - zaczęła mówić chrapliwym, zdławionym głosem - a kiedy pojechałam do Londynu, bo on tam akurat był, wcale mu się to nie spodobało. Zaczął mnie potem unikać w Fincham, aż wreszcie powiedział, że wszystko między nami skończone. Co za upokorzenie! Musisz mnie zrozumieć! Kochałam twojego ojca, ale moje życie bez niego stało się puste... Pozwoliłam temu mężczyźnie...

To samo wmawiała mu pięć lat temu, kiedy przyparł ją do muru.

- Doprowadziłaś do jego śmierci - odparł spokojnie. Był kompletnie wyczerpany.

- Co za głupiec! Musiał przecież wiedzieć, że miałam go po prostu dość! Wcale nie chciałam go niszczyć!

- A jednak, kiedy wyznał sir Charlesowi, co uczynił w przeszłości, zaczęłaś mu grozić.

- Ależ ja bym nie...

- Naprawdę? Tylko że on z pewnością myślał inaczej. I zapłacił za to własnym życiem.

Ukryła twarz w dłoniach. Peter siedział bez ruchu, patrząc na nią, zdruzgotany tym, czego się dowiedział i czego się domyślał, a co okazało się prawdą. I świadomością, że jego matka zniszczyła dwa ludzkie życia z powodu swoich seksualnych potrzeb i osamotnienia.

Nienawidził tego, że będzie tak o niej myślał do końca życia.

Czy to właśnie był jeden ze smoków, które musiał pokonać? Jeśli tak, zapłacił wysoką

cenę za zwycięstwo. Nic już odtąd nie będzie takie samo. Pięć lat temu pozwolił jeszcze, by go karcono jak nedorostka. Teraz miał tego dość.

- Nie masz pojęcia, jak cierpiałam. - Szlochała, całkiem jak pięć lat wcześniej. - Jeśli zrobił tak z zemsty, to rzeczywiście miał ostatnie słowo! Nie postąpił wobec mnie fair! Nie chciałam mu zrobić krzywdy! Przecież go kochałam! Sądzisz, że przez te wszystkie lata nie czułam się jak morderczyni? Wiem, jak trudno ci ujrzeć w matce kobietę, lecz jestem kobietą, a wtedy czułam się naprawdę bardzo samotna. Byłam wdową, on wdowcem. Kochał swoją

żonę, tak jak ja twojego ojca. Powiedział mi nawet, pod koniec, że dłużej już ze mną być nie może, bo nie potrafi o niej zapomnieć. Ale jakiś czas przedtem byliśmy niemal szczęśliwi.

Nikogo to nie krzywdziło.

Niemalże jej współczuł. Tak, zrobiła coś potwornego, chociaż nie była potworem.

Potem zaś nie mogła niczego cofnąć, bo Osbourne się zabił. Czy istotnie wniosłaby przeciw niemu fałszywe oskarżenie, gdyby żył? Nie wiedział. I nie chciał wiedzieć. Wyrządziła jednak zło nie do

naprawienia.

Kusiło go, żeby wstać i wziąć ją w ramiona. Pocieszyć, uspokoić i posłać do łóżka.

Zrobił tak po tym, gdy zastał ją z Granthamem. Jeśli potrzebowała przebaczenia, powinna była najpierw przebaczyć samej sobie. Nie jemu.

Musiał jej wszakże powiedzieć coś jeszcze, a lepiej było zrobić to teraz, wieczorem.

W nadziei, że jutro rano obydwójce będą już mogli układać sobie życie na nowo.

Matka zaczęła pierwsza. - Nie możesz poślubić jego córki! To byłoby coś

niewyobrażalnego!

- Ale moje małżeństwo z Berthą Grantham mogłaś sobie z łatwością wyobrazić?

Nie odpowiedziała.

Częściowo wypadało mu się z nią zgodzić. Przeszłość zawsze będzie go jakoś

oddzielać od Susanny. Byłoby dużo lepiej pozwolić jej na powrót do Bath, a samemu pojechać po świętach do Londynu i tam poszukać odpowiedniej żony podczas sezonu.

Zapomnieliby o sobie, a gdyby nawet pamiętali, to z zadowoleniem, że nie wykorzystali tej szansy.

Tak, byłoby to całkiem rozsądne, tylko że nie miał zamiaru być rozsądny. Pragnął

szczęścia, a jeśli było ono nie do osiągnięcia, to przynajmniej chciał zachować szacunek dla samego siebie.

Było też całkiem możliwe - a nawet prawdopodobne - że Susanna nie będzie go chciała. Ale nie zamierzał jej tracić tylko dlatego, że wolał zrezygnować z walki ze smokiem.

Nawet wtedy musiałby się przecież uporać z samym sobą, chcąc się wreszcie polubić. Tylko że w tej chwili nie czuł do siebie specjalnej sympatii.

- Nie wiem, czy Susanna Osbourne zechce za mnie wyjść w tych okolicznościach. Już

raz dała mi kosza.

Spojrzała na niego z oburzeniem i nadzieją jednocześnie.

- Mamo... - nabrał głęboko tchu - wolałbym, żeby Sidley stało się moim domem.

- Przecież nim jest! Jeśli za rzadko tu bywasz, to z własnej winy. Jakże często nagliłam cię do powrotu!

- Bo zawsze był to bardziej twój dom niż mój.

- Ależ on należy do ciebie od dziecka! Zawsze się starałam dobrze nim zarządzać.

Zawsze chciałam go upiększać. Wszystkich zmian dokonywałam w nim z myślą o tobie.

- Ale nigdy mi o nich wcześniej nie mówiłaś.

- Bo cię tu nigdy nie było!

Nie mógł zaprzeczyć. Tym razem nie kłamała.

- Powinienem był wziąć we własne ręce i dom, i majątek tuż po osiągnięciu pełnoletności. Nie zrobiłem tego z powodów, do których lepiej nie wracać. Mam swoje własne pomysły co do wystroju pałacu i zarządzania majątkiem. Jestem gotów je urzeczywistnić - Chcę, żeby sąsiedzi byli moimi przyjaciółmi. Chcę ich zapraszać na zabawy, i to często. Chcę, żeby się tutaj dobrze czuli. No i chcę tu zamieszkać.

- Ależ... to wspaniałe! Ja...

- Ale chcę tu mieszkać sam. No, także z żoną i dziećmi, jeśli się ożenię. Czy nie zechciałabyś urządzić na nowo wdowiego domu i przenieść się tam?

- Do wdowiego domu?! - spytała zgorszona.

- Zawsze go lubiłem. Z pewnością będzie ci w nim dobrze.

- Ależ... tam mieszkali tylko guwernantki i twoi wychowawcy!

- W takim razie poszukam odpowiedniego domu w Londynie, gdzie nie braknie ci miłego towarzystwa, mnóstwa rozrywek, no i sklepów. A tu pozostaniesz mile widzianym gościem.

Wtuliła się w fotel i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Zawsze żyłam w tym domu - zaczęła - i starałam się zachować go w jak najlepszym stanie. Dla ciebie, mego jedyne go syna. Wzięłam na siebie wszystkie rodzicielskie obowiązki, gdy zmarł twój ojciec. I wypełniałam je aż do dziś. Oddałabym za ciebie życie.

Zrozumiał, że musi się z nią jakoś pojednać.

- Jestem ci za to wdzięczny. Miałem wspaniałe, bezpieczne dzieciństwo i nigdy nie wątpiłem, że jestem kochany. Ale dobrze, że nie ożeniłem się za wcześnie. Miałem czas wyrosnąć na mężczyznę, przekonać się, czego chcę od życia. Musisz urządzić sobie życie na nowo, mamo. Wiem, że czułaś się tu samotna.

Oczywiście nie było to całkowitą prawdą, ale też i nie kłamstwem. W końcu ją

przecież kochał.

- Myślę, że wybiorę życie w Londynie - odparła. Ona również nie powiedziała całej prawdy. A jednak będzie tam szczęśliwsza. Poczuł dziwną ulgę na myśl, że matka stanowczo odmówiła przeniesienia się do wdowiego domu.

- Zajmę się tym po świętach. A teraz idź już spać, mamó, zatrzymałem cię tutaj zbyt długo. Jutro czeka nas mnóstwo pracy.

- Tak.

Nie wstała jednak z fotela.

- Nigdy nie kochałam nikogo tak jak twego ojca. William Osbourne i George Grantham niewiele dla mnie znaczyli, mimo że byłam do nich w jakiś sposób przywiązana.

Nie chciałam nikomu robić krzywdy!

- Wiem.

Myślał, niestety, co innego. Ale nie była to odpowiednia pora, żeby jej czynić

wyrzuty. Ucałował ją w czoło, potem w policzek - drobną, kruchą, wciąż jeszcze bardzo piękną - i życzył jej dobrej nocy.

Kiedy wyszła, spojrzął na karafkę z brandy, lecz się pohamował. Gdyby teraz po nią sięgnął, nie mógłby przestać i upiłby się na umór.

Podczas świąt Susanna kilkakrotnie wracała myślami do Claudii, Lili i dziewcząt, lecz przychodziło jej to z trudem. Trudno jej też było uwierzyć temu, co działo się wokół niej.

Całkiem jakby przeżywała na jawie jakiś osobliwy sen.

Od schyłku lata jej życie było takie przewidywalne, tak pełne rutyny, tak... nudne. Ale mimo tej nudy dawało jej zadowolenie.

Teraz zaś wszystko stało się nierealne. Czy rzeczywiście z własnej woli poszła z Peterem do wdowiego domu i kochała się tam z nim? Czy ci obcy ludzie, z którymi teraz przestawała, tak że stali się jej bliscy, a nawet drodzy, to naprawdę jej krewni? Czyż można obdarzyć kogoś serdecznym uczuciem, jeśli o jego istnieniu nie wiedziało się do wczorajszego ranka?

A jednak dziadek Osbourne wyglądał zupełnie tak, jak dzisiaj wyglądałby jej ojciec.

Babka miała zaś takie same oczy, nieustannie chciała trzymać ją za rękę i wpatrywała się w nią, jakby Susanna była Bóg wie jakim cudem. Z kolei dziadek Clapton miał oczy tego samego koloru co ona, choć bardziej już szarawe niż zielone, a jego przerzedzone, siwe włosy musiały być kiedyś

kasztanowate. Zazwyczaj kiwał tylko głową i uśmiechał się w milczeniu, słowa pozostawiając innym.

Dziadkowie Osbourne'owie nie mieli innych dzieci poza dwoma synami i Susanna była ich jedyną wnuczką. Musieli bez wątpienia wieść bardzo smutne życie. A ona w dodatku pozbawiła ich radości poznania jej w dzieciństwie. Nie chciała ich jednak ganić za to, że wygnali ojca, który zniszczył małżeństwo starszego syna, a potem zabił go w kłótni. Jakże pragnęła poznać ich dzieje! Czy to był tylko tragiczny wypadek? Czy stryj zginął, bo uderzył

o coś głową? Wolała jednak o nic nie pytać.

Za to dziadek Clapton miał trzy inne córki i aż ośmioro innych wnucząt prócz niej.

Ciotek i kuzynków Susanny, jak powiedział z poczciwym uśmiechem. Najstarsza z córek także wyszła za pastora, który teraz był jego następcą w wiejskim kościele, gdzie ich syn wkrótce zostanie wikarym. Miała więc ciotki, wujków i kuzynów.

- Jakże inaczej wyglądałoby moje życie, gdybym nie uciekła wtedy z Fincham. -

Westchnęła.

- I nasze, moja droga - dodała babka, gładząc ją po ręce.

- Czy zechcesz wrócić do nas i rozpocząć je na nowo? - spytał dziadek Clapton. -

Niezbadane drogi naszego żywota zna tylko Bóg, a są one doskonałe i tajemnicze.

- To coś całkiem w twoim stylu, Ambrose. - Dziadek Osbourne sapnął z irytacją. - Ja tu nie widzę żadnej doskonałości, tylko jedną wielką tajemnicę. A jeśli to wina wszechmogącego, już ja mu przemówię do rozumu na Sądzie Ostatecznym!

- Sama nie wiem, co o tym sądzić. - Susanna się uśmiechnęła, pojmując, że obaj jej dziadkowie najwyraźniej lubią mieć o wszystkim odmienne zdanie.

- Powinnam była poznać was wcześniej. Kilka tygodni spędzonych przeze mnie w Londynie wspominam ze zgrozą. Lecz potem przez wiele lat żyłam szczęśliwie w szkole panny Martin i kochałam pracę nauczycielki. Zadowolona jestem z tego, jak pokierowałam własnym losem.

Babka poklepała ją bez słowa po ręce.

- Nauczycielstwo - ciągnął dziadek Osbourne - to właściwa praca dla kobiety bez rodziny albo pochodzącej z biedoty. Nie jestem zbyt bogaty, Susanno, ale też i nie biedny, a ty jesteś wszystkim, co mamy. Czas, żebyś do nas wróciła. Czas także, żebyśmy ci znaleźli porządnego męża, który zatroszczy się o ciebie, kiedy nas już nie będzie.

Babka pogładziła ją po włosach. Susanna poczuła jej powykręcane przez artretyzm palce na czubku głowy.

- Myślę, Clarence, że Susanna sobie go sama znalazła. Wicehrabia Whitleaf jest bardzo przystojnym, uroczym młodym mężczyzną i najwyraźniej świata za nią nie widzi.

Zaprosił nas wszystkich na jutrzejszy bal wigilijny i myślę, że właśnie z nią będzie tańczył

częściej niż z każdą inną damą. - O tak, Sadie, z pewnością Susanna nie zatańczy ze mną, tylko z wicehrabią! - zaśmiał się tubalnie dziadek Osbourne. - Może Susanna wysoko mierzy, ale z pewnością nie za wysoko! Pochodzimy w końcu z godnej szacunku rodziny. Ambrose zresztą też!

- No i jesteś pułkownikiem - przypomniała mu babka.

- Hm, chciałbym dokładnie wiedzieć, jakie ten młody człowiek ma zamiary.

Susanna zakryła twarz rękami.

- Och, dziadku, lepiej z nim nie rozmawiaj.

Poczuła, że się czerwieni, ale się śmiała. Dziadek znał ją ledwie jeden dzień, a już

próbował zatroszczyć się o nią! Czy upłynął ledwie jeden dzień? Przecież już ich wszystkich kochała! Co za absurd! I co za nieopisane szczęście! Nabrała również pewności, że nie wiedzieli o wicehrabinie Whitleaf ani o roli, jaką odegrała w śmierci ojca. Nie zwrócili żadnej uwagi na jej nazwisko i tytuł.

Lady Markham, Theodore, Edith i Lawrence okazali się na tyle taktowni, by całą ich czwórkę przez większość czasu zostawiać samych, ale posiłki jedli wszyscy razem. Po drugim śniadaniu Susanna z babką poszły, na prośbę Edith, do pokoju dzieciennego, żeby zobaczyć małego Jamiego.

Wszystkie trzy podziwiały i kolejno piastowały maleństwo ponad godzinę. I właśnie wtedy do Fincham przybył Peter wraz z dwoma szwagrami i synem państwa Flynnów -

Posych. Susanna dowiedziała się później, że dziadkowie zamknęli się z nim w bibliotece.

Żaden z nich nie chciał jednak zdradzić, o czym rozmawiali ani od kogo wyszła propozycja tego spotkania. Peter wyszedł, nim zdążyła się z nim zobaczyć. Ujrzę go pewnie na balu, pomyślała z mieszanymi uczuciami.

Nie pozwoliła sobie jednak na złudzenia, że niemożliwe stało się nagle zupełnie realne.

Inicjatorem spotkania z dziadkami Susanny był Peter. Rozczarowało go trochę to, że poszła z Edith do jej synka, lecz po chwili uznał, że w ten sposób łatwiej będzie mu przedstawić sprawę. Spytał jedynie Theodore'a, czy ten pozwoli mu pomówić w bibliotece z jego gośćmi, a on się zgodził, choć z trochę dwuznacznym uśmiechem.

Po krótkim wstępie przeszedł od razu do sedna. Dokładniej mówiąc, . zrobił to pułkownik, sapiąc groźnie pod sumiastym wąsem.

- Dowiedziałem się, Whitleaf, że wyjechał pan wczoraj z moją wnuczką kariolka sam jeden, bez stajennego!

Peter poczuł się tak, jakby dostał kulka prosto w plecy. Drugi ze starszych panów spojrział na niego bardziej dobrodusznie, choć nie bez lekkiego błysku w łagodnych zazwyczaj oczach.

- Nie będę udawał, że było inaczej - oświadczył Peter. - Na jutrzejszym balu zamierzam poprosić wnuczkę panów o rękę, spodziewam się więc, że mogę wcześniej liczyć

na wasze błogosławieństwo.

Właśnie tak powinien był postąpić, co przyszło mu na myśl w nocy. Dzięki temu błogosławieństwu Susanna, być może, potraktuje jego oświadczenia nieco życzliwiej.

Wielebny Clapton uśmiechnął się do niego serdecznie, natomiast pułkownik Osbourne warknął groźnie:

- Co takiego? A dlaczego zamierza pan poślubić naszą wnuczkę?!

- Bo się w niej zakochałem.

- Zakochał się pan w niej? W skromnej dziewczynie bez posagu?! - burknął gniewnie pułkownik, a Peter poczuł współczucie dla wszystkich żołnierzy, którzy musieli służyć pod rozkazami tego człowieka. Nie mieli łatwego życia!

- Tak.

- W takim razie głupiec z pana, Whitleaf! Peter uniósł brwi.

- Jeśli miłość do panny Osbourne zrobiła ze mnie głupca, w takim razie, przyznaję, zawiniłem!

- Musisz przyznać, Clarence - odezwał się łagodnym tonem Clapton - że to doskonała odpowiedź. Z miejsca udzielam swego błogosławieństwa autorowi. - Hm... - mruknął

Osbourne, a Peter nagle zrozumiał, że pułkownik świetnie się bawi całą tą sytuacją. - W takim razie muszę panu powiedzieć, Whitleaf, że Susanna ma jakiś posag. Całkiem zresztą

niebagatelny. Co pan na to?

- Bardzo się z tego cieszę, lecz nie wpłynie to na moje uczucie do niej.

- A co pan może jej ofiarować, młodzieńcze, prócz własnych uczuć? Peter pojął, że rozmowa wchodzi już w fazę negocjacji. I że jego prośba została wysłuchana. Zyskał zgodę

obydwu opiekunów. Co było łatwiejszą częścią całego przedsięwzięcia.

ROZDZIAŁ 25

Nikt nie pamiętał, kiedy po raz ostatni urządzano w Sidley tak huczną zabawę. Od wielu dni sąsiedzi przekazywali sobie z ust do ust wiadomość, że odbędzie się tam wielki bal, i to w sam wieczór wigilijny!

Powszechnie lubiano młodego wicehrabiego. Zawsze też mówiono, że jest serdeczniejszy i bardziej ludzki od matki. A teraz wszyscy byli o tym przekonani. Rozdawał

przecież zaproszenia osobiście i niemal prosił ich o przybycie na tę wielką fetę, zupełnie jakby właśnie oni robili mu jakąś łaskę.

Nikt więc nie chciał przegapić takiej okazji. Wyczekiwano balu niecierpliwie. Zdołał

przyciąć wszystkie inne atrakcje i uroczystości świąteczne, nawet poranne nabożeństwo i obiad z tłustą gęsią.

W samym Sidley panowała podobna atmosfera. Odbył się tam już popołudniowy balik dla dzieci, na którym był obecny sam wicehrabia w gronie licznych rodziców. Reszta dorosłych przygotowywała się w swoich pokojach do wieczornej zabawy.

Dom obficie przystrojono gałązkami ostrokrzewu i sosny, a salon - dzwonkami.

Wielka dekoracja z jemioly - dzieło trzech z sióstr Petera - zwisała ze środka sufitu.

Pałac był pełen apetycznych woni, nawet po obiedzie, gdy resztki gęsi i puddingu z rodzynkami uprzątnięto ze stołu w jadalni. Dominował nad nimi zapach ciast bożonarodzeniowych, lecz można było również wyczuć korzenny aromat piwa, które czekało w wielkiej wazie na początek uroczystości.

Peter cieszył się tym wszystkim, choć od dawna nie spędził tak pracowitego dnia.

Zawsze szczerze kochał swoich krewnych, a towarzystwo innych gości także go radowało.

Najbardziej zaś ucieszył się odkryciem cichego romansu między jednym z młodych szwagrów Barbary a panną Flynn - Posy. Nie wiadomo, co prawda, czy była z tego zadowolona lady Flynn - Posy, lecz to już nie miało znaczenia.

Matka była wyjątkowo ożywiona, bez śladu przygnębienia sprzed dwóch dni. O balu wyrażała się z entuzjazmem, który nie pozwalał wątpić w jej aprobatę. Zaczęła nawet wspominać, że ma zamiar osiąść w Londynie przed rozpoczęciem sezonu, tak by mogła prowadzić bardziej ożywione życie towarzyskie.

- Już najwyższy czas - mówiła do lady Flynn - Posy, Barbary i Belindy - by Peter mógł rozpocząć samodzielne życie. Peter miał więc powody do radości, ale oczekiwał

wieczoru z mieszanymi uczuciami. Dziś miał się wreszcie stać gospodarzem Sidley Park, podejmując gości i sąsiadów tak, jak zawsze pragnął. Miał też jednak inne plany, i to właśnie one budziły jego niepokój. Nie wiedział, czy Susanna go zechce, gdyby nawet dziadkowie i babka błagali ją o to na

kłęczkach. Susanna Osbourne miała bowiem irytującą skłonność do samodzielnego decydowania o własnym losie.

Mimo to jego wiara w siebie, pragnienie życia własnym życiem i podjęcia za nie odpowiedzialności nie zależały od zgody Susanny. Zresztą nie byłyby wówczas wiele warte.

Zapewne zrobiłby to samo lub prawie to samo, gdyby jej nie poznał. Nie był od niej zależny.

Pocieszała go ta myśl, lecz w żadnej mierze nie łagodziła rosnącego niepokoju.

Nie dbała o jego tytuł ani o bogactwo. Upokarzająca myśl. Mógł ją zdobyć tylko wtedy, gdy uzna, że jest jej wart. Po raz pierwszy od pięciu lat czuł, że może coś zaoferować

ukochanej kobiecie. Pozostawał jego tytuł. Był Whitleafem i to właśnie stanowiło przeszkodę.

- Ten wystarczy - powiedział lokajowi, który odrzucił właśnie trzy znakomite halsztuki jako niegodne jego umiejętności, nim zawiązał mu na szyi czwarty.

Lokaj przechylił głowę na bok i pilnie się przypatrywał własnemu dziełu.

- Owszem, milordzie - uznał w końcu - ten wystarczy. Brak mu tylko diamentowej szpilki... o, tak! Teraz jest znakomicie!

Wciąż było jeszcze dość wcześnie, lecz Peter zszedł na dół i okrążył salę balową.

Wyglądała wspaniale i mile pachniała świeżą zielenią. Świece paliły się w kandelabrach, a na dwóch wielkich paleniskach kominków w obu krańcach sali buzował ogień.

Przybyli muzycy i wraz z instrumentami zaczęli lokować się na niewielkim podium.

Kilkoro służących krzątało się w gotowalni. Peter zamienił z nimi kilka słów. Niepokoiło go, że służby może się okazać za mało, lecz wszyscy byli tak przejęci i gorliwi, że zrezygnował z wynajęcia dodatkowych ludzi i obiecał wszystkim specjalną, wyższą niż zwykle gratyfikację

święteczną.

Wrócił do sali balowej, by powitać gości, stojąc w drzwiach z matką i Barbarą. Goście z Fincham przybyli niemal na samym ostatku. Theo prowadził pod rękę lady Markham. Peter dostrzegł, że przywitała się bardzo uprzejmie z matką. Za nimi postępowali Edith z Lawrence'em, po nich - pułkownik Osbourne z żoną. Susanna szła w ostatniej parze z wielebny Claptonem.

Serce załomotało mu tak mocno, że mógł je wyraźnie usłyszeć.

Miała na sobie tę samą zieloną suknię, co na balu w Somerset i na koncercie. Jej włosy zdobił mały, wysadzany perłami diadem, zapewne prezent gwiazdkowy od któregoś z dziadków. Stanowił on komplet z perłowym naszyjnikiem. Perły były połyskliwe i wyglądały na nowe. Delikatny wachlarz z cienkich płytek kości słoniowej, który trzymała w dłoni, dostała niewątpliwie od drugiego z

dziadków. Na policzkach miała rumieńce, spuściła oczy.

Domyślał się, że wolałaby w tej chwili znajdować się gdzie indziej. Czy mu wybaczy? A może przyjdzie mu zapamiętać ten wieczór jako jeden z najgorszych w życiu?

- Miło mi pana znów widzieć. - Skłonił się przed wielbnym Claptonem, który powitał

go dobrotliwym uśmiechem. - I panią również, panno Osbourne. Ledwie na niego spojrzała.

- Dziękuję, milordzie.

- Czy zechce pani zatańczyć ze mną drugi taniec i pierwszego walca? Zatańczyłby z nią nawet i ostatniego. Wielbny Clapton uśmiechnął się jeszcze bardziej dobrotliwie.

Zawahała się na ułamek sekundy.

- Dziękuję, tak. Będzie mi bardzo miło.

Chciał ją co prawda poprosić o pierwszy taniec, lecz wolał nie wprawiać jej w zakłopotanie tak wyraźnym wyróżnieniem. Otworzył bal, tańcząc z Barbarą.

Wielbny Clapton, jak zawsze życzliwie uśmiechnięty, witał uprzejmie jego matkę.

Peter miał coraz większą pewność, że tytuł wicehrabiego Whitleafa z niczym mu się nie kojarzy. I drugiemu z dziadków także.

Susanna nadal miała spuszczone oczy, nawet kiedy dygnęła. Niemalże poczuł wtedy, jak jego matka zeszywniała.

- Panno Osbourne - powiedziała - jak to miło, że właśnie teraz przyjechała pani do Fincham. Mam nadzieję, że będzie się pani dobrze bawić.

- Dziękuję, madame - odparła Susanna, nie patrząc na nią.

Musiała to być dla nich obydwu ciężka próba. Czy marzenie o poślubieniu Susanny było z jego strony szaleńczą mrzonką? Mimo to postanowił walczyć o szczęście.

- Peterze - szepnęła Barbara - już czas zaczynać tańce! Wprost nie mogę się doczekać

pierwszego! Wszystkie damy będą mi ciebie zazdrościć!

Roześmiał się i stanął wraz z nią na czele formującego się sznura par do pierwszego kontredansa. Nagle poczuł w sercu nadzieję. W końcu to święta!

- Zdumiał mnie widok Susanny Osbourne - powiedziała do niego Barbara. Pamiętasz ją? To córka tego nieszczęśliwego sekretarza sir Charlesa, który się zastrzelił.

- Spotkałem ją raz, kiedy jeszcze byłem dzieckiem, później w gościnie u Johna Raycrofta, a wreszcie na weselnym przyjęciu w Bath.

- Naprawdę? - spytała z zaciekawieniem. A potem rzuciła okiem na Susannę, którą właśnie wyprowadzał na parkiet Theo, i popatrzyła na brata uważniej.

- Och, a więc to tak! - mruknęła.

Susanna z zaskoczeniem stwierdziła, że przez dwadzieścia trzy lata nie była na żadnym balu, a teraz bierze udział w trzecim z kolei. Co najmniej połowa gości należała do towarzystwa. Kilka miesięcy temu czułaby się tym oneśmielona. Druga połowa składała się

jednak sąsiadów wicehrabiego, podobnych do ludzi, których poznała, bawiąc w Somerset, i których bardzo przecież polubiła.

Sala balowa, obficie przystrojona zielenią, wprost zapierała dech w piersiach. Zresztą

nawet bez dekoracji byłoby to piękne pomieszczenie. Dziwne, że żyła niegdyś tak blisko Sidley, a nigdy nie widziała wnętrza tego domu.

„Właściwie bawiłabym się świetnie, pomyślała pod koniec czwartego tańca, gdy młody i żwawy syn państwa Flynnów - Posych odprowadzał ją do babki, gdyby tylko...

Ach, jej życie od sierpnia pełne było rozmaitych „gdyby tylko”. Dzisiejszego wieczoru powinna o nich zapomnieć i bawić się w najlepsze. Tańczyła już cztery razy, w tym pełnego wigoru kontredansa z Peterem. Następny miał być walc.

Nie chciała o nim myśleć jako o ostatnim walcu.

- Pięknie tańczysz, Susanno - westchnęła babka. - I jaka jesteś śliczna! Co za szczęście, że dożyłam takiego dnia!

A Peter skłonił się właśnie przed nią z uśmiechem.

- To chyba mój walc, panno Osbourne.

No i zatańczyli go. Tylko że tym razem nie zatraciła się w nim tak, jak poprzednio.

Znajdowała się wśród bliskich Petera, jego sąsiadów i przyjaciół. Byli tu także ludzie bliscy jej sercu. Bo Markhamowie i Morleyowie na zawsze pozostaną jej przyjaciółmi. Czy właściwie zrozumiała przed laty słowa podsłuchane pod drzwiami? Przecież lady Markham zawsze się o nią troszczyła. Wtedy znalazła się nagle wobec sieroty, z którą nie wiadomo było, co począć. Tak, to musiało być dla niej doprawdy ciężkie brzemie. - Cieszę się -

powiedziała do Petera - że mogę cię tu widzieć. Chyba jesteś o włos od spełnienia swoich marzeń? Uśmiechnął się i zakręcił nią wkoło tak, że w jakiś dziwny, niepojęty sposób znaleźli się nagle poza

salą balową. A wtedy ujął ją za rękę i poprowadził korytarzem, póki nie stanęli przed wejściem do jakiegoś pokoju. Wprowadził ją do niego i starannie zamknął za sobą

drzwi. Była to, jak się przekonała, biblioteka, piękna i przytulna; nieoświetlona wprawdzie, lecz na kominku płonął ogień, a na jego gzymsie stał świecznik.

- Peterze... przecież jeszcze trwa walc... Moi dziadkowie...

- Wiedzą, że cię tu przyprowadziłem. Babka zapewne też. Bardzo miło się do mnie uśmiechnęła przy powitaniu.

Susanna podeszła do fotela i usiadła w nim.

A więc jej dziadkowie wiedzieli?

Przecież nie wiedzą, że...

Peter stał, patrząc w ogień, odwrócony do niej plecami. Czekala, aż zacznie mówić.

Była wręcz chora z miłości do niego. Zdążyła już poznać jego dobroć, czułość, namiętność.

Znała go. Do szpiku kości.

- Moja matka winna jest śmierci twego ojca. Ach, a zatem wiedział o tym? A przecież dwa dni temu z pewnością jeszcze nie miał o tym pojęcia.

- Zabił się z własnej woli. Mógł postąpić inaczej.

- Do dziś dręczą ją wyrzuty sumienia, co jej, rzecz jasna, wcale nie usprawiedliwia.

Kocham ją, Susanno. Zawsze ją kochałem. I zawsze będę kochał. Wiem, że miłość nie może osądzać. Ona po prostu jest.

- Moi rodzice także zrobili coś strasznego. Złamali serce moim dziadkom i doprowadzili do śmierci mojego stryja. A jednak zawsze ich kochałam. - Tylko że - Peter wsparł się ramieniem o gzyms kominka i pochylił głowę nie mogąc zerwać z nią kontaktów.

Będę ją czasami odwiedzał, a ona przyjedzie niekiedy tutaj w odwiedzinach, mimo że ten dom przestanie być jej domem. Czasami zajrzemy, być może, do niej, będąc w Londynie. Gdybym musiał wybierać między tobą a nią, nie mógłbym tego zrobić. Nie sposób wybierać pomiędzy dwiema miłościami, co najwyżej można uznać, że jedna z nich znaczy więcej niż druga.

Ścisnęło ją w gardle.

- Nie musisz wybierać. Wracam za kilka dni do szkoły. Moi dziadkowie chcieli mnie co prawda zabrać ze sobą, ale odmówiłam. Chętnie będę do nich jeździć na wakacje, lecz nie chcę żyć ani z

nimi, ani z tobą. Pochylił głowę jeszcze bardziej. Zapadła cisza. Z sali balowej dolatywała melodia walca. Potem Peter się wyprostował.

- Powiedz, że mnie nie kochasz. Pokręciła głową.

- No, powiedz.

- Miłość nie ma z tym nic wspólnego. - Nie zgadzam się. Powiedz, że mnie nie kochasz, a wrócę na salę i nie zobaczymy się już więcej. Chcę tylko usłyszeć prawdę. Nigdy go nie widziała mówiącego tak poważnie. Nigdy jeszcze nie słyszała, żeby wyrażał się w taki sposób. Twarz mu pobladła, była ściągnięta. A patrzył prosto na nią.

- Peterze, to byłoby wstrętne, a nawet brudne, skoro twoja matka i mój ojciec...

- Byli kochankami - dokończył za nią. - A czy to, co stało się w Barclay Court, też

było brudne? A to, do czego doszło dwa dni temu? Nie możemy w niczym zmienić

przeszłości. Czy jednak powinniśmy dla niej zrezygnować z terażniejszości i przyszłości?

Życie nie może być idealne, Susanno, musimy przyjąć je takim, jakie jest. A życie nie byłoby możliwe bez miłości. Miłość jest czymś, czego my akurat mamy pod dostatkiem. Powiedz mi, czy się mylę.

Milczała.

- Nie chodzi mi o ten sentymentalny, romantyczny rodzaj miłości. Ciebie stać na poświęcenie, na odrzucenie szczęścia. Sporo się o tym dowiedziałem przed chwilą. Ja zaś

kocham moją rodzinę i mój dom. I ciebie.

- Peterze... - zaczęła, lecz po chwili pokręciła desperacko głową, nie mogąc wykrztusić

nic więcej.

- Czy zamierzasz zniszczyć naszą miłość tylko dlatego, że jestem człowiekiem bogatym i utytułowanym, a ty nauczycielką? Choć także i dziedziczką, dowiedziałem się o tym wczoraj. A może chodzi o to, że jestem wicehrabią Whitleafem? Ze chcę nadal szanować

moją matkę? Ze ona i twój ojciec pragnęli niegdyś uciec od samotności?

Przymknęła oczy.

- Może jednak mnie poślubisz? Może pozwolisz, by trzy starsze osoby, które teraz są

w sali balowej, ogarnęło szczęście na wieść o naszych zaręczynach?

- Och, Peterze! To doprawdy nie w porządku!

Spojrzał na nią z powagą. Potem się uśmiechnął. A jeszcze później roześmiał w głos.

- Tak, masz rację! To nie w porządku! Ale... czy nie chcesz mnie uszczęśliwić?

Susanna szczerze przedtem pogardzała pannami z Somerset, które aż się rozplęwały na widok jego uśmiechów... Dopóki nie zdała sobie sprawy, że jego po prostu wszyscy muszą

lubić. Ale... czyż miała zostać kimś takim jak one?

- A co powie twoja matka? Czy już z nią rozmawiałeś?

- Tak. Była zawsze wobec mnie zaborcza, dominująca, nawet samolubna. Przez całe moje życie. Bez wątpienia kocha mnie jednak i siostry z całym oddaniem. I raczej będzie wolała polubić moją żonę niż mnie utracić. Nie mogę obiecywać, że szybko dojdziecie do porozumienia, lecz zapewniam, że będzie to możliwe.

A potem podszedł bliżej, przyklęknął na jedno kolano i ujął jej dłoń.

- Susanno, czy mogę cię prosić o rękę? Jeśli nie jesteś w stanie odpowiedzieć mi szczerze na pytanie, czy mnie nie kochasz, odpowiedz przynajmniej na inne. Czy zechcesz za mnie wyjść?

Zaprotestowała, choć mogło się to wydawać absurdem.

- Peterze, jestem nauczycielką. Mam obowiązki względem dziewcząt, a także Claudii Martin. Nie mogę ot, tak po prostu odejść w środku roku szkolnego.

- A kiedy się kończy rok szkolny?

- W czerwcu.

- Więc pobierzemy się w sierpniu. W tym miesiącu, w którym się poznaliśmy. No widzisz, ten smok nie był nawet wart swojej nazwy. To raczej żałosny robak. Czy są jakieś

inne?

- Och, cały tuzin. - W takim razie lepiej mi o nich powiedz, nim będzie za późno. A potem pocałuję cię z całej siły i wniosę triumfalnie do sali balowej. Po walcu zaczyna się

kolacja. Doskonała okazja do ogłoszenia zaręczyn.

- Nabrał pan pewności siebie, lordzie Whitleaf.

- Bynajmniej. Proszę, powiedz, czy mnie kochasz, czy nie. Proszę cię. Wcale nie jestem znowu taki pewny siebie.

Oswobodziła rękę, ujęła jego twarz w obie dłonie i pocałowała delikatnie w same usta.

- Tak, kocham cię i będę kochać.

- Powiniennem to wprawdzie zrobić w salonie, bo tam wisi jemiola, pod którą wolno się całować. Ale mogę się bez niej obejść.

I nagle zerwał się gwałtownie, porwał ją w objęcia, a potem udowodnił, że istotnie może się obejść bez jemioly.

A tuzina kolejnych powodów do odmowy nie warto już było wyliczać. Straciły wszelkie znaczenie.

- Moja najmilsza - powiedział. - Moja ukochana. I całowali się znówu. A później, w bardzo formalny sposób, ujął ją pod ramię i zaprowadził do sali balowej.

Muzycy przestali już grać. Wszyscy obecni udali się na kolację. Za chwilę mieli ogłosić swoje zaręczyny.

ROZDZIAŁ 26

Ślub Susanny Osbourne z Peterem odbył się w Alvesley Park pewnego pięknego sierpniowego dnia.

Alvesley wybrano z wielu powodów. Chociaż dziadkowie Susanny bardzo pragnęli, by wszystko odbyło się w Gloucestershire, nawet oni przyznali, że ich dom i miejscowa oberża nie zdołają pomieścić tak licznych gości, a sala taneczna też jest zbyt mała i za skromna jak na wystawne przyjęcie weselne.

Sidley byłoby odpowiednie, lecz koleżanki Susanny nie mogłyby się wybrać tak daleko z uwagi na opiekę nad dziewczętami bez rodzin. A Peter nie chciał nawet słyszeć o tym, by poślubić narzeczoną bez nich.

Przez jakiś czas najodpowiedniejsze wydawało się Bath, póki Lauren i księżna Bewcastle nie wzięły na siebie obowiązku organizacji całej uroczystości. W gruncie rzeczy zdecydowała o wszystkim Eleanor Thompson, powiadamiając listownie siostrę o tym dylemacie.

Nikt nie umiał wyjaśnić, w jaki sposób księżnej udało się namówić małżonka, żeby zaprosił w gościnę dwanaście uczennic na cały tydzień przed ślubem ich nauczycielki.

Wybór padł więc na Alvesley, a goście ściągnęli tam nawet z bardzo daleka. Ze Szkocji przyjechała siostra Petera, Josephine, wraz z mężem; z Walii - państwo Butlerowie z Davidem i ośmiomiesięczną córeczką. Z Londynu przybyła wicehrabina, która bawiła się

znakomicie podczas sezonu i zwróciła nawet na siebie uwagę dwóch dystyngowanych wdowców. Pojawiła się w Alvesley, mimo że nie widziała Lauren, swojej bratanicy, od jej urodzenia. Oczywiście byli też na ślubie siostry Petera wraz z rodzinami, a także jego przyjaciele, Theo Markham i John Raycroft ze świeżo poślubioną Alice.

Wraz z dziadkami Susanny przybyli także dwie z jej ciotek i ich mężowie, których znała już ze swojej wcześniejszej wizyty w Easter. Zjawili się również wszystkie najlepsze przyjaciółki - Claudia Martin, Frances (świeżo po powrocie z koncertów w Paryżu) Eleanor Thompson, Cecile i Pierre, nauczyciele muzyki i francuskiego, a nawet pan Huckerby. No i, oczywiście, dwanaście uczennic opłacanych przez dobroczyńców, nadzorowanych przez panny Thompson i Walton, chociaż dziewczęta były tak przejęte, że nie potrzebowały żadnego nadzoru. Nawet Agnes Ryde zachowywała się bardzo przyzwoicie.

Państwo młodzi uznali, że ślub był niezwykle udany, mimo że trzeba było na niego trochę poczekać. Peter trzykrotnie bawił w Bath od świąt Bożego Narodzenia. Dwie z tych wizyt trwały tydzień, a trzecia - dziesięć dni. A jednak uważał, że okazały się w sumie przykrzejsze niż długie przerwy między nimi, gdyż Susanna stanowczo nie zamierzała uchybie swym obowiązkom, w końcu zrozumiał, że nauczycielstwo jest raczej sposobem na życie niż zawodem. Susanna nie znalazła ani chwili czasu dla stęsknionego narzeczonego.

Żałowała wprowadzie życia, które pędziła przed małżeństwem, lecz wszystkie kobiety muszą opuścić dom i rodzinę, kiedy wychodzą za mąż. A w jej przypadku była to, jak coraz częściej uważała w miarę upływu czasu, dobra zamiana. Nigdy nie byłaby całkiem szczęśliwa jako panna bez męża i dzieci. A kochała Petera o wiele mocniej, niż sobie wcześniej mogła wyobrazić. Może dlatego, że lubiła go i podziwiała.

W pobliżu Sidley nie było, jak się przekonała, żadnej szkoły. Zapragnęła zapełnić tę

lukę. I choć Peter się roześmiał, gdy mu o tym powiedziała podczas jednej z jego wizyt w Bath, był to śmiech serdeczny i wyrozumiały.

W sierpniu miała za niego wyjść.

I sierpień nadszedł, jak zresztą każdego roku. A wraz z nim dzień ślubu.

Peter siedział w kościele razem z Johnem Raycroftem. Słyszał, jak ławki za nim zapełniają się gośćmi, ale nie odwracał głowy. Czuł się tak, jakby nie był w stanie tego zrobić. Po raz pierwszy bowiem w ciągu lat przykładowej służby jego lokaj zawiązał mu halsztuk zbyt mocno.

Nie powinien był zjawiać się tutaj tak wcześnie. Wciąż myślał, co by było, gdyby nie przyszedł wcale? Gdyby ktoś się nagle odezwał podczas przeraźliwej ciszy, kiedy pastor pyta, czy nikt się nie sprzeciwia zawarciu tego małżeństwa? Gdyby język odmówił mu posłuszeństwa? Gdyby upuścił obrączkę ślubną? Gdyby Raycroft zapomniał ją przynieść?

- Czy masz obrączkę? - szepnął mu do ucha.

- Mam - odpowiedział Raycroft równie cicho i z całkowitym spokojem, mimo że był

tak samo przejęty dwa miesiące wcześniej, kiedy to Peter był jego drużbą weselnym. - Pięć

minut temu, kiedy mi zadałeś to samo pytanie, też ją przy sobie miałem.

A co będzie, jeśli ona powie „Nie” zamiast „Tak”? Czy może „Nie chcę” zamiast

„Chcę”? Nie mógł sobie teraz przypomnieć, jak brzmi właściwa formuła! Musi bardzo uważnie wsłuchiwać się w słowa pastora!

A co będzie, jeżeli...

Och, Boże!

Usłyszał nagle szmer za sobą i zrozumiał, że do kościoła musiała wejść Susanna z pułkownikiem Osbourne'em. Upewnił się, patrząc na pastora i wielebnego Claptona, który z dumą spoglądał na coś z tyłu za nim.

Wstał i się obrócił, gdy organy zaczęły grać. „To właśnie ona”. Wreszcie te słowa nabrały właściwego sensu.

Od stóp do głów spowijała ją suknia z kremowej koronki na atłasowym spodzie. Skraj obszytego koronką kapelusza przesłaniał jej twarz. Wydawała się drobna, a nawet krucha, u boku barczystego dziadka o wojskowej posturze. No i była wprost niewiarygodnie śliczna.

Żaden też kapelusz czy welon nie mógł ukryć kasztanowej barwy włosów.

Gdy podeszła bliżej, dostrzegł, że patrzy na niego z troską i zaciekawieniem. I na pewno z miłością.

Ach, Susanno!

Nawet teraz trudno mu było uwierzyć, że zdołali przezwyciężyć wszystkie przeszkody i doczekać tej chwili.

Zdał sobie sprawę, że musi mieć podobny do niej wyraz twarzy. Nikt jednak nie powiedział nic w chwili ciszy, nikt nie upuścił obrączki, Raycroft bynajmniej o niej nie zapomniał, a jego własny język nie odmówił mu posłuszeństwa. Ona zaś powiedziała: „Tak”.

Albo może: „Chcę”. Obojętne zresztą, czy jedno, czy drugie.

Wszystko poszło, jak należy.

Uśmiechnął się do niej i poczuł, że jest niewyobrażalnie szczęśliwy.

Uśmiechnął się i nagle w całym kościele zrobiło się równie jasno, jak na dworze.

Wyglądał zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy jednocześnie olśnił ją i przeraził na polnej drodze w Barclay Court rok temu. Zdumiało ją to. W jaki sposób sprawił, że serce zaczęło jej gwałtownie bić? Tym razem nie było już ważne, jak brzmi jego tytuł. Przecież za chwilę sama miała go nosić.

Niewytłumaczalny lęk, jaki ją nękał, rozwiął się bez śladu. Rankiem rozszłochała się

w ramionach babki, niezdolna wyjaśnić, z jakiego powodu płacze. Babka tłumaczyła jej łagodnie, że to z miłości i że tylko wychodząc za mąż bez żadnego uczucia, mogłaby zachować kamienny spokój. Susanna wytarła więc nos i się roześmiała.

Strach pozostał w niej jednak i trudno jej było powstrzymać się od płaczu, gdy Anne i Frances weszły do gotowalni, by ją uściskać, a jeszcze trudniej, gdy Claudia trzymała ją w objęciach bez mała minutę.

- Susanno - powiedziała - trudno mi było znieść fakt, że ze szkoły odchodziły Frances i Anne, moje najlepsze przyjaciółki. Lecz ty byłaś czymś więcej niż przyjaciółką. Przybyłaś

do mnie jako zagubiona, nieszczęśliwa dziewczynka, a ja pokochałam cię od pierwszej chwili. Za nic nie pozwoliłabym ci poślubić kogoś, kto nie byłby cię wart.

Zaśmiała się, a potem odstąpiła w tył i wytarła oczy.

- Jak mogłam nie wziąć pod uwagę, że wszystkie trzy jesteście młodymi, pięknymi kobietami? Gdybym o tym pomyślała, nie ofiarowałabym wam może przyjaźni, wiedząc, że zaraz mnie opuścicie.

Znowu się zaśmiała i spojrzała na przyjaciółki z rozrzewnieniem.

A teraz, gdy tylko Peter się uśmiechnął, zniknął cały jej lęk. Czegóż się bała? Przecież

to dzień jej ślubu. Są razem w kościele. No i jeszcze coś poza jego uśmiechem sprawiło, że wszystko naokoło pojaśniało. Jego spojrzenie.

- Moi drodzy... - zaczął pastor. Była to tylko krótka chwila po długim oczekiwaniu, ale za to chwila wspaniała. Peter coś mówił, odpowiadał na pytania, ona również. Lśniąca złota obrączka znalazła się nagle na jej palcu. Nie sposób było policzyć wszystkich tych pojedynczych chwil. Razem utworzyły jeden wspaniały galimatias szczęścia.

A potem pastor - nie, dziadek Clapton - oznajmił, że stali się mężem i żoną, i zaprowadził ich do zakrystii, żeby złożyli podpis w rejestrach. Peter uniósł wtedy jej welon i w skandaliczny sposób pocałował ją prosto w usta. A pastor, John Raycroft i obydwaj dziadkowie patrzyli na to całkiem spokojnie!

Organy zaczęły grać radosny hymn, gdy szli później wzdłuż nawy, pomiędzy ławkami pełnymi krewnych i przyjaciół. Zdawało się jej, że jeszcze nigdy w życiu nie uśmiechała się

tak często. Jeden z tych uśmiechów przeznaczyła dla dziewcząt, siedzących ciasno przy sobie w dwóch ławkach, ubranych w najlepsze niedzielne sukienki i absolutnie grzecznych.

Niegdyś była jedną z nich.

Przed wejściem do kościoła czekał na nich pięknie przystrojony powóz, a także tłoczyło się mnóstwo wieśniaków, którzy się cofnęli, robiąc im przejście. Później nastąpiły uściski i życzenia. Zostali obsypani płatkami róż.

Wsiedli, rozpromienieni, do powozu. Ktoś zamknął za nimi drzwiczki i dał

stangretowi znak, żeby ruszał. Jechali do Alvesley, na weselne przyjęcie. Susanna usiadła w jednym krańcu siedzenia, Peter w drugim. Ich złożone dłonie znalazły się zaś pośrodku obicia. A potem zostali sami. Nie licząc sztywno wyprostowanego stangreta. Susanna spojrzała na Petera. Uśmiechnął się. - Przysuń się do mnie - powiedział. - Dlaczego? - Bo tak chcę, a ty jesteś moją żoną. - Naprawdę? - spytała z rozbawieniem. I została tam, gdzie była.

Peter westchnął głośno. - Rozwiały się moje marzenia o posłusznej żonie. - I z tymi słowami objął ją tak mocno, że musiała wesprzeć dłonie na jego piersi. - Pewnie każesz mi walczyć ze smokami przez resztę życia? - Codziennie - zapewniła go. - Czy mogę panią pocałować, lady Whitleaf?

- Myślałam już, że nigdy o to nie spytasz. Czy absolutne szczęście może być jeszcze większe? Nie należało jednak roztrząsać tego problemu akurat teraz. Susanna objęła męża za szyję i ucałowała go z całej siły. Wciąż jeszcze słyszeli za sobą kościelne dzwony.

Table of Contents

[*1.](#)